POD TOPÓR
262 stare drzewa za pół metra drogi

LUDZIE SKULENI
Jak odzyskać władzę nad językiem

KODY WOLNOŚCI
Bunt programistów na Białorusi

DUCHY JANION
Silniejsze od żywych

FILOZOF W KAJAKU
Ufam tylko kormoranom

Kraków 13 września 2020 nr 37 (3714) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

ANNE APPLEBAUM

Kto chce murów między nami

DODATEK NAUKOWY
WIELKIE PYTANIA NA NOWO: MÓZG

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Ważne nie jest to, jak rozumiemy wolność. Ważne jest to, jak każdy z nas odbiera wolność innym. Wszelkie rozmowy o wolności powinny zaczynać się od tego osobistego pytania.

STEFAN CHWIN

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, CZAS, NADZIEJA, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają Autorzy i Autorki „Tygodnika" oraz ich wybitni rozmówcy.

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego" dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE MARTYNA WÓJCIK-ŚMIERSKA DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

PRZEKRÓJ

RMF Classic

KS. ADAM

Boniecki: *Poręczenie i kamienie*

Zdumiewa mnie czasem zła wola internetowych (i nie tylko) komentatorów. Z reguły wyszukują w każdej informacji coś, co – jak sądzą – można potępić, skrytykować lub przynajmniej wyszydzić. Oczywiście nie chodzi im o informację, ale o człowieka, którego ona dotyczy. Jeśli nawet te ataki są absurdalne, a informacja fałszywa, to komentarze tworzą zły klimat wokół osoby, niszczą jej wizerunek, ranią.

Ostatnio byliśmy świadkami takich ataków na ks. prof. Alfreda Wierzbickiego, kierownika Katedry Etyki KUL-u. Bo się przyłączył do osób, które poręczyły za aktywistkę LGBT+, Margot, aresztowaną w związku z zarzutami dotyczącymi udziału w zbiegowisku, ataku na działacza fundacji pro-life oraz niszczenia furgonetki tej organizacji. Ks. Wierzbicki te ataki delikatnie określił jako „sporo hejtu, wulgarnych insynuacji i prób zawstydzania". Był atakowany m.in. przez ludzi z jego uczelni. Ci albo odżegnywali się od niego, albo dawali do zrozumienia, że nie chcą, „aby tacy wykładowcy kształtowali młodzież w katolickiej uczelni". Do innego z grupy dwunastu poręczycieli zadzwonił dziennikarz z pytaniem, czy nie zamierza wycofać swego poręczenia po tym, co mówi i robi Margot teraz, już na wolności? Dla tego dziennikarza poręczenie było równoznaczne z aprobatą i wzięciem odpowiedzialności za wszystko, co mówi i robi osoba, za którą poręczali.

Dziwne, że ci sędziowie-obrońcy wiary i moralności, zanim osądzili profesora etyki, nie sięgnęli do polskiego Kodeksu Prawa Karnego i nie przeczytali, że „poręczenie osoby godnej zaufania polega na przyjęciu od osoby poręczającej zapewnienia, że oskarżony (podejrzany) stawi się na każde wezwanie i nie będzie w sposób bezprawny utrudniał postępowania...". Mówiąc prościej: poręczyciele ręczą, że nie ma potrzeby i racji, by tego człowieka zamykać w areszcie. Sam ks. prof. Wierzbicki wyjaśnia: „Nie żałuję poręczenia za Margot. Krytycznie oceniam jej zachowanie po uwolnieniu i nie przestaję się zastanawiać, czy sam nie ponoszę jakiejś cząstki winy. Choćby winy bezczynności i milczenia wobec homofobii w polityce i w Kościele. Nie podoba mi się to, co robi, ale próbuję zrozumieć, jak głęboki ból popycha ją do takich słów i gestów".

Innym przykładem może być historia związana z osobą abp. Grzegorza Rysia. W maju 2019 r. ks. abp Wojciech Polak, delegat Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży, otrzymał maila od Janusza K., ofiary księdza pedofila w latach 2003-05. Janusz K. informował o zaniedbaniach dotyczących zgłoszonej przez niego w 2011 r. biskupowi łowickiemu sprawy księdza, którego był ofiarą, i o braku jakiejkolwiek informacji o postępowaniu w tej sprawie. Ksiądz prymas, zgodnie z wchodzącymi właśnie w życie procedurami, zawiadomił o liście arcybiskupa Rysia, który jako metropolita łódzki, według ogłoszonych właśnie norm kościelnych, był w tym przypadku biskupem kompetentnym: zawiadomił abp. Rysia, że Janusz K. został poinformowany, że teraz (od 1 czerwca 2019 r.) biskupem w tej sprawie kompetentnym jest metropolita łódzki. I Janusz K. zwrócił się do arcybiskupa Rysia, lecz dopiero po upływie roku. Spotkali się i w ciągu kilku zaledwie dni abp Ryś sprawę przekazał, jak należało, do Rzymu (więcej pisze o tym w numerze Artur Sporniak).

Sprawę opisało OKO.press, mówiąc o „udziale arcybiskupa Rysia w sprawie tuszowania przestępstw pedofilskich w diecezji łowickiej". Zaroiło się od komentarzy: „Biskupi nie chcą występować przeciwko innym biskupom – pisał jakiś ksiądz. Nie myślą o skrzywdzonym człowieku, tylko o tym, że z kolegą biskupem będą później musieli spotkać się na posiedzeniu Episkopatu". Sam abp Ryś relację OKO.press uznał za „stronniczą, świadomie krzywdzącą i godzącą w [jego] dobre imię".

Zanim rzucisz kamieniem w bliźniego, najpierw stuknij się tym kamieniem w głowę. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Rośniemy dzięki Wam!

17,2 – o tyle procent wzrosła w czerwcu sprzedaż egzemplarzowa „Tygodnika Powszechnego"!*

Mamy ogromną satysfakcję, że nasze pismo jest Wam potrzebne, że sięgacie po nie także w czasach trudnych, niepewnych, w pandemii czy kryzysie. To dzięki Wam rośniemy.

Serdecznie witamy nowe Czytelniczki i Czytelników. Rozgośćcie się!

* źródło: dane ZKDP, porównanie: czerwiec 2019/2020

TEMAT TYGODNIKA

12 Kto chce murów między nami
MICHAŁ OKOŃSKI ROZMAWIA Z ANNE APPLEBAUM:
Żyjemy w bańkach, znamy inne fakty, mamy kompletnie inne obrazy rzeczywistości. Demokracja w takich warunkach łatwo się psuje.

40 Psychologia episkopatu
KS. JACEK PRUSAK SJ
Dlaczego argumenty naukowe dotyczące homoseksualizmu nie zmieniają myślenia biskupów i psychologów chrześcijańskich?

46 Białoruska wyspa nowoczesności
WOJCIECH KONOŃCZUK
W morzu przestarzałej gospodarki, na Białorusi niespodziewanie wyrósł prężny sektor IT. Informatycy wsparli antyreżimowe protesty, co stawia pod znakiem zapytania przyszłość tego fenomenu.

32 Człowiek skulony
RYSZARD KOZIOŁEK
To, co wypchnięte z naszych baniek, gromadzi się na zewnątrz. U nas nie ma już uchodźców, narodowców, lewaków, pisowców, gejów, katoli, ateistów, więc muszą być „tam". Prześladują nas wyobrażenia o ich liczbie i potędze.

88 Osobistość
ELIZA KĄCKA
Świat żywych ufundowany jest na świecie umarłych. Nie widząc tego, żyjemy jak ślepi. Maria Janion śledziła więzi duchów z żyjącymi.

102 Ufam tylko kormoranom
PIOTR SIKORA
W kajaku mam wodę stale na wyciągnięcie ręki. To, co na zewnątrz, jest wtedy tym, co wewnątrz mnie. I biologicznie, i symbolicznie.

MACIEJ ZIENKIEWICZ / NEWSWEEK // PRZEMEK WIERZCHOWSKI / REPORTER // ANDRZEJ HULIMKA / FORUM // EDWIN BUTTER / ADOBE STOCK // WOJCIECH DRUSZCZ / EAST NEWS // NAVINY.MEDIA

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Nowi Europejczycy mają się dobrze
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

19 Tygodnik Czytelników

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Raz na wschód, raz na zachód
KLAUS BACHMANN:
Polityka zagraniczna PiS jest bardziej pragmatyczna, niż się wydaje. Ale przez to łatwiej ulega grupom nacisku

26 Aleja, której nie ma
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI:
262 stare klony za pół metra drogi

28 Nie musisz być we wszystkim dobra
ROZMOWA Z RAFAŁEM JAESCHKEM, KONSULTANTEM PROGRAMU OPIEKI PERINATALNEJ

Z ODDECHEM

32 Człowiek skulony
RYSZARD KOZIOŁEK

WIARA

36 Sprzątanie
MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII:
W naprawianiu sytuacji w Kościele wiele zależy od odwagi następcy biskupa

40 Psychologia episkopatu
KS. JACEK PRUSAK SJ

42 Prawo, by oczekiwać
ARTUR SPORNIAK:
Biskupi przekonują się, że same procedury reagowania na pedofilię to za mało

63 DODATEK SPECJALNY

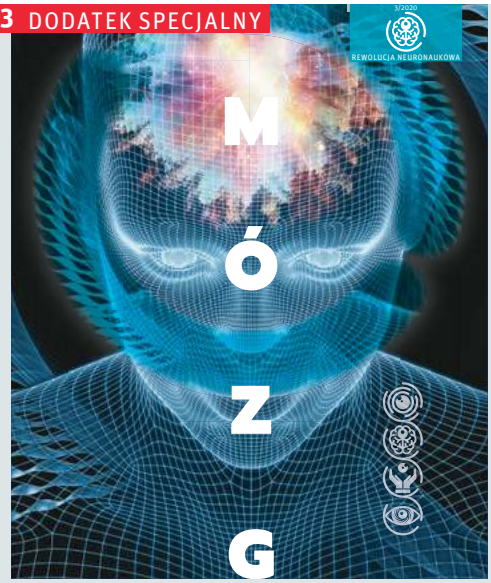

63 Wielkie Pytania na Nowo: MÓZG

- Jak inteligentne są tak naprawdę owady i co kryje się w ich mózgach?
- Co mogą dać medycynie substancje psychoaktywne?
- Czy można mieć pół albo ćwierć świadomości?
- Co mówią nam o mózgu dreszcze odczuwane przy słuchaniu muzyki?
- Czy neuromarketing, neuroekonomia albo neurodydaktyka naprawdę działają?

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **57** ANDRZEJ STASIUK
100 JAN KLATA **101** PAWEŁ BRAVO
106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ANNE APPLEBAUM
FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ / NEWSWEEK
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

43 Matrix w naszej wierze
SEBASTIAN DUDA
o książce Tomasza Polaka „System kościelny, czyli przewagi Pana K."

ŚWIAT

46 Białoruska wyspa nowoczesności
WOJCIECH KONOŃCZUK

49 Nasz Łukaszenka w naszych objęciach
ANNA ŁABUSZEWSKA

50 Ostatnia walka Álvara
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY:
Krytycy wierzą, że to ostatnie lata corridy. Jednym z nich jest dawny matador

54 Bananowe dzieci
ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI:
Kolejne pokolenie wietnamskich imigrantów w Czechach szuka własnej tożsamości

HISTORIA

58 Mała Mekka na Podlasiu
ANNA WILCZYŃSKA:
Polscy Tatarzy ze wsi Studzianka

KULTURA

88 Osobistość
ELIZA KĄCKA

92 Muzea przyszłości
PIOTR KOSIEWSKI:
Jak pandemia zmienia muzea

96 Trzecia możliwość
JERZY JARNIEWICZ:
Nowy poemat Alice Oswald

98 Ona tańczy dla siebie
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Ema" Pablo Larraína

100 Po dwóch dekadach
LEKTOR *o książce „Redaktor. 20 lat bez »Kultury«"*

ZMYSŁY

102 Ufam tylko kormoranom
PIOTR SIKORA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Afrykański Kongres Narodowy z ruchu wyzwoleńczego przepoczwarzył się w pazerną i skorumpowaną do szpiku kości partię rządzącą – o polityce w RPA pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Numer, który ratuje dzieci [Podkast Powszechny]
Dzieci pytają, czy mogą nam zaufać. Nigdy o tym nie zapewniamy. Możemy wysłuchać i pomóc, ale zaufanie zawsze jest decyzją dziecka – mówi **PAULA WŁODARCZYK** z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, koordynatorka telefonu zaufania **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NOWI EUROPEJCZYCY MAJĄ SIĘ DOBRZE

Pięć lat po otwarciu przez Angelę Merkel Niemiec dla uchodźców i migrantów ich integracja przebiega normalnie: z reguły sprawnie, czasem z kłopotami.

MARCIN ŻYŁA

W Budapeszcie maski pojawiły się na długo przed epidemią. Późnym latem 2015 r. nosili je kierowcy autobusów, policjanci i pracownicy dworca Keleti: wszyscy, którzy w imieniu władz zajmowali się uchodźcami i migrantami, jacy w liczbie kilku tysięcy dziennie przybywali tu tzw. trasą bałkańską. Masek nie zakładali, nie wierząc ostrzeżeniom przed zarazkami, mieszkańcy węgierskiej stolicy. Ci przynosili im wodę albo, jak przy wejściu do stacji linii metra, bawili się z ich dziećmi.

Maski – tej metaforycznej – nie założyła też kanclerz Merkel. Zaskakując rodaków, pięć lat temu, 4 września 2015 r., otwarła granice Niemiec dla uchodźców z Syrii i Afganistanu, a także dla szukających lepszego życia mieszkańców Afryki. Zanim za jakiś czas granice przymknięto, a unijne układy z Turcją, Libią i państwami Sahelu (wątpliwe etycznie, a przy tym negocjowane czasem przy udziale tej samej Merkel) znacznie ograniczyły migrację, w latach 2015-16 w Niemczech złożono 1,2 mln wniosków o azyl (w kolejnych trzech latach doszło 570 tys. wniosków; w tym roku ich liczba spadła: dotąd jest ich 65 tys.).

Nowi Europejczycy nie detonują bomb i nie zamieniają kościołów w meczety, choć w latach 2015-16 – strasząc terroryzmem i islamizacją – w kilku państwach kontynentu wy-

Rozpoczęcie lekcji w siódmej klasie szkoły w Bonn, 12 sierpnia 2020 r.

grywano wybory. Politycy, którzy grali tą kartą, mają się różnie. We Włoszech byłemu wicepremierowi Matteo Salviniemu, ongiś antyimigranckiemu liderowi w Europie, grozi proces za zakazanie zejścia na ląd migrantom przywiezionym na Lampedusę. W Polsce przećwiczonego na uchodźcach „zarządzania strachem" PiS użyło potem wobec osób LGBT+. Ile z tego strachu udało się w nas zaszczepić na dłużej, nie wiadomo: odmówiliśmy przyjęcia uchodźców, ale życzliwy zwykle stosunek do ponad miliona imigrantów z Ukrainy daje jakąś nadzieję. Szkoda jednak, że żadna siła polityczna ani Kościół katolicki nie chciały inaczej potraktować tego lęku przed wielką zmianą, który wtedy – oglądając w telewizji tłumy uchodźców i słuchając antyimigranckich haseł – miał przecież prawo poczuć każdy. Słowo „uchodźca", przez pewien czas używane w szkołach jako obelga, nabrało mocno negatywnej konotacji. To groźne dla ofiar następnych wojen czy konfliktów – choćby w perspektywie możliwego dziś napływu uchodźców z Białorusi.

A jak dziś, pięć lat później, wygląda sytuacja w Niemczech? Pracuje połowa z nowo przybyłych, choć wielu wykonuje najprostsze prace. Wśród kobiet odsetek zatrudnionych wynosi tylko 29 proc. W latach 2014-16 Federalne Biuro Śledcze powiązało wzrost liczby przestępstw z użyciem przemocy ze zwiększoną imigracją (w tym czasie podwoił się procent skazanych przez sądy azylantów; większości przestępstw dokonywano w ośrodkach dla uchodźców), a w niektórych miejscach, np. w Berlinie, wzrosła liczba przestępstw seksualnych popełnianych przez imigrantów. Równocześnie jednak ogólnonarodowe statystyki pokazują, że od 2017 r. przestępczość w kraju spada, a przed rokiem była wręcz najniższa od 18 lat. Ogólnie rzecz biorąc, integracja wydaje się więc przebiegać normalnie: z reguły sprawnie, czasem z problemami.

Pięć lat temu – być może nawet w dniu, gdy Merkel powiedziała Niemcom słynne „*Wir schaffen das*" („Damy radę"), węgierska policja zatrzymała jadący w stronę granicy z Austrią pociąg z uchodźcami i migrantami. Stał tak kilkanaście godzin. Małe dzieci, które matki układały wtedy do snu na półkach na bagaże, kilka dni temu poszły w Niemczech do pierwszej klasy. Są już jednymi z nas. ©℗

WOLFGANG RATTAY / REUTERS / FORUM

Czy otrucie Nawalnego to punkt zwrotny?

ANNA ŁABUSZEWSKA

Po ogłoszeniu przez kanclerz Angelę Merkel wyników badań toksykologicznych Aleksieja Nawalnego – potwierdzających, że otruto go bronią chemiczną z grupy nowiczok – nad toczoną w Berlinie debatą o kształcie stosunków z Kremlem zawisła gradowa chmura.

Jeszcze niedawno Merkel mówiła o kontynuowaniu dotychczasowej linii w relacjach z Rosją jako „strategicznym graczem, z którym należy podtrzymywać dialog", i nie widziała potrzeby wstrzymywania budowy gazociągu Nord Stream 2. Teraz stwierdzenie, że do ataku na Nawalnego użyto substancji zakazanej przez konwencję o broni chemicznej, zdecydowanie zaostrzyło podejście niemieckich władz do Rosji. Minister spraw zagranicznych Heiko Maas wezwał Rosję do wszczęcia energicznego śledztwa w sprawie otrucia Nawalnego, w przeciwnym razie Niemcy omówią wraz z europejskimi partnerami zakres sankcji. Z kolei w dyskusji medialnej pojawił się pomysł przyjęcia przez parlamenty państw Unii uchwały na wzór „aktu Magnitskiego" (sankcje wobec osób, które przyczyniły się do śmierci w 2009 r. tego prawnika, pracującego dla Hermitage Capital Management).

Do sankcji „za Nawalnego" droga daleka, niemniej próba wywarcia przez Berlin nacisku na Kreml w sprawie wyjaśnienia otrucia opozycjonisty to najostrzejsza od lat reakcja w stosunkach rosyjsko-niemieckich. Niemieccy politycy zapowiadają, że sankcje będą zależeć od reakcji Moskwy. Tymczasem rosyjskie władze robią wszystko, aby nie nazywać rzeczy po imieniu. Politycy z kamienną twarzą opowiadają, że podczas pobytu Nawalnego w rosyjskim szpitalu nie znaleziono śladów toksyn. Prokuratura Generalna domaga się dokumentacji z berlińskiej kliniki Charité, gdzie leczony jest „rosyjski pacjent", i od tego uzależnia wszczęcie śledztwa. Kapłani kremlowskiej propagandy masowo wrzucają niewiarygodne teorie: jedni zaprzeczają otruciu, inni wskazują winnych za granicą (np. NATO albo Michaiła Chodorkowskiego), jeszcze inni osłaniają od podejrzeń Putina jako zleceniodawcę. Opozycyjni komentatorzy nie mają wątpliwości: „Toksyczność Putina jest teraz równa toksyczności nowiczoka".

Rosja – podobnie jak przy zestrzeleniu MH17 nad Donbasem czy otruciu Skripalów (ojca i córki) – mataczy, kłamie, a za kulisami usiłuje storpedować inicjatywy mające na celu wyjaśnienie sprawy, a tym bardziej wprowadzenie sankcji. Czy się jej uda? Czy też otrucie Nawalnego okaże się punktem zwrotnym, zwłaszcza w relacji Niemcy–Rosja? ©

Białoruś: impas trwa

MIJA JUŻ MIESIĄC od wybuchu białoruskich protestów, ale nic nie wskazuje na szybkie rozwiązanie tego najgłębszego po 1991 r. kryzysu politycznego w tym kraju. W ostatnią niedzielę na ulice Mińska znów wyszło ok. 100 tys. ludzi. Demonstracje odbyły się też w innych miastach, w tym tradycyjnie już szczególnie liczne w Grodnie. Dowodzi to, że mimo zmęczenia społeczeństwa nastroje antyreżimowe są nadal bardzo silne. Tymczasem władze nie tylko nie wykazują gotowości do negocjacji, lecz wracają do represji. Mniejsze grupy demonstrantów zatrzymują i biją nie tylko milicjanci, lecz także funkcjonariusze w cywilu uzbrojeni w pałki. Najwidoczniej uznano, że skuteczna będzie taktyka stopniowego nasilania przemocy. Sądząc po reakcjach społecznych, przynosi to jednak skutek odwrotny.

Władze doprowadziły także do paraliżu działalności siedmioosobowego prezydium Rady Konsultacyjnej opozycji – część z jej członków trafiła do aresztu. Jedna z nich, Olga Kawalkawa, została w minioną sobotę zwolniona pod warunkiem, że wyjedzie do Polski. Powiększyła tym samym kilkudziesięcioosobową grupę opozycjonistów, którzy znaleźli schronienie w naszym kraju. Ofiarą represji jest też abp Tadeusz Kondrusiewicz, zwierzchnik tamtejszego Kościoła katolickiego, którego nie wpuszczono na Białoruś, gdy wracał z krótkiej wizyty u rodziny w Polsce – choć jest białoruskim obywatelem.W poniedziałek zaś z centrum Mińska porwana została Marija Kalesnikawa, jedna z liderek opozycji. To kolejne z wielu dowodów, że reżim nie ma żadnych skrupułów.

Starcie między Łukaszenką i zbuntowanymi obywatelami będzie trwało, a jego wynik zależy od determinacji tych ostatnich.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Proces, który miał być symbolem

ZASKAKUJĄCY WYROK zapadł na Słowacji w sprawie zabójstwa Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej: domniemany zleceniodawca został uniewinniony.

Śmierć Kuciaka, dziennikarza śledczego, od początku wiązano z jego pracą. Podejrzewano włoską mafię, potem okazało się, że dziennikarz naraził się przedsiębiorcy Marianowi Kočnerowi. To on za pośrednictwem Aleny Zsuzsovej miał zlecić zabójstwo. Jednego z wykonawców skazano już w kwietniu (przyznał się do winy), drugiego – teraz. Jednak sąd uznał, że do skazania Kočnera i Zsuzsovej nie ma dość dowodów.

Po licznych przeciekach, które media publikowały podczas procesu, można było wnioskować, że wina Kočnera jest bezsporna, i mało kto wierzył, że biznesmen nie zostanie skazany. Dlatego wielu Słowaków ma dziś poczucie, że państwo znów ich zawiodło. Śmierć dziennikarza i jego narzeczonej w 2018 r. wywołała w kraju wstrząs, po którym oczekiwano przemiany państwa. Sprawiedliwość dla Jána i Martiny miała być jej symbolem. Teraz dominuje poczucie, że sprawiedliwości nie stało się zadość. Trwa też dyskusja, gdzie popełniono błędy. Sprawa trafi do sądu wyższej instancji.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Śmierć dla zapaśnika

TWITTER / UN WATCH

SZUBIENICA ZA UDZIAŁ w wiecu politycznym: taki wyrok usłyszał Navid Afkari, utytułowany irański zapaśnik i zawodnik MMA. Sąd Najwyższy zatwierdził dwa wyroki dla sportowca: śmierci, sześciu i pół roku więzienia oraz 74 batów. Jego bracia, Vahid i Habib, którzy również mieli uczestniczyć w protestach w 2018 r., wywołanych pogarszającą się sytuacją gospodarczą w kraju, otrzymali wyroki odpowiednio 54 i 27 lat więzienia, a także po 74 batów.

„To bohater narodowy. Nie znamy okoliczności jego udziału w demonstracjach" – tak wyrok sądu skomentował Saqeb Saba, dziennikarz Iran International. Saba twierdzi także, że Afkari był torturowany dla wymuszenia zeznań obciążających braci.

Po ogłoszeniu wyroku do Teheranu z wielu krajów płyną petycje o wstrzymanie egzekucji i ponowne zbadanie sprawy. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

OCZYSZCZENIE
„Polska polityka może być inna. Gdybym w to nie wierzył, właśnie ogłaszałbym start strony z licznikiem ścieków płynących do Wisły za kadencji Lecha Kaczyńskiego, a nie start nowego ruchu" – powiedział Rafał Trzaskowski, nawiązując do kolejnej awarii w oczyszczalni Czajka, ale nam się wydaje, że przerzucanie odpowiedzialności na poprzedników dowodzi, iż polska polityka jednak nie będzie inna.

ORZECZENIE
Inne mogą natomiast być sądy. Po tym, jak sędzia zakazał dziennikarzowi „Gazety Polskiej" pisania przez rok o Zbigniewie Bońku (prezes PZPN pozwał go za publikacje sugerujące jego związki ze służbami komunistycznymi i nieprawidłowości finansowe), głos zabrał prezes PiS. „Naruszające prawo wyroki" mają być uchylane, a wydający je sędziowie usuwani z zawodu – brzmi wyrok Jarosława Kaczyńskiego.

OSŁONA
W tej sytuacji fakt, że po publikacji „Gazety Wyborczej" na temat specjalnych środków ochrony Zbigniewa Ziobry przestały one obowiązywać (w promieniu 600 m od domu ministra przestała obowiązywać strefa zamknięta dla ruchu lotniczego), należy uznać za wypadek przy pracy.

LICZBA TYGODNIA

1183

– tyle polskich miejscowości odprowadza nieoczyszczone ścieki komunalne prosto do rzek i innych zbiorników. W 1283 miejscowościach systemy nie zapewniają – jak stwierdziła w maju Komisja Europejska – dostatecznej filtracji zanieczyszczeń.

Koronawirus jak reformy

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Przeszło 50 zamkniętych i prowadzących zdalną naukę szkół. Do tego ponad 20 pracujących w trybie mieszanym. W tych pracujących pełną parą (według MEN 99,84 proc.): dzieci zmuszone do pozostania w ławkach w jednej sali i krążący między nimi nauczyciele. Procedury bezpieczeństwa: zasady wchodzenia, wychodzenia, dezynfekcje, unoszący się po korytarzach odór. Logistyczne szpagaty dyrektorów, by dopiąć plany lekcji. W zgodzie z zasadami epidemiologicznymi, choć już niekoniecznie metodycznymi, w niektórych szkołach „zblokowano" przedmioty, upychając np. w jednym dniu trzy godziny języka obcego (na szczęście w skali masowej dotyczy to tylko WF-u). Tak wyglądał ten pierwszy tydzień nauki.

Ale koronawirus przedłuża tylko stan, w którym polska szkoła – na skutek ciągłych reform – tkwi od dekad. Stan tymczasowości, alertu, wyrabiający głównie zdolność adaptacji. Minister nie musi już odpowiadać na pytania o płace nauczycieli czy edukacyjne nierówności. Dyrektor nie musi (nie może) myśleć o rozwoju szkoły.

Można rzec przewrotnie, że to jedyny dobry prognostyk na najbliższe miesiące: dyrektorzy i nauczyciele, ci kombatanci wojny o przetrwanie, powinni sobie poradzić. Dostali solidny trening. ©℗

W sztabie i na froncie

NOWĄ STRATEGIĘ WALKI Z KORONAWIRUSEM ogłosił minister zdrowia Adam Niedzielski. Zakażeni będą leczeni w szpitalach trzech poziomów; na najwyższym będzie dziewięć placówek jednoimiennych, wyspecjalizowanych w leczeniu najcięższych postaci COVID-19.

PROTESTY LEKARZY podstawowej opieki zdrowotnej wywołała zapowiedź, że to oni będą kierować na testy – po obowiązkowym badaniu w poradni. To niekonsultowane wcześniej rozwiązanie, dla którego trudno znaleźć racjonalne wytłumaczenie, zagraża im i pacjentom – lekarze apelują, by do skierowania na test wystarczyła telekonsultacja.

SARS-COV-2 MUTUJE W MINIMALNYM STOPNIU i w sposób losowy, a nie przez przystosowanie do organizmu człowieka – wynika z badań przeprowadzonych w 84 krajach na 27 tys. szczepów wirusa. Zwiększa to prawdopodobieństwo uzyskania uniwersalnej szczepionki. ©℗ MACIEJ MÜLLER

KAMIL KMAK / STOWARZYSZENIE „SAGA GRYBÓW"

„CICHY MEMORIAŁ – GRYBOWSKA SAGA" – to nazwa projektu lokalnych aktywistów pracujących na rzecz przywrócenia pamięci o dawnych mieszkańcach Grybowa. Seria murali upamiętnia postaci z historii miasta. Portrety, które możemy oglądać na ścianach budynków, to: Maria Studnicka, działaczka z początku XX wieku, Franciszek Paszek „Kmicic", partyzant; rodzina Gottlobów, ofiary Zagłady oraz Jan i Janina Dębowscy, ofiary zbrodni katyńskiej. Autorem murali jest Arkadiusz Andrejkow (na zdjęciu). © JT

Obywatelskie prawa w hibernacji

KIEDY BĘDĄ PAŃSTWO brali do ręki ten numer „Tygodnika", w strukturze państwa zaświeci poważna dziura – kadencję Rzecznika Praw Obywatelskich skończy Adam Bodnar. Jako jego następczynię kilkaset organizacji pozarządowych popiera Zuzannę Rudzińską-Bluszcz, jedyną dotąd zgłoszoną Sejmowi kandydatkę, której doświadczenie (m.in. z pracy w biurze RPO) i kompetencje są w pełni zgodne z funkcją, do której aspiruje. Nie usłyszała ona nawet definitywnego „nie" ze strony obozu władzy (a na razie nie wygląda, żeby główne partie opozycji z jej poparcia chciały uczynić swój priorytet).

PiS musi najpierw dojść sam ze sobą do ładu: kogo, jak i czy w ogóle mianować (szybka ścieżka jest wykluczona, bo sejmowego nominata musi potwierdzić Senat). Bodnar z pewnością nie spędzi tego – być może wielomiesięcznego – okresu przejściowego bezczynnie, ale nie ma się z czego cieszyć: takie tymczasowe trwanie jest wymownym sygnałem, w jakim poważaniu znajduje się obecnie obywatel jako podmiot władzy.

©℗ PAWEŁ BRAVO

System nepotyczny PiS się zaciął

DO TEJ PORY jednym z fundamentów systemu Jarosława Kaczyńskiego był skrajny nepotyzm pod płaszczykiem patriotyzmu. Każdy z PiS mógł się obłowić, albo osobiście, albo przez rodzinę. Ponieważ dysproporcje między zarobkami w instytucjach i spółkach państwa są drastyczne, Kaczyński stosował rotację we władzach państwowych firm, tak by zarobić mogło wielu. Dlatego nikt nigdy nie protestował, jeśli prezesem albo europosłem został akurat ktoś inny.

Tym razem wybuchł skandal. Partyjne szeregi zawyły, gdy żona wiceministra cyfryzacji Adama Andruszkiewicza – dawnego narodowca skaperowanego przez Mateusza Morawieckiego w poprzedniej kadencji – została szefową Fundacji Agencji Rozwoju Przemysłu. Nominacja była tak subtelnie przeprowadzona, że rzecznik ARP nie wiedział, iż jest członkiem komisji, która wedle przepisów powinna była zatwierdzić nominację dla Kamili Andruszkiewicz.

Wściekłość parlamentarzystów PiS wywołało to, że Andruszkiewicz wciąż jest w partii ciałem obcym, a mimo to w ciągu kilkunastu miesięcy załatwił posady dla siebie i swej nowo poślubionej małżonki. Zarobki prezesa Fundacji ARP to ok 14,5 tys. miesięcznie – prawie o połowę więcej od apanaży posłów i senatorów.

Tymczasem, wbrew obietnicom, płace parlamentarzystów nie zostały podniesione po wyborach prezydenckich – z poparcia dla projektu wycofały się Koalicja Obywatelska i Lewica, a PiS obawia się wprowadzić podwyżki samodzielnie, żeby nie denerwować wyborców. Szef klubu PiS Ryszard Terlecki namawia jeszcze PSL, ale perspektyw wielkich nie ma. W tej sytuacji najłatwiej było Kamilę Andruszkiewicz zmusić do dymisji – co też się stało. Ale fundamentalnego zacięcia w systemie to nie usuwa. A to dla PiS duży kłopot, bo próbując przeciągać na swą stronę polityków opozycji, ma w tej chwili znacznie mniej do zaoferowania.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Rzecznika Pawlaka droga na skróty

PRZYPOMINA TO słynną historię o czarnej wołdze krążącej po mieście albo – by sięgnąć głębiej do tradycji polskich fobii – o Żydach porywających chrześcijańskie dzieci, by przerobić je na macę. Mikołaj Pawlak powiedział w TVN24, że edukatorzy seksualni wyłapują dzieci, podając im „jakieś środki farmakologiczne" na zmianę płci. Później tłumaczył, że użył „skrótu myślowego", do czego doprowadzić go miała „dynamika rozmowy" – ale dowodów na rzekomy proceder nie podał.

Jego wypowiedź w zasadzie nie powinna dziwić. Podobnym „skrótem" rzecznik przywitał się ze swoją funkcją, opowiadając, iż wspomina z estymą sytuację, gdy „dostał od ojca w tyłek". Jednak wbrew większości krytycznych głosów to nie wypowiedzi obciążają najbardziej jego konto. Raczej bierność, o której mówi dziś większość działaczy sektora pozarządowego.

Edukacyjne wykluczenie, anachroniczny system adopcyjny, duże domy dziecka, problemy dzieci niepełnosprawnych – opinia wielu przedstawicieli NGO pracujących na tych polach jest dla Pawlaka miażdżąca. Nie czują wsparcia RPD, nie inicjuje on według nich ważnych zmian prawnych, rzadko słychać jego mocny głos. A tam, gdzie bywa aktywny, pozostaje zwykle rzecznikiem praw rodziców – jak podczas lockdownu, gdy mówił o krzywdzie dzieci z pieczy zastępczej, które utraciły kontakt z biologicznymi opiekunami, ale nie zająknął się o drugiej stronie problemu (sądy wysyłały dzieci z powrotem do rodziców, co czasami kończyło się powtórną przemocą).

To nie skróty myślowe są największym problemem rzecznika Pawlaka. Większym jest jego droga na skróty w codziennej działalności.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Trudne rozmowy podczas drogi synodalnej

ZAMIAST JEDNEGO ZGROMADZENIA, pięć spotkań, a każde z maksymalnie 50 uczestnikami – tak pandemia wpłynęła na zmianę formuły drugiego zgromadzenia niemieckiej drogi synodalnej – unikatowego eksperymentu kościelnego rozpoczętego na przełomie stycznia i lutego we Frankfurcie nad Menem. Świeccy delegaci i biskupi spotkali się 4 września w Berlinie, Dortmundzie, Frankfurcie, Ludwigshafen i Monachium, by rozmawiać o „Życiu w udanych związkach – życiu miłością w seksualności i partnerstwie" oraz o „Kobietach w służbie i urzędach w Kościele". Nie obyło się bez napięć. Z grupy dyskutującej na pierwszy temat zrezygnował biskup pomocniczy z Kolonii Dominikus Schwaderlapp, uznając, że dyskusja ma na celu zmianę doktryny moralnej Kościoła. Z kolei biskup Regensburga Rudolf Voderholzer doszukał się w tekście, który był dyskutowany w drugim temacie, fragmentów wątpliwych teologicznie, dodanych bez wcześniejszej dyskusji, a więc wbrew regulaminowi. Komentatorzy podkreślają jednak, że większość uczestników jest zdeterminowana do sformułowania konkretnych postulatów reform w Kościele. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Kim są przyszli księża?

WŚRÓD ALUMNÓW przyjętych do seminariów w roku akademickim 2019/2020 na PiS w wyborach do Parlamentu Europejskiego (w maju 2019) głosowało 62 proc. 24 proc. oddało głos na Konfederację, 7 proc. na Koalicję Europejską i 6 proc. na Kukiz'15 – wynika z badań przeprowadzonych przez ks. prof. Krzysztofa Pawlinę. Autor uzyskał ankiety z 38 polskich wyższych seminariów duchownych (na 42 funkcjonujące). Pytał w nich o poglądy, zainteresowania, motywację i pochodzenie kandydatów na księży.

To drugie takie badanie od 2000 r. Widać w nim zmianę motywacji wstąpienia do seminarium – z chęci służby (Bogu, Kościołowi, ludziom) w kierunku potrzeby pogłębienia osobistej relacji z Bogiem. Wyraźny jest też wzrost poglądów nacjonalistycznych. 60 proc. kandydatów pochodzi z miast, coraz częściej ze średniozamożnych inteligenckich rodzin.

Przyszli księża nie są też wolni od problemów, z którymi zmagają się ich rówieśnicy: aż 15 proc. korzysta z internetu ponad 4 godziny dziennie, czyli na granicy uzależnienia, a blisko 39 proc. systematycznie sięga po pornografię. Opracowanie badań ukazało się w książce „Powołanie kapłańskie AD 2020" wydanej przez Wydawnictwo Naukowe Collegium Bobolanum. ©℗ ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DWA SŁOWA
Franciszek zatwierdził nową włoską treść konsekracji w Mszale Rzymskim. Od Wielkanocy 2021 r. zaczną obowiązywać słowa: „kielich krwi (...), która za wszystkich będzie wylana" zamiast „za wielu będzie wylana". „Tylko dwa słowa, ale mówią wszystko o kierunku reform ery Franciszka" – komentuje „The Tablet".

PIERWSZY REKTOR
W wieku 94 lat zmarł kard. Marian Jaworski – przyjaciel Jana Pawła II, były metropolita lwowski. Pochodził ze Lwowa. Gdy w 1981 r. powstała Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie, został jej pierwszym rektorem. W latach 1991–2008 metropolita Lwowa obrządku łacińskiego. Na łamach „Więzi" mówił: „nie ma nic gorszego niż Kościół na służbie nacjonalizmu".

JACEK BEDNARCZYK / PAP

HONOROWY OBYWATEL
„To jest hańba, żeby ci, którzy »Solidarność« tworzyli, zostali wyeliminowani i wyrzuceni poza główne obchody tej rocznicy. W taki sposób niszczy się to, co dla każdego z nas jest najważniejsze i najpiękniejsze. To być może jest mój ostatni krzyk, ale chciałem głośno wykrzyczeć, że tak nie można" – mówił o. Ludwik Wiśniewski podczas uroczystości nadania mu honorowego obywatelstwa Miasta Lublina. Wydarzenie miało miejsce 4 września w lubelskim Teatrze Starym. Znany dominikanin, duszpasterz i wychowawca kilku pokoleń opozycjonistów jest już honorowym obywatelem Gdańska i Wrocławia.

Papież zatrzymany

MACIEJ MÜLLER

Stolica Apostolska odwołała wszystkie podróże apostolskie Franciszka do końca 2021 r. Konserwatywni krytycy papieża, sięgający po porównania ze świętymi, którzy nie obawiali się spotkań z trędowatymi, nie biorą pod uwagę, że Franciszek chce w ten sposób chronić przede wszystkim wiernych. Wielkie zgromadzenia stanowią dla koronawirusa idealne warunki do transmisji.

Kilka podróży zagranicznych odbył już Paweł VI, ale to Jan Paweł II uczynił z nich jedno z głównych narzędzi duszpasterskich. „Przyszła pora, aby biskupi rzymscy stali się nie tylko następcami św. Piotra, ale także naśladowcami św. Pawła" – powiedział w 1980 r. Każda z jego podróży wzbudzała gigantyczne zainteresowanie mediów, zmuszając je do zainteresowania nie tylko papieskim nauczaniem (przede wszystkim o płynących z wiary zasadach moralnych), ale też problemami politycznymi i społecznymi odwiedzanych krajów. Każda podróż była precyzyjnie przygotowana, a nauczanie dopasowane do potrzeb lokalnego Kościoła.

Po Janie Pawle II „trudno sobie wyobrazić jakikolwiek pontyfikat XXI wieku świadomie powracający do biurokratyczno-kierowniczego wzorca, który osiągnął swe apogeum za Piusa XII" – oceniał biograf polskiego papieża George Weigel. Pielgrzymowanie stało się tak istotnym elementem działalności głowy Kościoła, że kontynuował je, *nolens volens*, mało ekspresyjny Benedykt XVI, odbywając 24 podróży zagranicznych.

Franciszek, ceniący bezpośredni kontakt z ludźmi, do którego medialny tytuł „Superstar" zdaje się pasować jeszcze bardziej niż do Karola Wojtyły – został tego kluczowego narzędzia tymczasowo pozbawiony. Będzie słyszalny w encyklikach czy listach, a także podczas watykańskich audiencji – oraz w mediach społecznościowych.

Na wszystkich tych polach musi jednak formułować komunikaty uniwersalne, kierowane do ogółu wiernych. Kontakty z Kościołami lokalnymi zostają ograniczone do spotkań *ad limina* z biskupami i działań za pośrednictwem nuncjuszy apostolskich. Czy to bardzo spowolni proces reformowania Kościoła zgodnie z wizją, jaką ma papież?

©℗

Uwaga, zmyłka!

KIEDY ODTWARZAMY WSPOMNIENIE, detale dopasowujemy do nowych informacji. To sprawia, że wydobywany obraz postrzegamy przez pryzmat teraźniejszości, a następnie równie wybiórczo zapamiętujemy. M.in. dlatego ulegamy fake newsom. Jednak jak pokazuje eksperyment Jessiki M. Karanian z Fairfield University i współpracowników, wystarczy proste ostrzeżenie, by ograniczyć efekt zniekształceń pamięci wywołany mylnymi informacjami.

Uczestnicy badania oglądali niemą scenę przedstawiającą kradzież i odpowiadali na pytania o detale. Następnie słyszeli narrację, która mogła być zgodna z wydarzeniami z filmu lub nie, i znowu odpowiadali na pytania. Niektórych informowano, że opis może wprowadzać w błąd. Ci, którym zwrócono uwagę na możliwe niespójności – i faktycznie wprowadzano ich w błąd – w teście końcowym częściej poprawnie odpowiadali na pytania w porównaniu z grupą, której nie ostrzeżono. I to niezależnie od tego, czy ostrzeżenie wystąpiło przed, czy po narracji.

Osobom badanym wykonano także skany mózgu, które wskazały, że ostrzeżeniom towarzyszył wzrost aktywacji obszarów wzrokowych, które przetwarzały wiarygodne informacje na temat zdarzenia, i spadek aktywności w obszarach słuchowych (przetwarzających informacje niepewne).

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Artyści, podatki i wsparcie uchodźców

CORAZ POPULARNIEJSZE stają się aukcje sztuki na cele społeczne. Są skuteczne i dają organizacjom szansę prowadzenia działań, na które brakuje funduszy. Przykładem Aukcja Sztuki Refugees Welcome, której czwarta już edycja odbędzie się 13 września, w formie online. Zaczęto ją organizować, gdy rząd PiS-u przestał wspierać pracę na rzecz imigrantów. W ubiegłym roku zebrano ponad 200 tys. zł; organizatorzy liczą, że powtórzą ten sukces. Prace ofiarowali m.in. Paweł Althamer, Miriam Cahn i Joanna Rajkowska. Z kolei podczas majowej aukcji Fundacji Razem Pamoja, obecnej m.in. w Kenii i Indonezji, wylicytowano dzieła za ponad 300 tys. zł.

Aukcje czy zbiórki publiczne pełnią też inną rolę: budują legitymizację społeczną dla organizacji i podejmowanych przez nie działań. Nie zastąpią jednak innych źródeł finansowania, w tym oczywiście publicznych. Ważna zatem jest dyskusja: czy władze dysponujące podatkami, czyli środkami zebranymi od wszystkich obywateli, mogą wspierać przede wszystkim „swoje" czy „słuszne" organizacje? I jak tworzyć system wspierania, który służyłby integracji społecznej, a nie – jak dziś bywa – polityce wykluczania?

© PIOTR KOSIEWSKI

KULTURA W SKRÓCIE

STRATY
W lipcu polskie kina odwiedziło ok. pół miliona widzów – poinformował Polski Instytut Sztuki Filmowej. W porównaniu z ubiegłym rokiem to spadek o prawie 90 proc. Pod koniec sierpnia najlepsze wyniki notował „Tenet" Christophera Nolana.

NOMINACJE
Olga Tokarczuk trafiła na krótką listę nominowanych do tegorocznej International Dublin Literatury Award. Wyróżniono jej powieść „Prowadź swój pług przez kości umarłych" w przekładzie Antonii Lloyd-Jones.

NAGRODY
Tymczasem Irlandka Sinéad Morrissey odebrała Nagrodę Literacką Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności 2020 za tom „O równowadze". Nagrodzono także jej tłumaczkę Magdę Heydel.

FUKSÓWKI
Krakowska Akademia Sztuk Teatralnych oficjalnie zakazała „fuksówki" jako „ostatniego reliktu czasów, w których można było bezkarnie wykorzystywać swoją »pozycję« po to, żeby »tresować«, a często nawet »upokarzać« młodszych kolegów". „Nazywanie tego zjawiska tradycją jest nieporozumieniem" – napisała w oświadczeniu rektor uczelni Dorota Segda.

PLAKATY
Pracę Szymona Szymankiewicza „Baćka" będzie można zobaczyć pod koniec września na wystawie „Zhyve Belarus" w ramach Litewskiego Tygodnia Designu w Wilnie.

SZYMON SZYMANKIEWICZ

ZHENLIANG / STOCK.ADOBE.COM

SPECJALIŚCI OD OCHRONY PRZYRODY rzadko mają tak dobre wieści: populacja endemicznego dla Birmy żółwia z gatunku *Batagur trivittata* (na zdj.), jeszcze dwie dekady temu uważanego za wymarłego, przekroczyła tysiąc osobników. To efekt hodowli, z której żółwie sukcesywnie wypuszczane są na wolność. ©℗ ŁK

Czas wykorzystany

RAFAŁ WOŚ

David Graeber, jeden z najważniejszych współczesnych intelektualistów, zmarł nagle w wieku 59 lat. Jeszcze dzień wcześniej był aktywny w mediach społecznościowych. Pozostaną po nim książki. „Dług. Pierwsze 5 tysięcy lat" z 2011 r. to praca, na którą często powoływali się krytycy neoliberalnych terapii zaciskania pasa. Graeber wskazuje w niej, że dług jest jedną z najważniejszych społecznych innowacji, która dała ludzkości szansę na rozwój i postęp.

W 2018 r. Graeber zachwycił ponownie, publikując „Bullshit Jobs" (w Polsce ukazała się pod tytułem „Praca bez sensu"). Znów wyraził to, czego nikt nie umiał ubrać w słowa: że we współczesnym kapitalizmie zbyt wiele jest prac, które nie dają człowiekowi ani godziwego utrzymania, ani społecznej wartości. Kradną za to nasz najcenniejszy zasób: czas.

Sam Graeber swój czas wykorzystał nie tylko na pisanie. Był aktywny w ruchu Occupy, który po 2011 r. rozlał się na kilkaset miast świata głosząc: dość nierówności, czas na prawdziwą demokrację! Demokrację dla „nas 99 proc." (był autorem tego hasła). A nie taką, która służy tylko 1 proc. najbogatszych. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

KTO CHCE MURÓW MIĘDZY NAMI

ANNE APPLEBAUM:

Żyjemy w bańkach, znamy inne fakty, mamy kompletnie inne obrazy rzeczywistości. Demokracja w takich warunkach łatwo się psuje.

MICHAŁ OKOŃSKI: Czy wszystko jest polityką?
ANNE APPLEBAUM: Nie, oczywiście nie.

Odetchnąłem.
Ale skąd to pytanie?

Poruszyła mnie Pani opowieść o sylwestrze 1999 w Chobielinie. Kończyło się stulecie, do Waszego wciąż jeszcze remontowanego domu zjechała grupa przyjaciół i znajomych z całego świata. Po 20 latach połowa gości nie rozmawia z drugą połową, o zapraszaniu się do domów nie ma nawet co mówić. Podziały zaszły tak daleko, że straciła Pani kontakt także z chrzestną matką swojego syna.

To chyba normalne, że z jednymi ludźmi można się przyjaźnić całe życie, a z innymi rozluźnić znajomość. Podobnie jak normalne jest to, że ludzie zmieniają poglądy polityczne. Problem zaczyna się wtedy, kiedy ktoś, kto zmienił poglądy polityczne, zmienia także poglądy na kwestię czyjegoś stylu życia, stosunku do religii albo do kwestii rasowej. Staje się antysemitą, krótko mówiąc. Nie chodzi o to, że głosuje na kogoś innego niż ja.

Polityka ma taką siłę, że może z kogoś zrobić antysemitę?
Myślę, że ma.

Może raczej wydobywa z niego coś, co zawsze było ukryte?

Ludzie się zmieniają na bardzo różne sposoby. Wie pan, wiele osób pyta mnie ostatnio, czy Partia Republikańska w USA zawsze odwoływała się do haseł rasistowskich i była ugrupowaniem białych suprematystów. Jasne, że można było znaleźć wśród jej zwolenników ludzi o takich poglądach, zwłaszcza w stanach południowych. Ale warto pamiętać, że kiedy np. młody Bush wygrał wybory, to pierwsze spotkanie odbył z prezydentem Meksyku, a jego najważniejszym zadaniem miała być reforma systemu imigracyjnego. Dlaczego? Wcześniej był gubernatorem Teksasu, cieszył się poparciem Mexican Americans i dbał o to, by Partia Republikańska adresowała swój program bardzo szeroko. On naprawdę chciał formacji otwartej dla wszystkich i dopiero po 11 września musiał zmienić priorytety, a jego wojna z terrorem przyniosła także zamknięcie granic.

Zastanawiające, że pęknięcie w gronie tamtych gości sylwestrowych dotyczy nie tylko Polaków. Może coś takiego jest w naszych czasach, że się wszyscy polaryzujemy?

Napisałam o tym książkę, której polskie tłumaczenie ukaże się w grudniu pod tytułem „Zmierzch demokracji". Polaryzacja i radykalizacja postaw, zwłaszcza w obrębie szeroko rozumianej prawicy, to zjawisko polskie, ale też amerykańskie, brytyjskie, hiszpańskie i do pewnego stopnia francuskie. Problem dotyczy całej zachodniej demokracji.

No to dlaczego myśmy się tak podzielili? Coś jest w naturze ludzkiej?

Bardzo możliwe. Kiedy zaczęłam o tym myśleć, szukałam podobnych momentów w historii ludzkości. Zajęłam się m.in. aferą Dreyfusa we Francji, kiedy ludzie podzielili się w kwestii rzekomej winy oskarżanego o szpiegostwo oficera. Po jednej stronie stanęli ci, którzy przypominają trochę dzisiejszą prawicę, a także wyznawcy teorii spiskowych czy redaktorzy tzw. żółtej – czyli popularnej – prasy. W imię obrony honoru narodu ci ludzie kłamali, podważali teorie naukowe i porządek prawny. Po drugiej stronie byli ci, którzy mówili, że państwo powinno traktować na równi wszystkich obywateli, niezależnie od pochodzenia czy ↦

MACIEJ ZIENKIEWICZ / NEWSWEEK

↦ wyznania. Tamten podział był żywy przez cały XX wiek i przetrwał do naszych czasów, jego echa słychać nawet w starciach Marine Le Pen z Macronem.

Mówiąc o naturze ludzkiej, myślałem raczej o tym, jak współcześni politycy potrafią rozgrywać nasze emocje. W skrócie: że nihiliści i cynicy manipulują naiwnymi albo zwyczajnie niezainteresowanymi.

Niewątpliwie bardzo ważne jest to, jak nasz świat zmieniła rewolucja cyfrowa. Niby mówimy o tym bez przerwy, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie do końca rozumiemy, jak głęboka jest to zmiana. Przecież ona nie dotyczy tylko kwestii kulturowych czy cywilizacyjnych: tego, że inaczej ze sobą rozmawiamy, inaczej się komunikujemy, co zresztą wymusiło też zmianę w uprawianiu polityki, bo o wiele więcej w niej dbałości o opakowanie czy rozrywkę niż o samą treść.

A media społecznościowe?

Zajmują się głównie budowaniem murów między nami. Wydaje się, że jesteśmy członkami tego samego społeczeństwa, mieszkamy z kimś drzwi w drzwi albo dom w dom, a w rzeczywistości żyjemy w innych światach. Nasze *bubbles* – bańki w tych mediach społecznościowych – w ogóle się nie stykają. Mamy różne wyszukiwarki, w tym sensie, że jeśli pan i ja wpiszemy do nich to samo słowo, dostaniemy różne rezultaty. Facebook nie tylko kradnie naszą prywatność, ale pokazuje nam to, o czym myśli, że chcemy zobaczyć. Jego algorytm dobiera nam wpisy znajomych, co do których myśli, że się nam spodobają. Podaje nam informacje, o których myśli, że chcemy je poznać. Pokazuje memy, wideo, zdjęcia, które mają odpowiadać naszym gustom i poczuciu humoru. Podsuwa nam zwierciadło naszych własnych opinii. A jest przy tym tak pomysłowy, że nawet na telefonie wyświetli nam coś innego niż na komputerze, bo wie, do czego używamy obu tych narzędzi.

Co gorsza: rzecz dotyczy nie tylko opinii, ale i faktów. Pan i ja znamy inne fakty, mamy kompletnie inny obraz świata.

Czy tak nie było zawsze?

Nigdy do tego stopnia. Nigdy też nie towarzyszyła temu aż taka pewność siebie, której dodaje nam to, że obracamy się wyłącznie w świecie ludzi myślących bardzo podobnie.

No i najważniejsze: w internecie bardzo łatwo stworzyć nie tylko *fake news*, ale całe łańcuchy *fake narratives*, fałszywych narracji, sklejających ze sobą te *fake news* – a można też zaprząc prawdziwe newsy do fałszywych narracji. W efekcie ktoś może żyć w kompletnie fałszywej rzeczywistości. Że takie rzeczy miały wcześniej miejsce? Może w jakichś odciętych od świata sektach, gdzie guru od początku do końca kontrolował przekaz. Nie w centrum wielkiego miasta w środku Europy czy Ameryki.

Dzisiejsza Polska przypomina tę powojenną.

Okres rządów monopartyjnych właśnie się zaczął, władza staje się coraz bardziej autorytarna, a ludzie po prostu próbują żyć, dostosowując się do jej wymagań.

Od paru lat przekonuje Pani, że pionierzy tworzenia takich fake narratives pracują w putinowskiej Rosji.

Putin i jego ludzie zrozumieli dużo szybciej niż my, jakie możliwości dają nowe technologie. Tradycja sięgania po dezinformację w celach politycznych jest zresztą w Rosji bardzo bogata, tylko że kiedyś trzeba było przygotowywać ją miesiącami. W latach 80. XX wieku Sowieci próbowali przekonać świat, że wirusa HIV wyprodukowano dla CIA, inspirowali publikacje na ten temat, wynaleźli jakiegoś francuskiego naukowca, którego autorytetem się posługiwali.

Teraz nie potrzeba już publikacji, naukowców i miesięcy: wystarczy tydzień, w trakcie którego na kilkudziesięciu laptopach można założyć setki stron internetowych i tysiące kont najrozmaitszych botów, powielających potem w nieskończoność fałszywe informacje na Twitterze czy Facebooku. Co ważne: adresując je do wąskich nieraz grup. Kiedy Rosjanie wpływali na wybory prezydenckie w USA, to w Idaho straszyli imigrantami, a czarnoskórych mieszkańców Nowego Jorku przekonywali, że Hillary Clinton jest rasistką.

Zwracam na to uwagę, bo oni sięgają po przekazy, które pozornie nie kojarzą się z oficjalną rosyjską linią. Wystarczy im wywołanie w jakimś kraju takiego zamieszania, że słabnie jego pozycja we wspólnocie wolnych narodów.

Brzmi jak aluzja do Polski.

W Polsce powinno się pamiętać, że przed Putinem byli Lenin i Stalin. Oni też wiedzieli, co to jest wojna propagandowa. Oni też mówili ludziom: „Macie wybór między przemocą, wojną, chaosem a stabilnością i spokojem, które reprezentuję ja i moja partia". Ekstremalna polaryzacja i ciągły konflikt to świetna metoda utrzymywania się przy władzy. Kiedy Putin atakował Ukrainę w 2014 r., również opowiadał całemu światu, że na Ukrainie panuje chaos i giną ludzie, a jako dowodów używał... zdjęć z innych wojen. Ukryty przekaz dla własnego społeczeństwa był taki: jeżeli mi się nie podporządkujecie, będzie tu bałagan jak w Kijowie.

Trump robi dziś w Ameryce to samo?

Jest najlepszym uczniem Putina. Wygrał m.in. dzięki jego wsparciu. I faktycznie opowiada, że jeśli kolejny raz nie wygra, to wszędzie będą zamieszki, jak teraz w Kenoshy, a wcześniej w Minneapolis. Sięga po takie metody, bo one działają. Ludzie to kupują.

Dlaczego?

Bo się boją. Kiedy są momenty chaosu i niepewności, zewsząd słychać tyle sprzecznych opinii, manifestanci wychodzą na ulice, a do tego jeszcze trwa epidemia, ludzie chcą, żeby przyszedł ktoś, kto zaprowadzi ład i porządek. Trump właśnie to obiecuje. Podobnie jak dzisiejsi polscy przywódcy.

Faktycznie: gdy się zaczął koronawirus, wielu z nas miało większe zaufanie do władz. Minister zdrowia bił rekordy popularności.

A parę miesięcy później podał się do dymisji... Niejeden z nas, jak się boi, w zamian za bezpieczeństwo potrafi zrezygnować z wolności. W marcu tego roku coś takiego można było zaobserwować w wielu krajach, ale potem – na szczęście – ludzie odzyskali zdolność samo-

dzielnego myślenia. Nie wszyscy, oczywiście. Są tacy, którzy wciąż czują niepokój, kiedy widzą w telewizji strajki czy manifestacje.

Mówi Pani np. o Paradach Równości?

Tu mamy trochę inny wątek, bo w przypadku LGBT mówi się także o ataku na rodzinę i dzieci. Chociaż mechanizm wzbudzania lęku jest ten sam. Ludziom ma się wydawać, że oto przyszło coś dziwnego, obcego, w dodatku nazywanego niezrozumiałym angielskim słowem – nie chcą na to patrzeć, używają takich sformułowań jak „inwazja" czy „zaraza".

Ale zdziwiło mnie, że w tym roku PiS wyciągnął nagle taki temat.

Pięć lat temu straszył uchodźcami.

No tak, uchodźcy nie przyszli, a Żydów też prawie nie ma.

W książce „Matka Polka" – rozmowie rzece, którą przeprowadził z Panią Paweł Potoroczyn – mówi Pani o populizmie rozbudzonym nie przez polityków, ale przez zmiany cywilizacyjne. Nic w ludzkiej psychice i zdolnościach kognitywnych nie przygotowuje nas na takie ich tempo.

Ma pan dzieci?

Mam.

Wie pan, że zobaczą albo już zobaczyły w internecie rzeczy, przed zobaczeniem których chciałby je pan uchronić? Albo takie, których nie potrafi pan zrozumieć?

Wiem.

Wielu moich znajomych bardzo to przeżywa. Chcieliby cofnąć się w czasie, wrócić do swojego dzieciństwa, które wydawało im się bardziej stabilne.

Nie wydaje mi się to zjawisko aż tak nowe.

W „Zmierzchu demokracji" porównuję czasy obecne z sytuacją w Niemczech drugiej połowy XIX wieku. Szybka modernizacja, uprzemysłowienie, sekularyzacja, błyskawiczne zmiany relacji między grupami społecznymi, narodziny nowej klasy średniej, z której niemałą część stanowili Żydzi... Wielu niemieckich pisarzy tamtego czasu z nostalgią zwróciło się do przeszłości, w poczuciu, że proces modernizacji odbiera coś bardzo ważnego: heroiczne wzorce, relacje z Bogiem i z Kościołem. Mówili, że cywilizacja się degeneruje i że trzeba wrócić do korzeni.

I co? Hitler na tym wyrósł?

Nie chcę przeprowadzać aż tak prostego wnioskowania. Ale na pewno trafił na sprzyjający grunt, w dodatku jeszcze po końcu świata, jaki przyniosła I wojna światowa.

Pytam o tempo zmian, bo kiedy czytam Pani diagnozy na temat dzisiejszej Polski, brakuje mi tego elementu. Zgadzam się, że w 1989 r. wydarzył się cud. Ale cena cudu dla wielu naszych rodaków była wysoka, a rządzące krajem elity wydawały się tego nie dostrzegać.

A ja się z kolei zgadzam, że cena cudu była wysoka i że zmiany nie były dobre dla wszystkich. Oczywiście jeśli spojrzeć na statystyki, to sytuacja ekonomiczna poprawiła się każdemu. Także najbiedniejsi żyją dziś znacznie lepiej niż kiedyś. Wchodzący w dorosłość Polacy mają się dużo lepiej niż rodzice. Postęp jest niesamowity. Ale są tacy, którzy mają prawo odczuwać stratę, tęsknić np. za wolniejszym tempem życia albo uważać, że kiedy kościoły były pełniejsze, to świat był w sumie lepszy.

Chociaż przyznaję, że w swojej nowej książce zajmuję się głównie tymi, którzy liczyli na większy sukces, niż ostatecznie stał się ich udziałem. I w których zrodził się w związku z tym resentyment. Piszę głównie o elitach prawicowych i o tym, co się z nimi stało – nie o robotnikach czy ludziach z upadłych PGR-ów.

A ja myślę właśnie o tych drugich. Nie o Jacku Kurskim, który stosunkowo niedawno doczekał się upragnionych posad, ale o ludziach, którzy w ogóle nie mogli o posadach marzyć, bo do ich miejscowości przestał dojeżdżać pociąg albo autobus. Oni odreagowali gniewem na elity, opartym nie na resentymencie, tylko na własnym doświadczeniu.

Moja książka jest subiektywna i opisuje bardzo specyficzne, pokoleniowe przeżycie.

Jestem ciekaw, jak jej autorka tłumaczy sobie sukcesy PiS?

W 2015 r. moim zdaniem istotną rolę odegrała afera taśmowa. Dziwna i podobna w gruncie rzeczy do afery z mailami, które pogrążyły Hillary Clinton. Okazało się, że samo pokazanie różnicy między językiem publicznym i prywatnym – to, że teraz, z leżącym między nami magnetofonem, używamy trochę innych słów niż wtedy, kiedy go wyłączamy ↦

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem żegnamy

prof. dr hab. Marię Janion

Wybitną znawczynię polskiego i europejskiego romantyzmu
członkinię Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności
doktor honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego
WIELKĄ NAUCZYCIELKĘ
całych pokoleń gdańskiej humanistyki
wdzięcznych za
Dar otwierania Wyobraźni łączonej z naukową dyscypliną
za literackie i kulturowe fascynacje
za budzenie pasji i niezgody na ograniczenia
za romantyczne światło i jego żywe dziedzictwo

Wieczni uczniowie

POLSKIE TOWARZYSTWO STUDIÓW
NAD EUROPEJSKIM ROMANTYZMEM

↦ – może być szokiem dla elektoratu i może budować przekonanie, że tak naprawdę rządzący są grupą cyników. Na taśmach nie było mowy o niczym skandalicznym, ale sama forma rozmowy okazała się bulwersująca dla społeczeństwa. Nie bez wpływu była też tabloidyzacja mediów: wszystkie nabrały się na sensacyjność przekazu nielegalnie nagranych rozmów. Zniknął stary świat dziennikarstwa, które potrafiło zachować obiektywizm i odróżnić to, co faktycznie ważne, od tego, co w gruncie rzeczy jest nieistotne.

Ale do tego doszło oczywiście coś, o czym pan wspomniał: poczucie zaniedbania całych grup elektoratu. I nie chodzi nawet o to, że oni byli ofiarami transformacji – raczej o to, że czuli się niereprezentowani w głównym nurcie debaty publicznej. Że ich głos nie był słyszany, że byli niewidzialni. PiS zagospodarował emocje tych ludzi, a nawet postanowił je wzmocnić.

Po pięciu latach wygląda na to, że opozycja niczego się z tamtej klęski nie nauczyła.

Myślę, że niezależnie od jej wszystkich słabości w tym roku miała już o wiele trudniej. Kontrola PiS nad mediami publicznymi, siła ich propagandy to nie są rzeczy, które można by lekceważyć. Pamiętam, jak to wyglądało w ostatnich latach PRL – i myślę, że zasady są bardzo podobne. Że podobne jest odwołanie do tego podziału: u nas jest bezpieczeństwo, tradycja, rodzina, u nich zaś niebezpieczeństwo i jakieś dziwactwa.

Boję się, że trudno będzie zmienić tę sytuację. To nie są politycy gotowi na oddanie władzy w kolejnych wolnych wyborach. To dlatego powoli zmieniają ustrój państwa, ograniczają wolność mediów, instytucji finansowych, administracyjnych i sądowniczych, żeby w przyszłości nie przegrać. Budują system monopartyjny, w którym opozycja już na starcie ma nie mieć równych szans. Najbliższe trzy lata przyniosą wzrost radykalizacji, no chyba że ich plany zniweczy jakiś wewnętrzny konflikt albo pogrąży ich własna niekompetencja.

Ciekawe, że o Smoleńsku dotąd Pani nie powiedziała.

Wystarczająco dużo o nim napisałam. Mitologia tamtej katastrofy niewątpliwie była jedną z przyczyn ich sukcesu.

W ostatnich latach temat zniknął.

Co jest, moim zdaniem, jednym z błędów opozycji: że nie przypomina całej tej przedziwnej opowieści o rzekomym zamachu. Przecież to klasyczny przykład jednej z *fake narratives*, o których wspominałam. W pewnym momencie w spisek i zamach wierzyło 30 proc. Polaków. Co wynika z faktu, że 30 proc. Polaków jest w stanie przyjąć, że rząd, policja i wojsko, prokuratura i media kłamią w tak kluczowej sprawie? Że ukrywają i zacierają ślady? Moim zdaniem to, że 30 proc. Polaków jest w stanie potem uznać, że cały kraj można zniszczyć i zbudować od nowa. Że można stracić wiarę w siłę demokratycznych instytucji, czyli ostatecznie: w demokrację.

Coś bardzo podobnego wydarzyło się w Ameryce, gdzie prawie jedna trzecia obywateli uwierzyła w *fake news*, że Barack Obama urodził się w Afryce i jest w związku z tym nielegalnym prezydentem. Przecież skoro prezydent jest nielegalny, to nielegalna jest administracja, Kongres, służby. Tracisz zaufanie do państwa, podświadomie zaczynasz przyzwalać na autorytaryzm, a potem Donald Trump przychodzi na gotowe.

Lekcje Anne Applebaum

ZACZĘŁO SIĘ od lekcji muzyki. Jedna z nauczycielek w prowadzonej przez kwakrów Sidwell Friends School w Waszyngtonie, przejęta karnawałem Solidarności i wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego, zdobyła partytury polskiej muzyki renesansowej i wprowadziła kilka utworów do repertuaru szkolnego chóru, w którym śpiewała także młoda Anne Applebaum.
Potem przyszła dziennikarka i historyczka, absolwentka Uniwersytetu Yale oraz London School of Economics, której przodkowie przybyli do USA pod koniec XIX w. z położonego dziś na Białorusi Kobrynia, w trakcie studiów zaczęła zajmować się Rosją, wyjechała na kilkumiesięczne stypendium do Leningradu, a podczas niespodziewanej przerwy w podróży pociągiem przez ZSRR spędziła kilka godzin na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.
Do Warszawy trafiła po raz pierwszy w 1987 r., wkrótce została korespondentką „The Economist", opisującą przemiany w Europie Wschodniej. W roku 1989, podczas wyprawy do Berlina, gdzie właśnie upadał dzielący miasto mur, związała się z Radosławem Sikorskim – dziś są małżeństwem, mają dwóch dorosłych synów, mieszkają w Chobielinie pod Bydgoszczą.
Pierwszą książką Applebaum była reporterska opowieść o podróży przez wschodnioeuropejskie pogranicze – „Między Wschodem a Zachodem". Później powstał monumentalny „Gułag", za który

w 2004 r. dostała Nagrodę Pulitzera; żeby odreagować lata pracy nad sowieckim aparatem represji, przygotowała książkę kucharską „Przepisy z mojego ogrodu". Kolejne pozycje historyczne to „Czerwony głód", o stalinowskim ludobójstwie na Ukrainie, oraz „Za żelazną kurtyną", o ujarzmieniu narodów Europy Wschodniej w latach 1944-55. Właśnie ukazała się **„Matka Polka"** – rozmowa rzeka Pawła Potoroczyna z Anne Applebaum (wyd. OsnoVa); zimą pojawi się także polski przekład jej najnowszej książki „Zmierzch demokracji". Znienawidzona w putinowskiej Rosji, przyjmowana z wdzięcznością na Ukrainie (m.in. doktorat *honoris causa* Akademii Kijowsko-Mohylańskiej i Order Księżnej Olgi), od 2013 r. mająca polskie obywatelstwo, Applebaum jest jedną z najważniejszych komentatorek współczesnej polityki. Przez lata publikowała w „The Spectator" i „The Washington Post", obecnie związana z „The Atlantic", wykłada także na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. ©℗ MO

Uderzyło mnie w „Matce Polce" to stwierdzenie, czym dla wielu białych Amerykanów było zwycięstwo Obamy: że bez względu na to, jak nisko byli na skali społecznej albo z jak porozbijanych rodzin wyrastali, przynajmniej w jednym czuli się lepsi od czarnych – byli biali. A potem przyszedł świetnie wykształcony, mający rodzinę jak z obrazka polityk i to poczucie im odebrał.

Tak, to też jedna z przyczyn późniejszego sukcesu Trumpa.

Pytał mnie pan o zerwania po tamtym sylwestrze. W gronie znajomych z Polski w zasadzie wszyscy uwierzyli, że w Smoleńsku doszło do zamachu. Nie mogło im się pomieścić w głowie, że prezydent ich kraju może po prostu zginąć w wypadku lotniczym. Niedawno w Bydgoszczy spotkaliśmy kogoś, kto upierał się przy tym nawet teraz, po tylu latach rządów PiS, który niczego w tej kwestii nie był w stanie ustalić i kompromitował się przy każdej konferencji Macierewicza.

Tu musi chodzić o coś głębszego. Symbolika tej tragedii, w drodze do Katynia, w Rosji, odsyła do splotu historycznych skojarzeń. Przecież sama Pani mówi o „prawie Applebaum", zgodnie z którym każda długa i poważna rozmowa z Polakiem i Rosjaninem kończy się odniesieniem do wojny.

No i na tym PiS również buduje, to zresztą typowa metoda partii nacjonalistycznych. Może polski fenomen polega tylko na tym, że wszędzie w świecie z idealizowanej przeszłości wyciąga się raczej zwycięstwa i sukcesy, a tutaj celebruje się klęski.

Kiedy czytam Pani książki, myślę o tym, jak wyjątkową perspektywę ma ich autorka. Wzrastałem w kraju monoetnicznym i monokulturowym, o pozamykanych na cztery spusty granicach. W „Między Wschodem a Zachodem" dostałem obraz wielkiej płaskiej równiny, wciśniętego między cywilizacje Europy i Azji pogranicza, gdzie ciągle maszerują albo mogą maszerować jakieś armie.

Ja ciągle pamiętam, że 500 kilometrów od Warszawy – czyli niewiele dalej niż Kraków czy Gdańsk – jest Mińsk, w którym właśnie trwają protesty. Wiem, jak niedaleko jest do Berlina, Wilna czy Kijowa. Rozumiem, że Polska ciągle musiała walczyć o swoje miejsce na mapie i w tym sensie rozumiem też polski nacjonalizm: że aby istnieć i przetrwać na tej równinie, trzeba było czasami mówić głośno. Źle mówię: trzeba było. Nadal trzeba mówić głośno, tylko zawsze myślałam, że trzeba głośno mówić językiem tolerancji, demokracji, wolności – wartości, wierność którym widziałam od pierwszych przyjazdów w latach 80. i które wydawały mi się wspólne z wartościami kraju, w którym się urodziłam.

W trakcie pracy nad „Gułagiem" wyruszyła Pani statkiem na Wyspy Sołowieckie. Kiedy napotkani w trakcie tej podróży Rosjanie dowiadywali się, gdzie i po co Pani płynie, tracili ochotę na rozmowę.

Reakcje były różne. Od milczenia po pytanie, dlaczego nie chcę pisać o ich wspaniałych kosmonautach. Rzadko mówili, że niewiele o łagrach wiedzą i że chcieliby więcej. Często mieli pretensje, że moje pisanie szkodzi ich wielkiej i wspaniałej historii.

O czym nie chcą rozmawiać Polacy?

Chyba najtrudniej mówić im o doświadczeniu pierwszych lat powojennych, i jest to coś przekraczającego podziały polityczne czy klasowe. Moim zdaniem bierze się to stąd, że ogromna większość społeczeństwa zdecydowała się wówczas na kolaborację z narzuconym przez Moskwę systemem albo po prostu uznała, że trzeba się przystosować. Kiedy pisałam książkę „Za żelazną kurtyną", próbowałam rozmawiać z wieloma żyjącymi jeszcze świadkami tamtego czasu. Większość bardzo chętnie opowiadała o wojnie, o różnych heroicznych przeżyciach z lat okupacji, a potem o roku 1956, kiedy znowu mogła robić coś dobrego. Dekadę 1945–1955 spowijało milczenie. Dlaczego? Bo większość nie zachowywała się jednak bohatersko. Jasne: było wtedy wiele przemocy ze strony komunistów, była Armia Czerwona i brutalne realia geopolityki. Ale to nie jest jeszcze cała prawda.

A pan kiedykolwiek miał okazję do rozmowy o tamtych czasach?

W „Tygodniku" się o tym mówiło. Pismo powstało w 1945 r. i próbowało robić, co się da, nawet kosztem drastycznych ingerencji cenzury. W 1953 r. redakcja wydała oświadczenie w sprawie pokazowego procesu księży z krakowskiej kurii: redagowano w nim każde zdanie, ale później żałowano, że się ukazało. Potem umarł Stalin, na łamach nie pojawił się jego nekrolog i redakcję zamknięto.

No to u was było inaczej.

Tamte lata to też czas tzw. żołnierzy wyklętych, których obecna władza otacza kultem.

Dla mnie to jakieś szaleństwo. Gdy los Polski został przesądzony i opór przestał mieć sens, Armia Krajowa – wielkie sprzysiężenie i część obozu alianckiego – została rozwiązana decyzją rządu londyńskiego. A my zamiast wspominać o jej dziedzictwie, opowiadamy o garstce desperatów, którzy podjęli walkę bez najmniejszych szans, dopuszczając się czasem zbrodni na cywilach. Kompletna deformacja historii, może właśnie po to, by znaleźć jakichś bohaterów w czasach, które bohaterskie nie były?

Trochę mnie niepokoi to, że Pani porównuje dzisiejsze czasy z tamtymi.

Nie mówię, że to porównanie pasuje idealnie, ale widzę podobieństwo pewnych procesów. Okres rządów monopartyjnych właśnie się zaczął, władza staje się coraz bardziej autorytarna, a ludzie po prostu próbują żyć, dostosowując się do jej wymagań. Jeśli pracują np. w administracji państwowej, to wiedzą już, że nie mają wyboru: nie pójdą na Czarny Protest albo demonstrację w obronie sądów, bo mogą stracić pracę. Przedsiębiorcy, wśród których mam trochę znajomych, też starają się nie wychylać. O tym, co się dzieje w publicznych mediach, nie ma co mówić. A władza przejmuje jedną niezależną instytucję po drugiej, sięga nawet po muzea. Parę dni temu były minister Czaputowicz przyznał, że w kierownictwie MSZ nie ma nikogo, kto przeszedł przez szkołę dyplomatyczną albo był na jakiejś placówce. Wiadomo, że tutaj jestem stronnicza, ale osiem lat temu polskie MSZ uważano za jedno z najlepszych w Europie, a nasi dyplomaci współtworzyli politykę wschodnią UE. Dziś jesteśmy na aucie.

Wie pan, pewne rzeczy można zrobić bez przemocy. W „Za żelazną kurtyną" ↦

↦ opisuję np., jak komuniści podporządkowywali sobie Ligę Kobiet Polskich: z przedwojennej patriotycznej i charytatywnej instytucji zrobili jeszcze jedną przybudówkę swojej partii. Wymienili władze, zmienili sposób finansowania, część działaczek odeszła sama, nie widząc sensu dalszego uczestniczenia w fikcji, na ich miejsce szybko znaleziono inne i w ciągu paru lat Liga była nie do poznania.

I z czym się to Pani kojarzy?

W TVP też nikt nikogo nie zamordował. Może przed PiS-em ta telewizja była trochę nudna, może nie do końca profesjonalna, ale to akurat ludzi PiS nie martwiło. Zmienili dyrekcję, powiedzieli, że stacja teraz ma stać na straży partyjnego przekazu, a nie zajmować się jakimś tam dziennikarstwem. Trochę ludzi wyrzucili, trochę odeszło z własnej woli, a na ich miejsce przyszli inni, którzy świetnie wiedzieli, czego się od nich oczekuje. I znowu: cały proces zajął zaledwie kilka lat, nawet krócej.

Słyszałem, że następna Pani książka ma być skupiona wokół roku 1989. Czy to było okienko pogodowe, które otwarło się tylko na chwilę? Wyjątkowy moment w historii świata?

Można tak powiedzieć. Chociaż doprowadził do niego proces, który w Polsce zaczął się już w 1980 r., kiedy Solidarność podważyła mit o szczęśliwej republice robotników i chłopów. Był Kościół, o zupełnie innym obliczu niż dzisiejsze. Były niecenzurowane wiadomości z Zachodu, np. z Radia Wolna Europa. Kiedy przyjechałam do Polski po raz pierwszy, nikt się już tutaj nie bał komunistów.

Kiedy są momenty chaosu i niepewności, zewsząd płyną sprzeczne opinie i jeszcze trwa epidemia, szukamy kogoś, kto zaprowadzi porządek. Trump właśnie to obiecuje. **Podobnie jak dzisiejsi polscy przywódcy.**

Swoją ostatnią książkę pisałam głównie dla Amerykanów, z myślą, że demokracja nie jest czymś danym raz na zawsze. Przeciwnie: historia uczy, że ten system często się psuje, bo trzyma się zasad lekceważonych przez jego wrogów. Jest podatny na demagogię, już Arystoteles o tym pisał.

Jak można bronić demokracji?

Angażować się. Nie tylko głosować, ale robić coś dla swojego miasta, dzielnicy czy kraju. Zapisać się do partii prodemokratycznej, a jeśli ktoś nie lubi partii: do jakiejś organizacji społecznej. I działać. Ale do partii też się można zapisać, bo przecież jeśli wszyscy uznają, że polityka jest brudna i trzeba się od niej trzymać z daleka, to będą się nią zajmować coraz gorsi ludzie.

Rozmawiałam niedawno ze znajomym przedsiębiorcą. Narzekał i narzekał, aż w końcu nie wytrzymałam: „Dlaczego masz do mnie pretensje? Weź i zrób coś. Napisz do gazety, idź na debatę, powiedz, co trzeba zmienić, jesteś obywatelem tego kraju". Mówiłam panu na początku, że polityka nie jest wszystkim – bo nie jest. Ale politycy mają wielki wpływ na to, jak urządzone jest nasze życie. Demokracja to nie jest woda, która płynie z nigdy niepsującego się kranu. Ona potrzebuje neutralnych instytucji publicznych i zdolności do prowadzenia merytorycznej debaty. Czyli czegoś, co w Polsce jest ostatnio w zaniku.

Powiedziała Pani Pawłowi Potoroczynowi, że Pani ulubiony obraz to „Upadek Ikara" Bruegla, rozmawialiście też o poświęconym mu wierszu Audena „Musée des Beaux Arts". Poeta zauważa, jak na tym obrazie „wszystko spokojnie / odwraca się od nieszczęścia". Mam rozumieć, że Pani się nie odwraca, tylko patrzy i opisuje?

Próbuję opisywać to, co naprawdę się dzieje, a nie to, co chciałabym, żeby się działo. Przykro mi, jeśli czasami nie brzmi to optymistycznie.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@tTygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

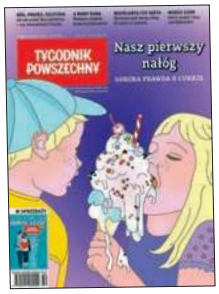

„TP" 32/2020

Ale nas zbaw od samotności

Czytając artykuł Joli Szymańskiej „Ale nas zbaw ode złego" zdałam sobie sprawę, że miałam podobne doświadczenia. Czy to przez katechetkę grzmiącą o szatanie, czy przez wyjątkową wrażliwość, okres podstawówki i gimnazjum spędziłam w strachu przed diabłem i obawie przed Bogiem. Karmiona opowieściami o świętych dziewczętach, czułam się zobowiązana do pobożności: kolejne modlitwy, przepisane na kartkę, nosiłam w kieszeni jak talizman. Opuszczałam słowo „devil", nucąc piosenkę Florence and the Machine, uzyskiwałam odpusty w panicznym strachu przed karą, wyrzuciłam nawet długopis – prezent od mamy, ponieważ widniał na nim John Lennon i pacyfka. Uratowało mnie duszpasterstwo młodzieży, gdzie ludzie żegnali się zamaszyście, żartowali z Bogiem i nie ściszali głosu, mówiąc o wierze. Żyli z Jezusem tak, jak mogą żyć nastolatki, zarażając radością i wigorem, nie poświęcając diabłu więcej uwagi, niż trzeba. Zaczęłam się uczyć zdrowej pobożności, nie oburzałam się już na adorację w zamienionej na chwilę w kaplicę jadalni. A teraz myślę, że największym zagrożeniem dla dziecięcej wiary jest samotność – w jej cieniu rodzą się paranoje, które w świetle zdrowego, wspólnotowego doświadczenia rozwiewają się jak dym ze świecy. MARIA

„TP" 35/2020

W obronie policji

Andrzej Stankiewicz, opisujący w tekście „Niebiescy, prawie brunatni" rosnącą polityczną zależność policji od PiS-u, stawia – wśród wielu przykładów, o których prawdziwości nie mam powodów wątpić – i taką tezę: „Podczas pierwszego białostockiego Marszu Równości policja nie chroniła (...) aktywistów LGBT+, których zaatakowali kibole i nacjonaliści". A na poparcie tej tezy podaje cytat – fragment mojej relacji z marszu. Mam wiele gorzkich słów pod adresem policji w ostatnim czasie, zarówno co do jej brutalności, jak i bezprawności działań. Tu jednak muszę zaprotestować. To prawda, na początku marszu w Białymstoku policja była zaskoczona i pogubiona, kiepsko skoordynowana – i faktycznie, na ul. Suraskiej brakowało funkcjonariuszy. Potem jednak to właśnie policja chroniła nas przed rozjuszonym tłumem kiboli, katolickich bojówkarzy i zwykłych mieszkańców. Gdyby nie policjanci, doszłoby do regularnego pogromu. Dlatego też zarówno w Białymstoku, jak i w Lublinie, policja otrzymała podziękowania od maszerujących. JACEK DEHNEL

„TP" 34/2020

Język obcy

„Zrobiliśmy wszystko, żeby za pomocą języka oddzielić ludzi od przyrody" – mówi w wywiadzie Adama Robińskiego przyrodnik Jacek Karczewski. I dalej: „Najpierw mówiliśmy o niej gwarą łowiecką. Potem nałożyliśmy na nią język naukowy. Wreszcie weszła do tego miszmaszu nowomowa (...) i wszędobylski angielski. Bardzo lubię angielski, ale skręca mnie, gdy słyszę, jak ktoś mówi o osobnikach juwenilnych lub ancestorach". Mnie to też irytuje, ale niestety walka jest już przegrana. Nawet wieżowce mają w większości angielskie nazwy! W Piasecznie apartamentowiec nazywa się Sand City Tower! Nasze dzisiejsze społeczeństwo ma najwyraźniej kompleksy. Hity i „bycie na topie" jest priorytetem. KRZYSZTOF J. NOWAKOWSKI, Ursynów City

PROŚBA O POMOC

Dwa lata temu usłyszeliśmy diagnozę: guz mózgu. Córka z trudem przeżyła operację i jej komplikacje, przeszła leczenie onkologiczne. Od dwóch lat nie widuje rówieśników, uczy się w domu. Codziennie ćwiczy z rehabilitantką, by wrócić do samodzielności. W lipcu okazało się, że operacja neurochirurgiczna dała kolejne powikłanie: kręgosłup szyjny uległ skrzywieniu, zagrażając rdzeniowi kręgowemu. Pilnie potrzebna jest operacja, która odsunie widmo paraliżu. Nie mamy miejsca na błędy. O pomoc poprosiliśmy najlepszy zespół w Europie. Zgodzili się, ale to kosztowne wyzwanie. Żadna odległość, żadne pieniądze nie staną nam na drodze do ratowania życia Reni. Jeśli możecie Państwo przyłączyć się do nas, prosimy o pomoc:
Zdążyć z Pomocą
42 2490 0005 0000 4600 7549 3994, tytułem: 33202 Zając Renata.

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie
Szybka wycena książek
Miejsce na nowe książki
Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

PAWEŁ

Śpiewak: *Wizyta aniołów (siódma próba)*

Abraham dokonał aktu obrzezania. Wyznaczył tym samym granicę między swoją wspólnotą i resztą ludzi. Jego lud miał odtąd żyć oddzielnie, wedle swoich praw i nakazów, świadom swego wybrania, obcy dla wielu. Akt, który oddzielił go od innych, przywiódł go bliżej do Boga i dlatego okazał się godzien wizyty Najwyższego, zatroskanego bólem swego wybrańca. Odtąd naszym nakazem i dobrym uczynkiem jest, idąc śladem Pana, odwiedzić cierpiącego.

Abraham siedział w namiocie, czekając na gości i na nauki Boga. Tak Żydzi do dzisiaj, siedząc, odmawiają modlitwę „Szma Israel" (Słuchaj Izraelu), by od Adonaj otrzymać szczególne wezwanie. Siedząc w odrzwiach domu, witamy wszystkich, którzy zostali objęci przymierzem. Wypełniamy w ten sposób wymóg gościnności. Tora uczy, że jest to pierwszym obowiązkiem Żyda: należy udzielić gościny każdemu, niezależnie, kim jest i skąd przybywa. Stoi ten nakaz nawet przed obowiązkiem uszanowania Boskiej obecności, Szechiny. Siedząc u bram piekła, Abraham broni obrzezanych przed wpadnięciem w czeluści gehenny.

Było wyjątkowo gorąco. W Talmudzie napisano, że również w dniu sądu będzie z nieba lał się żar. Grzesznicy zostaną pochłonięci, a sprawiedliwi uzdrowieni. Abraham uniósł głowę i zobaczył trzy postacie. Pojawili się niespodziewanie, jakby byli utkani z powietrza. To byli aniołowie. Każdy z nich miał inne zadanie. Michael przybył, by zwiastować Sarze narodziny dziecka, Gabriel miał zburzyć Sodomę, a Rafael – uleczyć Abrahama. Mimo bólu, Abraham zerwał się i słowem „Adonaj" (Panie) powitał gości. Kazał obmyć ich zakurzone stopy, nie tylko by lepiej się czuli, ale by usunąć ślady nieczystego. Prosił, by usiedli w cieniu dębu. Żywe drzewo nawiązuje do Tory, drzewa życia: nakazane jest, by siąść z gościem w cieniu Tory i o niej tylko rozmawiać. Abraham kazał podać im chleb, który – naucza pismo – jest pokarmem serca, a także mięso koźlęcia.

Interpretatorzy spierali się, czy to rzeczywiście się zdarzyło. Majmonides-Rambam uważał, że ludzkie zmysły nie pozwalają dojrzeć aniołów. Cała ta scena jest wtedy czymś na pograniczu snu i jawy, niesie obraz wizyjny, dostępny jedynie czystym i świątobliwym. Anioł Michael zapowiada, że za rok urodzi się im dziecko. Sara nie mogła w to uwierzyć. Oboje rodzice byli już bardzo starzy. Abraham wtedy upewnił się, że ma przed sobą anioły. To, co po ludzku było niemożliwe, stało się możliwe tylko za sprawą Boga. Sara poczęła dziecko w Nowy Rok, a Izaak urodził się na święto Pesach.

Po posiłku aniołowie ruszyli w kierunku Sodomy. Odprowadził ich Abraham. Tam wydarzyła się straszna katastrofa. Z nią związana jest już kolejna, ósma próba wiary ojca narodów. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Zdrowie prawem człowieka*

Od początku w Kościele żyć po chrześcijańsku nie było łatwo. Wbrew temu, co się mówi, sielankowa jedność nigdy nie istniała. Byłoby pięknie, gdyby mit założycielski wszelkich społeczności, w tym Kościoła, był reportażem, najlepiej filmowym. Ale tak nie jest. Mateusz nie bez powodu opisuje następujące wydarzenie: „Piotr zapytał: Panie, ile razy mam przebaczyć bratu, jeśli wobec mnie zawini? Czy aż siedem razy? Jezus mu odpowiedział: Nie twierdzę, że siedem, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy", czyli w nieskończoność. Nic to nowego, w Księdze Syracydesa czytamy: „Przebacz zło twemu bliźniemu, a wtedy, gdy będziesz prosił, Bóg tobie przebaczy. (...) Czy ktoś, kto żywi gniew przeciw bliźniemu, może szukać uzdrowienia u Pana?".

Słuchając tych słów chętnie widzimy siebie w roli pokrzywdzonych, którym należą się przeprosiny, a tymczasem – jesteśmy krzywdzicielami. Jak to sprawdzić? Chciejmy sobie przypomnieć, kiedy ostatnio modliliśmy się za tych, których skrzywdziliśmy. Dlatego trzeba uważnie słuchać krytykujących nasze postępowanie, gdyż ci krytykujący mogą mieć ku temu słuszne powody. „Jeżeli twój brat zgrzeszy przeciw tobie – mówi Jezus – idź i upomnij go w cztery oczy. Jeśli cię usłucha, pozyskasz swego brata". Dajmy się upominać.

Bóg mówił do proroka Ezechiela: „Otóż ciebie, synu człowieczy ustanowiłem stróżem ludu Izraela. Gdy usłyszysz słowo z moich ust, ostrzeżesz ich w moim imieniu". Dzisiaj Bóg też posyła proroków i nie muszą nimi być wyłącznie chrześcijanie. Prorocy ci, wyraźniej niźli im współcześni, dostrzegają, gdzie i pośród jakich ludzi przebywa Bóg, gdzie dzieje się historia, a więc sprawy, od których zależy dola lub niedola całych pokoleń. Choć dzisiaj należałoby mówić również o losie całej Ziemi, a za chwilę – całego kosmosu.

Niedawno papież Franciszek tak twitował: „Odpowiedź na pandemię powinna być dwojaka: powinniśmy znaleźć lekarstwo na małego wirusa, który rzuca cały świat na kolana, ale musimy leczyć także wielkiego wirusa, tego związanego z niesprawiedliwością społeczną". Za tę wypowiedź podziękował mu Tedros Adhanom Ghebreyesus, dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia. Napisał, że całkowicie zgadza się z papieżem: „Pandemia COVID-19 pokazuje, że ze zdrowia trzeba uczynić prawo człowieka dla wszystkich i nie pozwolić, aby było ono przywilejem dla nielicznych. Kryzys daje nam również możliwość odbudowania lepszego, bezpieczniejszego i sprawiedliwszego świata – razem!".

Tę wypowiedź dwóch „synów człowieczych" należy odebrać jako przypomnienie i napomnienie. Zwłaszcza dla tych, dla których komunia „do ust" i wybory ważniejsze są od zdrowia i życia bliźnich. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Moc Słowa

Uwaga i modlitwa są jednym – jak dusza i ciało.

METODA ŚWIĘTEJ MODLITWY I UWAGI

Bo nie o jakąś tam drobnostkę toczy się walka, ale o rzecz zasadniczą: czy będziesz szalony, czy przy zdrowych zmysłach.

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

We wrześniowe wspomnienie świętego Grzegorza Kościół czytał nam w liturgii Ewangelię o powołaniu pierwszych uczniów zaczerpniętą od św. Łukasza (Łk 5, 1-11). Ta Ewangelia zawsze była dla mnie ważna. Teraz dotarła do mnie ze wzmożoną siłą, zwłaszcza w kilku swoich momentach.

Pierwszy: Szymon (przyszły Piotr) mówi do Jezusa: „Nauczycielu, całą noc pracowaliśmy, i niceśmy nie ułowili; lecz na Twoje słowo zarzucę sieci".

„Na Twoje słowo...". Cały wcześniejszy rozdział traktuje o tym, że Szymon widział moc Słowa Jezusowego. Widział, jak swoim Słowem w synagodze w Kafarnaum Jezus wyrzucił demona z człowieka opętanego (wraz z innymi był pewnie „zdumiony", gdyż Słowo Jezusa było „pełne mocy", zob. Łk 4, 32 i 36). Zaraz potem we własnym domu był świadkiem tego, że Nauczyciel swoim Słowem „rozkazał" (w. 39) gorączce, która trawiła jego teściową, i ta ją opuściła. Teraz wezwany jest, by temu Słowu, pełnemu mocy, otworzyć przestrzeń własnego życia – by uwierzyć, że może ono działać z mocą także pośrodku jego bezsiły i bezowocności: „niceśmy (...), lecz na Twoje Słowo (...)".

Św. Hieronim tłumaczy mocniej: „w Twoim Słowie" (*in verbo Tuo*). Owocność nie bierze się bowiem z naszych słów, które wypowiadamy na Jego polecenie, ale tylko i wyłącznie z Jego Słowa, które przekazujemy. W ten sposób cud na jeziorze staje się ważnym pouczeniem dla Szymona – znakiem na przyszłość: „będziesz ludzi łowił". Jak? Moim Słowem! Twoje jest bezowocne, ale Moje przyniesienie połów, którego nie ogarniesz. Będziesz wzywał innych, by ci pomogli.

Moment drugi to dialog: „– Wyjdź ode mnie, bo jestem człowiekiem grzesznym. – Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił!" (Łk 5, 8 i 10).

Nie powiedział mu: „Nie, nie jesteś grzesznikiem"; nie powiedział mu tym bardziej: „Nie martw się, inni są bardziej grzeszni od ciebie"; nie powiedział mu nawet: „Odpuszczają ci się Twoje grzechy". Powiedział mu: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił". Czy chciał mu w ten sposób powiedzieć: „Misja jest dla grzeszników"? A może chciał powiedzieć: „Dopiero misja cię uleczy"? Wtedy, konsekwentnie, na pewno chciał mu powiedzieć: „Do misji trzeba pokory grzesznika, a nie pewności siebie tego, który nigdy nie popełnił błędu".

Czemu powiedział mu: „Nie bój się"? Nie chodziło Mu przecież o siebie. Szymon nie przestraszył się Jezusa. Szymon przestraszył się – i słusznie – siebie. Swego grzechu – szczególnie w kontraście ze świętością Jezusa. W kontraście ze światłością Pana własna ciemność (a właściwie: zobaczenie własnej ciemności) może zabić. Jest się czego bać. Jezus mówi: „Nie bój się". Uwierzyć temu Słowu to równie trudne (trudniejsze?) niż temu, które pada później: „będziesz łowiącym ludzi". ©

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 IX)

24. niedziela zwykła: Syr 27, 30 – 28, 7; Ps 103; Rz 14, 7-9; Mt 18, 21-35;
Poniedziałek – Podwyższenia Krzyża Świętego: Lb 21, 4b-9; Ps 78; Flp 2, 6-11; J 3, 13-17;
Wtorek: Hbr 5, 7-9; Ps 31; J 19, 25-27 albo Łk 2, 33-35;
Środa: 1 Kor 12, 31 – 13, 13; Ps 33; Łk 7, 31-35;
Czwartek: 1 Kor 15, 1-11; Ps 118; Łk 7, 36-50;
Piątek: Mdr 4, 7-15; Ps 148; Łk 2, 41-52;
Sobota: 1 Kor 15, 35-37. 42-49; Ps 56; Łk 8, 4-15;
25. niedziela zwykła: Iz 55, 6-9; Ps 145; Flp 1, 20c-24. 27a; Mt 20, 1-16a.

RAZ NA WSCHÓD, RAZ NA ZACHÓD

Polityka zagraniczna PiS jest bardziej pragmatyczna, niż się wydaje, ale przez to łatwiej ulega grupom nacisku. Także prorosyjskim.

KLAUS BACHMANN

Burza w szklance wody się skończyła, Niemcy mają nowego ambasadora z polskim *agrément*, relacje bilateralne nie ucierpiały na bezsensownym sporze. Ten przypadek nie jest jednak odosobniony i pozwala zobaczyć, jak obecnie funkcjonuje polska polityka zagraniczna. Już wcześniej przy podejmowaniu (albo zaniechaniu) decyzji w tym obszarze zadziałały podobne mechanizmy, prowadząc do podobnych konsekwencji – często nawet bez wiedzy, zgody i świadomości decydentów.

Wbrew twierdzeniom opozycji konsekwencje te nie wynikają ani z ideologicznych przesłanek („obsesyjna wrogość do Niemiec"), ani ze słabości państwa („państwo z dykty"), ani z braku kompetencji rządzących. Być może rządzący są niekompetentni i działają z ideologicznych motywacji, a państwo jest słabe, ale nie w tym rzecz: to samo by się działo, gdyby polskie państwo było silne, rząd fachowy, a rządzący kompetentni. Być może wtedy dałoby się lepiej ukryć konsekwencje przed opinią publiczną, choć nie byłyby wcale inne.

Nic nie jest dobre dla wszystkich

W Polsce panuje wyidealizowane wyobrażenie o polityce, która może i powinna być „dobra" dla całego kraju i wszystkich Polaków. Wymaga więc niezależnych fachowców, którzy w oderwaniu od interesów partyjnych, a jeśli trzeba, to nawet wbrew własnym, osobistym interesom, szukają i wymuszają na reszcie świata maksimum tego, co jest „dobre dla Polski".

Jest to wyobrażenie naiwne i nierealistyczne – przecież Polacy mają bardzo różne, często przeciwstawne orientacje polityczne i ideologiczne, różne też są ich interesy materialne. Nieraz jednak ci sami, którzy diagnozują, że „Polska jest głęboko podzielona", jednocześnie postulują, aby polityka od tych podziałów abstrahowała. Dotyczy to zwłaszcza polityki zagranicznej, gdzie w powszechnym przekonaniu rząd i opozycja, a nawet media, powinny mówić jednym głosem, unikać podziałów i poświęcić własne interesy i przekonania dla dobra wspólnego.

Badania nad negocjacjami międzynarodowymi przeczą tezie, że przewagę w nich ma ten, kto działa jak monolit. Gdyby tak było, państwa demokratyczne byłyby na z góry przegranej pozycji wobec państw autorytarnych porównywalnej wielkości, a instytucjonalnie „głęboko podzielone", bo zdecentralizowane federacje przegrywałyby negocjacje z państwami centralnie zarządzanymi. Małe i zdecentralizowane państwa nie miałyby powodu, aby w ogóle przystąpić do negocjacji, wiedząc z góry, że muszą przegrać.

Zdarza się jednak, że „głęboko podzielone" i małe państwo wygrywa negocjacje z większym, unitarnym i centralistycznym molochem. Jego rząd może bowiem wiarygodnie tłumaczyć drugiej stronie, że ze względu na ograniczenia w polityce wewnętrznej nie może pójść na zbyt daleko idące ustępstwa. Zostałyby one odrzucone przez którąś z niezależnych od

BARTOSZ BANIKA / AGENCJA GAZETA

Polska Fundacja Narodowa (finansowana głównie przez spółki Skarbu Państwa) dwa lata temu zakupiła jacht „I Love Poland". Bierze on udział w regatach na całym świecie, ale już dwukrotnie znikał z obiegu i trafiał na długie poważne remonty. Na zdjęciu w Gdyni we wrześniu 2018 r.

rządu instytucji – np. Trybunał Konstytucyjny czy niechętnego rządowi prezydenta – albo przez większość parlamentarną lub elektorat w drodze referendum. Mały wygrywa wtedy właśnie dlatego, że ma ręce bardziej związane niż duży. Rozmontowanie bądź podporządkowanie sobie przez PiS instytucji kontrolnych (Trybunał Konstytucyjny, Sejm, prezydent) doprowadziło w Polsce do paradoksalnej sytuacji: wzmocniło rząd na arenie wewnętrznej, ale osłabiło jego zdolność do powstrzymania w drodze negocjacji zmian na arenie UE i NATO.

Wewnętrzne ograniczenia przydają się więc, kiedy dana strona chce zapobiec, by inni narzucili jej daleko idące zmiany *status quo*. Inaczej jest wtedy, gdy chce się ich do czegoś nakłonić – np. zachęcić do śmiałych reform albo ambitnego nowego układu. Szukając porozumienia z opozycją, premier Morawiecki wzmocnił swoją pozycję w negocjacjach z europejskimi partnerami, w których Polska domaga się większej ingerencji UE na Białorusi niż pozostałe państwa członkowskie.

Szeptem i krzykiem

Polityka zagraniczna – tak jak polityka w ogóle – nie może być „dobra dla Polski" w tym sensie, że zadowoli wszystkich. Rolnikom, którzy eksportują do Rosji, zależy na tym, aby nie tylko cła były tam niskie, ale i kurs złotego. Firmom importującym z Niemiec zależy na tym, aby stosunki z Niemcami były dobre, granice otwarte, a złoty silny. Są też grupy nacisku, którym pośrednio zależy na złych stosunkach z sąsiadami – to przedsiębiorstwa mające monopol na rynku polskim, którym zagraża konkurencja zagraniczna i które naciskają na rząd, aby prowadził politykę protekcjonistyczną. W zależności od tego, z kim jest im bardziej po drodze, łączą się, dzielą, zawierają koalicje i organizują wspólne protesty.

Można odróżnić dwa rodzaje wywierania wpływu na politykę zagraniczną: za pomocą krzyku i za pomocą szeptu. Szeptem posługują się zazwyczaj grupy pozbawione szans na przekonanie opinii publicznej i niemające tylu zwolenników, aby pójść demonstrować przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Włączają się w prace komisji sejmowych, zapraszają decydentów na konferencje, zabierają ich na wycieczki, wpłacają na fundusze wyborcze, zakładają think tanki, które politykom dostarczają (rzekomych albo prawdziwych) naukowych argumentów za lub przeciw konkretnym decyzjom, ustawom i rozporządzeniom.

Związki zawodowe i organizacje branżowe posługują się „krzykiem" – najbardziej widowiskowo robiła to Samoobrona, ale ZNP i związki zawodowe górników też są w tym niezłe. Tam, gdzie ich przeciwnicy korumpują polityków za kulisami, one urabiają opinię publiczną tak, aby ludzie bez związku z górnictwem, rolnictwem albo szkolnictwem popierali ich postulaty, uznając je za „dobre dla kraju", a nie tylko za dobre dla pracowników danej branży. Politycy mają odnieść wrażenie, że za ich postulatami stoi tak duża część społeczeństwa, iż trzeba je uwzględnić, by nie tracić głosów w wyborach.

Pułapka pragmatyzmu

Rządy PiS były dotąd mało ideologiczne i skrajnie pragmatyczne. Z wielkich projektów wobec Rosji (pociągnięcie jej do odpowiedzialności za Smoleńsk) i wobec Niemiec („reparacje") wycofano się po cichu i bez najmniejszego sukcesu. W polityce wobec USA kontynuuje się linię poprzednich rządów, by zwiększyć amerykańskie zaangażowanie militarne w Polsce. Samo PiS nie twierdzi zresztą, że robi coś innego, twierdzi tylko, że robi to lepiej niż poprzednicy. W stosunku do Unii PiS ustępuje, kiedy grożą konsekwencje, które mogą negatywnie wpływać na sondaże lub wybory, ignoruje zaś instytucje UE, kiedy nie spodziewa się takich skutków.

Najbardziej zmieniła się nie polityka (decyzje, alokacja środków, prawo), lecz to, na co media i opozycja zwracają największą uwagę i czym najłatwiej można wywołać oburzenie: retoryka. Ona faktycznie jest teraz zupełnie inna niż przed 2015 rokiem: bombastyczna, pełna pustej symboliki, wielkich gestów bez pokrycia. Towarzyszy jej nachalna propaganda sukcesu, a czasami nawet świętowanie porażek jako wiekopomnych zwycięstw. PiS przykrywa tym swój niesłychany ↦

pragmatyzm, który każe mu robić dzisiaj coś przeciwnego niż wczoraj, jeśli tylko lepiej zagwarantuje sobie w ten sposób utrzymanie władzy. Przy czym propagandziści stanowczo będą twierdzić, że wczoraj i dziś ich rząd robi dokładnie to samo, a tylko „totalna opozycja" i „obce media" twierdzą coś innego.

Właśnie pragmatyzm jest tu problemem. Każde lobby, każda grupa nacisku, każdy koncern, który ma wystarczające środki, aby rządzącym coś szepnąć do ucha albo urabiać nas krzykiem na billboardach, rząd może ciągnąć w swoim kierunku, jeśli tylko taka zmiana kursu nie grozi PiS utratą władzy. Brak programu w polityce zagranicznej sprawia, że konkretne decyzje, ustawy i rozporządzenia mogą raz być prounijne, a innym razem antyunijne, proukraińskie lub antyukraińskie, w zależności od tego, jak się zmienia układ sił w prorządowych organizacjach społecznych.

Do 2015 r. polskie rządy miały jakieś zręby polityki zagranicznej, które służyły im za miarę, jak daleko można ustępować krajowym grupom interesu, aby nie zniweczyć własnych celów. Teraz tego nie ma, a polityka zagraniczna Polski przypomina samotną łódkę, w której żagiel dmuchają grupy nacisku, kierując ją raz na zachód, raz na wschód.

Groźne strzępy

PiS na niespotykaną skalę dofinansowało i wzmocniło – a niekiedy samo stworzyło – grupy nacisku, które teraz, niejako za państwowe pieniądze, ograniczają pole manewru rządu w polityce zagranicznej. Najlepiej widać to na przykładzie środowisk „broniących dobrego imienia Polski", nieprzypadkowo zasilanych przez monopolistyczne przedsiębiorstwa państwowe. Te grupy najpierw przeforsowały ustawę o IPN, a dziś stoją za zmianami prawa, które mają nałożyć kaganiec na media, dając czytelnikom i „organizacjom społecznym" (tzn. tymże grupom) szerokie możliwości zaskarżania i prawnego nękania dziennikarzy lub wydawców.

Skutki uchwalenia ustawy o IPN są dobrze znane; pragmatyzm PiS sprawił, że z tego sztandarowego projektu polityki historycznej zostały tylko strzępy. Jednak dzięki tym strzępom grupy nacisku, które wcześniej ustawę forsowały, i tak dopięły swego. Mimo zmian dokonanych w parlamencie i Trybunale Konstytucyjnym zostały w niej bowiem przepisy, które umożliwiają (a nawet zaostrzają) wszystko, co pierwotny projekt przewidywał: karanie, nawet więzieniem, za negowanie zbrodni, choćby dokonało się ono w ramach działalności naukowej i artystycznej i, co najważniejsze, możliwość zastępowania państwa w sądzie przez organizacje społeczne w sprawach cywilnych.

> PiS na niespotykaną skalę wzmocniło – a niekiedy samo stworzyło – grupy nacisku, które teraz, niejako za państwowe pieniądze, **ograniczają pole manewru rządu** w polityce zagranicznej.

To wszystko jest teraz ograniczone do zbrodni ukraińskich, zresztą pokracznie i mało precyzyjnie zdefiniowanych; rząd nie musi się już obawiać retorsji ze strony Stanów Zjednoczonych lub Izraela (bo Holokaust z tych regulacji wyjęto). Jednak organizacje, którym na uchwaleniu ustawy zależało, nadal mogą składać skargi. Szanse na wygraną są skromne, dopóki w Polsce większość sędziów zachowuje kręgosłup moralny, ale wcale nie o wygraną chodziło. Organizacja społeczna, która składa doniesienie na autora lub artystę do prokuratury, nic na tym nie zarabia, zapewnia sobie jedynie poklask i uwagę mediów. Adwokat organizacji społecznej, która składa pozew cywilny, dostaje jednak 15 proc. wartości pozwu bez względu na to, czy w końcu wygra. To ważny szczegół, bo pojawia się jeszcze w innych sprawach.

Zarobić na przegranych procesach

W ubiegłej kadencji parlamentu bliskie rządowi grupy nacisku próbowały wyjąć Polskę z międzynarodowego systemu wzajemnego uznania immunitetu państwa i umożliwić obywatelom polskim pozywanie obcych państw przed polskie sądy. Działo się to na dwa sposoby. Najpierw grupa posłów wokół Arkadiusza Mularczyka zaskarżyła do Trybunału Konstytucyjnego przepisy przyznające obcym państwom immunitet procesowy w Polsce. W nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym znalazła się z kolei furtka (w przepisach dotyczących skargi nadzwyczajnej składanej przez prezydenta) umożliwiająca prokuratorowi generalnemu podważenie wyroków dotyczących immunitetu obcych państw przed Sądem Najwyższym.

Skarga Mularczyka wygasła wraz z kadencją poprzedniego Sejmu, furtka „prezydencka" jest nadal otwarta. Chodziło oczywiście o to, aby umożliwić ofiarom okupacji niemieckiej uzyskanie „indywidualnych reparacji" przed polskimi sądami w sytuacji, kiedy żaden międzynarodowy trybunał nie ma tu kompetencji, a sądy niemieckie odrzucają takie skargi odwołując się do immunitetu (ich) państwa.

Treść przepisów nie ogranicza zasięgu takich skarg do Niemiec, można je składać też przeciwko Rosji, Ukrainie i innym. Oczywiście gdyby polskie sądy przyznały skarżącym rację, Polska ryzykowałaby przegraną przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, a gdyby zignorowała jego wyrok – naraziłaby się na retorsje innych państw i na utratę swojego immunitetu przed obcymi sądami. Państwo mogłoby więc na tym tylko tracić, w przeciwieństwie do grup interesów, które przeforsowałyby zmiany. Ich adwokaci mogliby składać pozwy i zarobić nawet w przypadku przegranej w sądzie, a w przypadku wygranej ich klienci zajmowaliby np. majątek RFN w Polsce, który rząd Niemcom musiałby rekompensować, aby wspomnianych retorsji uniknąć.

Pragmatyzm PiS rozbroił ustawę o IPN, choć ostrze antyukraińskie zostało, ku oburzeniu opinii publicznej i dyplomacji Ukrainy. Próby zniesienia immunitetu państw spotkały się ze zdziwieniem, i na tym się skończyło, bo sprawa przed TK wygasła; obecnie prokurator generalny trzyma pieczę nad decyzją, czy podważyć immunitet obcego państwa przed Sądem Najwyższym. Skutki dla polityki zagranicznej były więc umiarkowane.

Ukraińska pętla

Fakt, że jedyne ostrze z ustawy IPN skierowane jest teraz przeciwko Ukrainie, nie jest wynikiem przypadku, lecz właśnie zmian wśród prorządowych grup nacisku. PiS to pierwsza partia, której udało się skupić niemal całe środowisko

niechętne zbliżeniu z Ukrainą – w przeszłości podzielone między partiami prawicowymi, PSL i postkomunistyczną lewicą. Ponieważ jednak PiS pretenduje też do miana partii najbardziej antyrosyjskiej i już na początku swoich rządów wyeliminowało z ważnych pozycji kilku prominentnych działaczy prorosyjskich, prorosyjska grupa wewnątrz PiS zmieniła taktykę.

Jej przedstawiciele nie jeżdżą już na Krym, nie obserwują „wyborów" na Białorusi i nie uczestniczą w akcjach propagandowych Kremla. Zamiast tego atakują rząd w Kijowie albo Ukraińców jako takich za rzekome prześladowanie Polaków, wybielanie „banderowców" czy wrogą wobec Polski politykę historyczną i domagają się, aby każdy gest wobec Ukrainy poprzedziło przyznanie się przedstawicieli strony ukraińskiej do „prawdy historycznej" – czyli do „ludobójstwa na Wołyniu".

W przypadku oskarżeń o sprzyjanie Kremlowi mogą się powołać na to, że ta „prawda" jest ujęta w rezolucji Sejmu i w ustawie o IPN, która penalizuje jej negację. Wielu polityków PiS głęboko i z pełnym przekonaniem zaangażowało się po stronie Ukrainy, po 2014 r. bardziej niż kiedykolwiek. Ale oprzeć się szantażowi moralnemu jest niesłychanie trudno: nikt dzisiaj nie chce się narazić na zarzut, że neguje „ludobójstwo ukraińskich nacjonalistów" i tym samym „obraża ich polskie ofiary". I tu pętla perfekcyjnie się zaciska, a wspieranie organizacji walczących o dobre imię Polski ściera się z pragmatyzmem i wielką geopolityką.

Pies wzmacnia ogon

Donos do prezesa PiS na ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza, że zgodził się, by ambasadorem Niemiec został szlachcic o pruskich korzeniach, którego ojciec był adiutantem w sztabie generalnym Wehrmachtu, sparaliżował MSZ i przyczynił się do odejścia ministra. W stosunkach polsko-niemieckich było to jednak co najwyżej lekkie i krótkotrwałe spięcie. Inaczej będzie z najnowszą inicjatywą ustawodawczą PiS, która teraz już nie nazywa się „repolonizacją" mediów, ale ich „dekoncentracją".

Obserwatorzy i komentatorzy skupili się na tych podmiotach, które w myśl projektu miałyby odsprzedać swoje udziały w polskich koncernach medialnych. Tu tkwi faktycznie potencjał konfliktu z Niemcami, Szwajcarią, Czechami i Stanami Zjednoczonymi. Z tym że w przeciwieństwie do pierwszych trzech krajów z tej listy, Stany Zjednoczone mogą w Polsce obalać ministrów i w ostateczności też rząd. W takiej sprawie nie liczyłbym na moralne rozterki Donalda Trumpa. Władze tych czterech krajów nie będą raczej skłonne uwierzyć, że polityka polskiego rządu zmierza jedynie do „uporządkowania rynku" i „zniesienia monopoli". Wystarczy, że sięgną do tego, co premier, prezydent, prezes partii rządzącej, minister sprawiedliwości i posłowie PiS mówili w ostatnich tygodniach o mediach znajdujących się poza ich kontrolą.

Nie chodzi jednak tylko o to, że obóz rządzący chce pozbyć się krytycznych wobec niego mediów albo przynajmniej je osłabić. Jeśli ustawa ma zmusić inwestorów do sprzedaży udziałów, to ktoś musi je kupić. Na rynku nie da się sprzedać gazet, stacji radiowych i telewizyjnych, o których wiadomo będzie, że mają zostać kolejną tubą władzy. Kto wątpi, niech spojrzy na wyniki finansowe i kurczące się czytelnictwo oraz oglądalność państwowej telewizji i różnych walczących o przeżycie (mimo hojnych dotacji) mediów prawicowych.

Nabywcami akcji będą więc podmioty z tego samego powiązanego z państwem kompleksu finansowo-przemysłowego, który ma wszelkie powody, aby się bać zachodniej konkurencji i od lat finansuje (albo pośredniczy w finansowaniu) organizacje, które starają się zapobiec zbliżeniu Polski z innymi krajami. W ten sposób PiS znowu zwiększa siłę – tym razem kredytami państwowych banków – lobby, które potem próbuje wymusić na rządzie protekcjonistyczną i niechętną wobec sąsiadów politykę. Tak oto pies cały czas wzmacnia ogon, który nim macha.

© KLAUS BACHMANN

Nagroda imienia Jerzego Turowicza

Nagroda imienia Jerzego Turowicza, ustanowiona w 2012 roku w setną rocznicę urodzin twórcy i redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego", przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź pracę z dziedziny nauk humanistycznych, znajdujące się w kręgu wartości bliskich Jerzemu Turowiczowi i tematów, do których wracał on w swojej publicystyce i działalności publicznej. Kandydować mogą dzieła twórców polskich, żyjących w chwili jej ogłoszenia. Tegoroczna edycja (2020) obejmuje dzieła z lat 2018–2020.

Nagrodę stanowią: statuetka oraz nagroda pieniężna w wysokości ogłaszanej co roku przez Zarząd Fundacji. Wyboru laureata dokonuje Kapituła, powołana przez Zarząd i Radę Fundacji. Prawo zgłaszania kandydatur mają członkowie Kapituły, Zarządu i Rady Fundacji Jerzego Turowicza, redakcje „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i innych czasopism kulturalnych, wydawcy, związki twórcze oraz wcześniejsi laureaci. Zgłoszenia na piśmie prosimy wysyłać do 30 listopada br. na adres: Fundacja Jerzego Turowicza, ul. Leśna 21, 30–232 Kraków lub **fundacja@turowicz.org**

Wręczenie Nagrody planowane jest na styczeń 2021 r.

Właścicielem wszelkich praw materialnych i niematerialnych związanych z Nagrodą, a w szczególności takich jak logo i nazwa konkursu, jest Fundacja Jerzego Turowicza.

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem
żegnamy

Ś. † P.

Józefę
Hennelową

wybitną publicystkę
i wspaniałego człowieka,
naszą współfundatorkę
i członkinię Kapituły
Nagrody Jerzego Turowicza.

Fundacja
Jerzego Turowicza

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Wycięta aleja drzew w okolicy Goszczyna na Pomorzu. 8 lipca 2018 r.

Aleja, której nie ma

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Dwieście sześćdziesiąt dwa stare drzewa wycięto, by poszerzyć drogę średnio o pół metra.

Lato to kolory. Kaszubskie lato jest żółte od słońca, od rzepaku, od pęczniejących w kłosach zbóż. Srebrzyste, sine, gołębie. Zmienne jak morze. Błękitne jak chabry z kaszubskiego haftu. I zielone oczywiście. Połyskliwe jak bukowe liście, matowe jak igły wydmowych sosen. Zielone jak stare przydrożne aleje, skarb północnej Polski. To było dwa lata temu, na początku lipca, w pierwszy dzień naszych wakacji. Szczęśliwi, że dobiegła końca długa, męcząca podróż z Warszawy, ruszyliśmy prosto na plażę. Jak co roku. Nad morze mamy raptem parę kilometrów pięknej drogi w cieniu starych drzew.

Skręciliśmy z wojewódzkiej w lokalną. W myślach już szykowaliśmy się na zieleń klonów, które wyznaczały tu drogę pewnie od setek lat. Ale przed naszymi oczami rozciągała się pustka. Drzewa zniknęły. Na brzegach jezdni straszyły pnie wyciętych drzew i wyszarpane z ziemi ogromne karpy. W wielu miejscach po drzewach pozostały już tylko ogromne leje. Jak po bombardowaniu. Może to zawodna pamięć, może to atmosfera tego wspomnienia, ale wydaje mi się, że na tym pobojowisku, na tym cmentarzysku panowała głucha cisza. Zrobiłem zdjęcie każdego pnia, każdej karpy, każdego dołu, w którym przez lata rosły te drzewa. I pożałowałem, że nie zatrzymywałem się tu częściej. Naiwnie myślałem, że będą tu zawsze, tak jak były przez wieki. Wszelki ślad po starych drzewach miał wkrótce zniknąć.

Do sprawy wróciłem w tym roku, może pandemiczne spowolnienie sprawiło, że postanowiłem zmierzyć się z trochę niewdzięczną materią dokumentów urzędowych. Karuzele z urzędami to nie jest moja ulubiona forma aktywności ekologicznej. Wolałbym chodzić po łąkach i fotografować motyle. Albo spotkać się w końcu z borsukiem, który patroluje opłotki naszej wsi. No ale od słowa do słowa, od urzędnika do urzędnika dostałem odpowiedzi na trapiące mnie pytania.

Nie można inaczej?

Pismo z Zarządu Dróg dla Powiatu Puckiego i Wejherowskiego napisane było w tonie suchym i urzędowym. Mimo wszystko odebrałem je emocjonalnie. Potrzebowałem paru tygodni, żeby strawić to, co tam wyczytałem. Skala wycinki była znacznie większa, niż podejrzewałem. Oprócz moich drzew zniknęły te na odcinku prowadzącym przez las i te na torfowych łąkach, z kaszubskiego Goszczyna do olęderskich Karwieńskich Błot. Ale tamte znałem słabiej, tylko z przelotnego widzenia. W sumie wycięto 262 drzewa.

Cierpliwie brnę przez tabelki z inwentaryzacji. 64 klony z mojej alei były siedliskiem chronionych porostów. Porosty są w ogóle niepojęte. Bo jak zrozumieć organizm, który składa się zawsze z dwóch. Z grzyba i glona. Ludzie mogliby

się od nich uczyć dobrej, niezakłóconej współpracy. Grzyb daje wodę, glon daje węglowodany i tak w tandemie nawet przez 50 lat. Porosty ogląda się pod lupą albo mikroskopem, dopiero wtedy można docenić misterne struktury izydiów, soraliów czy pseudocyfellów. Na moich klonach żyły objęte ścisłą ochroną gatunkową, zagrożone wyginięciem odnożyce kępkowa i jesionowa, a także objęte ochroną częściową odnożyce opylona i mączysta, i wabnica kielichowata.

I znowu rzędy cyfr. W mojej alei wycięto 14 drzew, które powinny być pomnikami przyrody. Zasłużyły na to – do tej formy ochrony kwalifikowały je obwody w pierśnicy: 260, 260, 270, 260, 260, 261, 250, 263, 254, 256, 255, 276, 282, 263 centymetrów. Najpotężniejsze musiało mieć niemal dwieście lat. Myślę o tym, że jedyny ślad po tym drzewie to suchy numer inwentaryzacyjny w jakiejś stercie papierów. W zakurzonych teczkach, do których już nikt nigdy nie zajrzy. Klon był rówieśnikiem pobliskiego neogotyckiego kościoła w Krokowej. Teraz już go nie ma i nie będzie, pilarz uwinął się w parę minut.

Zarząd Dróg tłumaczy mi w piśmie, że 262 drzewa usunięto ze względu na „konieczność dostosowania drogi do stawianych wymagań technicznych" wymienionych w Rozporządzeniu Ministra Transportu i Gospodarki Morskiej z 2 marca 1999 roku. Nowa jezdnia po przebudowie ma 5,5-6 metrów szerokości i metrowe pobocze z każdej strony. Jakie były wymiary drogi przed remontem? Informacji nie znalazłem w dostarczonych dokumentach, ale uprzejmy urzędnik odkopał ją z dokumentów. Jezdnia miała od 5-5,5 metra szerokości. Słowem: wycięto 262 stare drzewa, by poszerzyć drogę średnio o pół metra.

Czytam więc rozporządzenie, na które powołuje się urząd. Jeden z paragrafów mówi, że projekt i jego wykonanie powinno dążyć do zachowania stanu środowiska zgodnie z decyzją o środowiskowych uwarunkowaniach. Decyzja to dokument, który powinien objaśniać, jak wykonać inwestycję, by szkodzić przyrodzie jak najmniej. Czytam więc decyzję, ale nie znajduję w niej słowa o ochronie drzew, jest za to o spalinach w czasie trwania prac, segregowaniu śmieci i sanitariatach. Wygląda na to, że za najlepszą metodę ochrony drzew w tym przypadku uznano ich wycinkę.

I może najdziwniejsze: nigdzie w rozporządzeniu nie znajdziemy twardego nakazu mówiącego o tym, że droga musi spełniać stawiane wymagania techniczne. Wymagania są wyłącznie postulowane. „Rozporządzenie określa warunki techniczne, jakim powinny odpowiadać drogi publiczne (...)". Różnicę między „muszą" a „powinny" rozumie nie tylko językoznawca.

Jasne, remont był potrzebny. Asfalt był stary i popękany, miejscami było wąsko. Wzdłuż drogi nie było chodnika, więc piesi musieli iść jezdnią. Czy jednak nie dało się tego zrobić inaczej? Wieloletni biegły sądowy i inspektor nadzoru ds. ochrony zieleni zabytkowej Jarema A. Rabiński jest zdumiony, że w żaden sposób nie próbowano ochronić najcenniejszych drzew i siedlisk. Możliwych rozwiązań jest sporo. Drugą jezdnię można poprowadzić poza aleją, a istniejącą drogę dwukierunkową przekształcić w jezdnię jednokierunkową. Wtedy wszystkie drzewa i siedliska dałoby się uratować. Można było usunąć tylko jeden szpaler (ten, którego wartość przyrodnicza była mniejsza) i lekko przesunąć jezdnię. Można było poprowadzić drogę tak, by omijała najcenniejsze drzewa.

Prawo ponad prawem

Starosta powiatu na uroczystym otwarciu drogi mówił: „Jestem bardzo zadowolony, bo to jest taka duża pętla turystyczno-infrastrukturalna (...) raz, że tam przyjeżdża dużo turystów, a dwa że powstaje infrastruktura, powstają zakłady pracy (...) zbudowaliśmy moim zdaniem bardzo porządną drogę". Czy pętla jest aż tak ważna, jak odmalował to starosta? Nawet w sezonie można przejechać cały odcinek, nie spotykając innego samochodu. A co z turystyką? Czy stare aleje nie są turystyczną wizytówką Kaszub tak samo jak bukowe lasy i piaszczyste plaże?

Myślę, że budując „bardzo porządną drogę" zniszczono bardzo piękny, skomplikowany ekosystem, którego nie odtworzymy za żadne pieniądze. Paradoks polega na tym, że fundusze unijne, z których realizuje się podobne przebudowy, idą także na programy takie jak np. „Drzewa dla zielonej infrastruktury Europy", realizowany przez Fundację EkoRozwoju. Jego celem jest wspieranie dobrych praktyk dotyczących ochrony i utrzymania starych przydrożnych drzew.

Konieczność rozwoju infrastruktury to jedno z zaklęć w tomie „Zaklęcia modernizacji". Rozwój infrastruktury brzmi dumnie, kłopot jednak w tym, że prowadzony jest po trupie środowiska przyrodniczego. Jedynie mocny, społeczny sprzeciw jest w stanie zatrzymać rozpędzonych modernizatorów. Tak było choćby w przypadku planowanej drogi przez torfowiska w Dolinie Rospudy. Wariant alternatywny, omijający cenne tereny, okazał się tańszy i lepszy, przy odrobinie dobrej woli dało się tam pogodzić interesy obu stron.

Takich alej jak ta moja jest na Pomorzu wiele, choć z każdym rokiem coraz mniej. Zwykle o stare drzewa nie ma kto się upomnieć. Miejscowi w większości chcą jeździć po wyremontowanych drogach i rzadko mają poczucie, że stare drzewa są cenne. Niektórym jest nawet szkoda, ale dominuje poczucie, że decyzja urzędu jest przemyślana i nie została podjęta pochopnie. Widać „jest jakiś powód". Kłopot polega na tym, że powodu zwykle nie ma. Są za to pieniądze do wydania.

Interes publiczny rozumiany jest wąsko, wąziutko jako poprawa nawierzchni, jako konieczność zachowania bezpieczeństwa na drodze. Kłopot w tym, że organy, które podejmują nieodwracalne decyzje o wycinkach, kompletnie nie dbają o aleje, traktują je jako kłopotliwy bagaż przeszłości, przeżytek, problem, którego można się pozbyć przy okazji remontu czy przebudowy jezdni.

Dlaczego w interesie publicznym nie leży równie mocno zachowanie krajobrazu kulturowego i drzew traktowanych jako pomniki historii? Dlaczego rozporządzenia Ministra Transportu i Gospodarki Wodnej stawia się nielegalnie ponad Prawem ochrony środowiska, które mówi, że przy pracach budowlanych należy chronić środowisko, a w szczególności zieleń (artykuł 75, ustęp 1). Dlaczego akt niższej rangi stawia się ponad aktem rangi wyższej? Minister transportu i gospodarki wodnej wydaje się szarą eminencją polskiego porządku prawnego, skoro kasuje w całości obligatoryjny, konstytucyjny obowiązek „dbałości o przyrodę będącej dziedzictwem i bogactwem narodowym".

Czy drzewa są winne?

W 2019 r. w zderzeniach z drzewem zginęło 13 proc. wszystkich ofiar wypadków ↦

↦ drogowych. Główną przyczyną śmierci na drogach było niedostosowanie prędkości do warunków. Ale winą za wypadki najczęściej obarcza się drzewa. Szczególnie te stare, starsze niż asfalt i rozporządzenia ministrów. Drzewa potężne, pomnikowe, rosnące tuż przy jezdni. Posadzone w czasach, kiedy drogami jeździły wozy konne.

Jednak wbrew potocznemu przekonaniu wycięcie drzew nie sprawia, że wypadków jest mniej. Badania wskazują, że na odcinkach dróg pozbawionych drzew liczba wypadków jest wyższa. W takich miejscach kierowcy mają skłonność do szybkiej, brawurowej jazdy i ryzykownych manewrów. Szpalery czy aleje drzew wzdłuż jezdni sprawiają, że kierowcy jeżdżą spokojniej.

Aleje są ozdobą krajobrazu Kaszub, ale też Pomorza Zachodniego, Mazur i Warmii. Nie tylko upiększają, ale i porządkują. Chociaż sadzone przez człowieka, są ważne dla lokalnej przyrody. Są korytarzem umożliwiającym migrację zwierząt, siedliskiem życia porostów, miejscem, w którym zakładają gniazda ptaki. Drzewa w alejach są często znacznie starsze niż te rosnące w okolicznych lasach. Pełnią na swoje szczęście inną funkcję, niż drzewa będące tylko surowcem, których życie kończy osiągnięcie wieku rębności. Aleje chłodzą drogę latem i osłaniają od śniegu zimą. Chronią pola przed wiatrem. Zatrzymują spływ wody deszczowej, a więc ograniczają powodzie. Tłumią hałas. Oczyszczają powietrze.

Po mojej alei nie ma już śladu, leje po korzeniach zasypano, a stary, spękany asfalt przykryto nowym. Jezdnie poszerzono, z obu stron powstały piękne, przepisowe pobocza o szerokości metra. Zbudowano chodnik, wyłożony gustownie kostką bauma. Posadzono nawet szpaler robinii akacjowych o urodzie miotełek do kurzu. Mojej alei już nie ma. Wciąż jednak istnieje, pewnie nie na długo, w rzeczywistości wirtualnej. W serwisie Google Maps można włączyć Street View i się nią przespacerować. Proszę wpisać „Goszczyno, ulica Morska" i ruszyć za wiejskimi zabudowaniami.

© STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Za konsultacje i cenne uwagi dziękuję pani Magdalenie Berezowskiej-Niedźwiedź i panu Jaremie A. Rabińskiemu.

Nie musisz być we wszystkim dobra

RAFAŁ JAESCHKE, KONSULTANT PROGRAMU OPIEKI PERINATALNEJ:

To nie sama ciąża naraża kobietę na problemy zwane „depresją poporodową", ale stres wynikający z relacji społecznych.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Chcę zobaczyć kobietę, która przychodzi do Pana Doktora. Chcę usłyszeć, co mówi.

RAFAŁ JAESCHKE: Przychodzi matka dwumiesięcznego dziecka. Mówi, że od dłuższego czasu – mniej więcej od połowy ciąży – jest ciągle smutna, nic jej nie sprawia przyjemności. Ciężko jej zająć się prostymi czynnościami. Na nic nie ma siły, najchętniej przespałaby cały dzień. Oczywiście na sen nie może sobie pozwolić – musi się opiekować dzieckiem. W nocy z kolei czuje się zaniepokojona. Nawet gdyby miała taką możliwość, najprawdopodobniej i tak nie mogłaby zasnąć.

Problem tej kobiety polega także na tym, że jej partner nie poczuwa się do rutynowych obowiązków związanych z opieką nad dzieckiem. Przychodzi zmęczony z pracy. Uważa, że przecież zawsze tak było: mężczyzna pracuje, kobieta jest opiekunką ogniska domowego, wychowuje dzieci. To „naturalny porządek rzeczy": on – jak jego przodkowie tysiące lat temu – przynosi ową symboliczną zdobycz. Ta hipotetyczna pacjentka jest ciężko i przewlekle zmęczona. Musi udawać, że choć wszystko w ich rodzinnym życiu się zmieniło – bo przyjście dziecka na świat jest rewolucją – to tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Drugi aspekt problemu polega na tym, że owa pacjentka otrzymuje zewsząd – od bliskich jej kobiet, od rodziny – spójny komunikat: „Ale o co ci chodzi?". Słyszy od matki, siostry, przyjaciółek: „Wszystkie byłyśmy w podobnej sytuacji i poradziłyśmy sobie". Nasze matki, babcie się nie skarżyły, ponieważ nie miały się komu poskarżyć, często zatem uważają, że obowiązkiem młodej mamy jest cieszyć się z tego, co ma. Matki nie rozumieją, że córka tuż

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC / FORUM

Oddział Neonatologii Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego, Katowice, styczeń 2020 r.

po powrocie do domu nie wiedziała, jak przebrać dziecko, jak je trzymać, żeby najsprawniej założyć pieluszkę. O jakich porach należy je karmić? Nie jest tak, że „każda kobieta to wie". Człowiek musi się tego nauczyć.

Istnieje przecież instynkt macierzyński.

Właśnie taki komunikat otrzymuje nasza pacjentka: wszystko powie ci instynkt, który powinien w cudowny sposób zstąpić na ciebie z nieba. To on powie ci, jak zdobyć wszystkie kompetencje potrzebne do opieki nad dzieckiem, to on powie ci, jak w odpowiedni sposób postrzegać samą siebie i otaczający cię świat, który przecież tak bardzo się zmienił. Muszę zaznaczyć, że otoczeniem nie kieruje wcale zła wola. Wszyscy chcą dobrze.

Nawet jeśli nie jest to zła wola, to i tak boli.

Tak, język, którym się posługujemy, jest niezwykle ważny. Uważam, że stosowane w psychiatrii pojęcia: „okołoporodowe zaburzenia psychiczne" czy też „swoiste dla kobiet problemy zdrowia psychicznego" – bywają szkodliwe.

Psychiatria różni się od innych dziedzin medycyny. Kiedy na oddział intensywnej terapii trafia pacjent z objawami zawału serca, wykonuje się niezbędne badania, następnie w odpowiedni sposób się je interpretuje. Pojęcie „zawał serca" jest *de facto* skrótem myślowym, ukrywa się pod nim pewna rzeczywistość biologiczna. Kardiolog może ów skrót myślowy rozwinąć: wyjaśnić, jaka część mięśnia sercowego uległa uszkodzeniu i na czym owo uszkodzenie polegało, a także zaproponować leczenie. Psychiatra posługuje się wyłącznie opisowymi kategoriami; nasza hipotetyczna pacjentka spełnia więc kryteria depresji poporodowej, ale owa diagnoza nie mówi nam nic o źródle problemu.

Jakie jest więc to źródło?

Większość młodych matek, które proszą psychiatrę o konsultację, czuje się niewydolna. W naszym kraju rozpowszechnione jest konserwatywne wyobrażenie o kobiecie, zgodnie z nim kobieta winna pracować, sprzątać, gotować i dogadzać „swojemu mężczyźnie". Powinna być w tym wszystkim dobra. Wiodąc takie oto życie musi czuć się spełniona i szczęśliwa.

Problem polega na tym, że nie da się spełnić wszystkich tych wymogów, coś trzeba sobie odpuścić. Dlatego też nie lubię określenia „okołoporodowe zaburzenia psychiczne", ponieważ w wielu przypadkach, jeśli nie w większości, problemy, które określa się mianem „depresji poporodowej", są *de facto* wypadkową trudności psychospołecznych, których kobieta doświadcza. Kiedy owe pojęcia medyczne zaczynają funkcjonować w języku potocznym, stają się potencjalnie niebezpieczne. Wynika z nich bowiem, że sam fakt bycia w ciąży czy sam fakt urodzenia dziecka jest czynnikiem narażającym kobietę na problemy psychiczne. Grono mężczyzn mogłoby wysunąć tezę, że samo bycie kobietą niesie ze sobą ryzyko zaburzeń psychicznych – a to miałoby fatalne skutki i doprowadziło jedynie do zabetonowania konserwatywnych relacji społecznych.

Często kobiety, którym trudno jest wejść w rolę matki, miały problemy psychiczne wcześniej.

Tak, to pewien kanon wiedzy epidemiologicznej w psychiatrii. Wcześniejsze epizody depresyjne niosą ryzyko wystąpienia depresji poporodowej. Tylko stawiając kropkę w tym miejscu, wpadamy w tę samą pułapkę. Takie postawienie sprawy może łatwo doprowadzić do zaanektowania przez medycynę unikalnych historii życiowych związanych z ciążą i okresem poporodowym – a nawet samego faktu bycia kobietą.

Jestem głęboko przekonany, że traktowanie okołoporodowych zaburzeń psychicznych jako jeszcze jednego problemu zdrowia publicznego pozwala w bardzo skuteczny sposób odwrócić uwagę od swoistego, o wiele szerszego kontekstu społecznego. Problemy, które nazywamy „depresją poporodową", można rozciągnąć na inne grupy pacjentów, którzy przychodzą do psychiatry i słyszą, że cierpią na depresję. Niestety, źródło problemu tkwi gdzie indziej. Otóż w naszym życiu jest coraz więcej stresu; różne są jego przyczyny. Jeśli to się nie zmieni, wówczas trudno spodziewać się poprawy stanu zdrowia psychicznego w skali społecznej.

Jest Pan konsultantem powołanego oddolnie przez Szpital Uniwersytecki w Krakowie programu opieki perinatalnej. Co Państwa skłoniło do podjęcia decyzji o rozpoczęciu programu?

Nasz program jest wciąż tworzony; nie jest to łatwe zadanie, ponieważ pod wieloma względami jest to projekt nowatorski. Trwa proces nawiązywania współpracy z innymi klinikami, z lekarzami innych specjalizacji i osobami działającymi w obszarze służby zdrowia. Wydawać by się mogło, że skoro okołoporodowe zaburzenia psychiczne są rozpowszechnionym i poważnym problemem, to powinno się je „odczarować" i potraktować jako wyzwanie społeczne i medyczne. Ale owa teza stoi w sprzeczności z głęboko zakorzenionymi założeniami kulturowymi.

Najkrótsza, najbardziej zgodna z faktami odpowiedź na pytanie, dlaczego podjęliśmy taką inicjatywę, brzmi: w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat w światowej psychiatrii prowadzono – i prowadzi się nadal – bardzo dużo badań dotyczących akurat tej kwestii. Wiadomo obecnie dość dobrze, że okołoporodowe zaburzenia zdrowia psychicznego mają swoją specyfikę. Że są bardzo istotnym i częstym problemem. Niestety, w Polsce ten problem do tej pory nie doczekał się adekwatnych działań ze strony lekarzy czy też przedstawicieli szeroko rozumianego systemu opieki. ↦

Pojęcia takie jak „baby blues" czy „depresja poporodowa" wciąż pojawiają się w mediach. Może więcej się mówi, niż robi?

Słowa nie są wyłącznie narzędziem opisu rzeczywistości – w istocie są one budulcem naszego świata. Fakt, że kwestie związane z problemami zdrowia psychicznego u kobiet w ciąży lub po porodzie są często omawiane w mediach, ma olbrzymie znaczenie. W tym przypadku słowa wręcz graniczą z czynem – nie przekraczając jednak tej linii. Stworzenie naszego programu opieki perinatalnej było zatem aktem przejścia od słów do działania.

Często pada argument, że kobiety zawsze rodziły dzieci, i zawsze sobie radziły. Nagle, w czasach względnego dobrobytu, pojawiają się depresje okołoporodowe.

Tak, ale żyjemy w XXI wieku, stan wiedzy medycznej jest inny, niż był wiek lub pół wieku temu. Przytoczony przez panią argument jest rozpowszechniony, można także powiedzieć, że przez tysiące lat istnienia ludzkości nie było profilaktyki chorób zakaźnych. Ci, którzy „mieli umrzeć", po prostu umierali. Przychodziły epidemie, ale historia ludzkości toczyła się. Miejmy nadzieję, że ten etap jest już za nami.

Jak wynika z przeprowadzonych w ostatnich latach badań populacyjnych w Wielkiej Brytanii, okołoporodowe zaburzenia zdrowia psychicznego stanowią drugą najczęstszą przyczynę przedwczesnej śmierci kobiet w połogu. Kobiety te uciekają się do samobójstwa. W żadnej innej grupie pacjentów bądź pacjentek taka hierarchia umieralności nie występuje. Trudno na tym etapie wskazać na niepodważalne dane świadczące, że główną przyczyną samobójstw kobiet w okresie okołoporodowym są zaburzenia psychiczne, ale odwołując się do obecnego stanu wiedzy psychiatrycznej ciężko sobie wyobrazić inną interpretację. Więc nie mówimy o „fanaberii", tylko o problemie, który dla części kobiet jest kwestią życia lub śmierci.

Jak można pomóc?

Możliwości są trzy: leczenie farmakologiczne, psychoterapia albo połączenie tych metod. U osób z zaburzeniami depresyjnymi dobrym rozwiązaniem może okazać się zastosowanie leków przeciwdepresyjnych. Tu potrzebne jest uściślenie, ponieważ nie są to leki, które w bezpośredni sposób poprawiają nastrój. Główny mechanizm ich działania polega na zwiększaniu potencjału adaptacyjnego mózgu w obliczu długotrwałego stresu. Przewlekły stres jest prawdopodobnie najważniejszym czynnikiem ryzyka depresji i zaburzeń lękowych.

Wracamy do początku naszej rozmowy: czy wystarczy skoncentrować się na skutkach, czy należy dociekać przyczyn? W wielu przypadkach psychiatrzy nie są w stanie zaprowadzić rewolucyjnych zmian w życiu pacjentów. Farmakologiczna forma leczenia wydaje się wystarczająco dobra. Leki przeciwdepresyjne lepiej jednak sprawdzają się u osób z depresją o znacznym stopniu nasilenia, tymczasem większość kobiet z okołoporodowymi problemami psychicznymi – na całe szczęście – nie należy do tej kategorii. W ich przypadku dobrym rozwiązaniem może okazać się psychoterapia – z którą wiąże się pewna trudność. Psychoterapia często wymaga próby refleksji dotyczącej szerszego kontekstu życia. Pacjentka więc może obawiać się takiego obrotu spraw. Jest to zresztąw pełni zrozumiałe.

To wywołuje oburzenie: bierzesz leki psychotropowe i karmisz piersią?

Nasza wiedza co do bilansu korzyści i ryzyka związanego ze stosowaniem leków w okresie ciąży lub połogu jest ograniczona – kobiety spodziewające się dziecka lub karmiące piersią nie są kwalifikowane do uczestnictwa w badaniach klinicznych. Ale trzeba podkreślić, że karmienie nie jest bezwzględnym przeciwwskazaniem do leczenia farmakologicznego. Na obecnym etapie rozwoju psychiatrii można prowadzić racjonalną dyskusję na temat argumentów za lub przeciw stosowaniu leków przez młode matki. Praktyka medyczna oparta na wiarygodnych danych naukowych jest dobrym lekarstwem na „oburzenie".

Czy ojciec może mieć depresję poporodową?

Jest to mało poznany temat. Przyjście na świat dziecka jest wydarzeniem rewolucyjnym. W rodzinie pojawia się nowy człowiek, zmienia się absolutnie wszystko i nie da się na to przygotować. Można kupić wanienkę i przyjąć do wiadomości to, co opowiadają mamy, ciocie, dziadkowie, koledzy i koleżanki, ale to nie ma żadnego przełożenia na osobiste doświadczenia. Narodziny dziecka są dobrym przykładem „pierwszego akordu" przewlekłej sytuacji stresowej. Ponieważ depresję wywołuje przewlekły stres, to trudno mówić o płci męskiej czy żeńskiej.

Co zatem czuje mężczyzna w tej sytuacji?

Objawy są dosyć podobne. Nie chcę, by moje słowa zabrzmiały w sposób seksistowski, ale wolę nie używać pojęcia „depresja poporodowa", ponieważ to jednak nie mężczyzna rodzi dziecko.

Czy wiemy, jak dużą liczbę kobiet dotyka depresja poporodowa?

Wyniki badań epidemiologicznych sugerują, że problem ten dotyczy ok. 10–20 procent kobiet w skali świata. Niestety, nie ma kompletnych danych odnoszących się do polskiej populacji. To nie jest zresztą problem dotyczący wyłącznie jednego rodzaju depresji; w Polsce dotychczas nie stworzono kompleksowego i wiarygodnego rejestru epidemiologicznego, co odróżnia nasz kraj m.in. od państw skandynawskich. Dlatego też mamy bardzo niepełny obraz stanu zdrowia psychicznego naszego społeczeństwa. Nie mamy świadomości, jak często występują zaburzenia depresyjne. Warto przy tym podkreślić, że dodatni wynik badania przesiewowego nie jest równoznaczny z diagnozą. Nie wiemy, ilu matek dotyka depresja poporodowa. Przy czym pamiętajmy, że występują także inne poporodowe problemy zdrowia psychicznego. Lekarze są zmuszeni posługiwać się danymi zgromadzonymi w innych krajach podobnych do Polski. Dlatego też nasz projekt jest w pewien sposób projektem pozytywistycznym. Zdajemy sobie sprawę, że duża grupa kobiet potrzebuje pomocy.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

ARCHIWUM PRYWATNE

DR N. MED. RAFAŁ JAESCHKE *jest psychiatrą, asystentem w Zakładzie Zaburzeń Afektywnych Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ oraz konsultantem programu opieki perinatalnej w ramach Oddziału Klinicznego Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Zajmuje się m.in. problematyką okołoporodowych zaburzeń nastroju. Obronił pracę doktorską dotyczącą cech dwubiegunowych u kobiet z depresją poporodową.*

ANNA

Dziewit-Meller: *Plandemia*

Czego nas uczą płaskoziemcy, homeopaci i różdżkarze? – pyta mój redakcyjny kolega Łukasz Lamża w podtytule swej arcyinteresującej książki „Światy równoległe", w której z gracją i polotem, a także bez ironii ani sarkazmu stara się dojść do prawdy zawartej w odpowiedzi na pytania „skąd się to wzięło?" i „dlaczego oni w to wierzą?". Czytam tę książkę pełna podziwu dla jego detektywistycznego zacięcia i cierpliwości w śledzeniu migotliwych odprysków teorii spiskowych, które w głowach coraz większej liczby ludzi łączą się w precyzyjnie rozpisane układy sił rządzących światem.

Szczególnie ważny wydaje mi się rozdział poświęcony ruchowi antyszczepionkowemu. Jego polska liderka Justyna Socha, obecnie asystentka posła Grzegorza Brauna, wzywa do wielkiej manifestacji 12 września w Warszawie. Podobni jej ludzie, skupieni w jednej z grup na Facebooku, nazywają swoją inicjatywę „akcją świadomościową", która ma przekonać „panicznie wystraszonych" do poznania „faktów". Dążą również do powołania komisji śledczej w sprawie COVID-19, albowiem „chcą wolności", a to, co widzą wokół w związku z „plandemią", to po prostu postępujący totalitaryzm.

Krótko mówiąc: grupa ta powiada: „otwórzcie oczy, zrzućcie bawełniany kajdan z twarzy", promuje swoje ulubione libertariańskie podejście, dające się sprowadzić do słów „będę robić, co mi się podoba", a zawarte np. w sformułowaniu znanym z walki o nieszczepienie dzieci: „indywidualna decyzja medyczna".

Gdy czytałam ich wywody, wspierane głosami stosownych autorytetów, krew mi się gotowała, ale nauczona przykładem Lamży, który z szacunkiem i opanowaniem podchodzi nawet do specjalistów od powiększania piersi za pomocą hipnozy, kreacjonistów i płaskoziemców, postanowiłam znaleźć trochę empatii wobec tych ludzi. I w sumie wcale nie było mi ciężko – bo choć trwam na (zdaje mi się) racjonalnych pozycjach, to ja też przecież czuję się skołowana, niepewna i zdumiona, a przez to podatna na różne sugestie.

Od kilku dni w mediach społecznościowych toczę dyskusje na temat konieczności noszenia maseczek w miejscach publicznych. Wiele osób, tak jak ja, ma poczucie, że ten akurat nakaz nie przekracza możliwości adaptacyjnych przeciętnego zdrowego człowieka, i że, doprawdy, niewielkie to poświęcenie w obliczu możliwości powstrzymania transmisji wirusa i nieśmiałej wizji świata bez COVID-u. Jakoś przemawia do nas to, że tak skromnym gestem można dorzucić sobie kilka punktów do poczucia bycia okej wobec bliźnich. Inni jednak przeciw maseczkom protestują, widząc w nich symbol nieszczęścia, które sprowadziła na świat pandemia. Wskazują przy tym (i muszę przyznać, że słusznie!) na brak konsekwencji w przekazie oficjalnym, który – przypomnę – na przestrzeni kilku miesięcy zdążył się zmienić o 180 stopni, co nieco osłabiło jego wpływ na karność obywateli.

Chce mi się, rzecz jasna, rwać włosy z głowy, gdy ktoś pisze mi, że nie mogę uznawać za autorytet w dziedzinie medycyny kogoś, kto, dajmy na to, nazywa Billa Gatesa filantropem. Albo gdy dostaję linki do jednego z najbardziej kuriozalnych programów telewizyjnych wszech czasów, czyli do nadanego 31 sierpnia odcinka „Warto rozmawiać" pt. „Fałszywa pandemia", w którym swoje teorie na temat koronawirusa opowiadał pan Maciej Pawlicki, publicysta „Sieci". Sam były minister zdrowia Łukasz Szumowski rzekł o nim, że ma wrażenie, jakby ktoś tu pisał książkę z gatunku fantastyki. „Jest to trochę obrażające pamięć choćby tych ponad 1800 osób, które zmarły. Przypomnę, że w sezonie grypowym grypa nie jest tak brutalna. Jak ktoś widzi takie spiski, to należy się zastanowić nad swoim zdrowiem psychicznym" – ocenił. Surowa ocena ministra nie przeszkodziła jednak TVP zapraszać Pawlickiego jako pandemicznego autorytetu do programu w *prime time*.

Byłabym pewnie już na wpół łysa, lecz przyjąwszy jedyną, moim zdaniem, słuszną postawę redaktora Lamży, przestałam rwać włosy, myśląc, że prócz naprawdę nielicznych cyników, zbijających polityczny albo choć marketingowy kapitał na negowaniu pandemii, wielu z tych, którzy symbolicznie depczą maseczki, czuje się po prostu kolejny raz oszukanych: przez system, media, polityków, sanepid oraz, *last but not least*, badaczy, którzy latami przykładali zbyt małą wagę do uchylania hermetycznych wrót świątyni nauki. I tak oto ludzie poszli szukać wsparcia gdzie indziej. A świat ma za swoje.

Nie mam oczywiście pojęcia, co z tym zrobić i czy nie jest już za późno na zmiany. Możliwe jednak, że warto zacząć od lektury „Światów równoległych" Łukasza Lamży – by zobaczyć, jak z szacunkiem pisze się o tych, których wizja świata tak bardzo różni się od naszej. A także po to, by tę ich wizję rozmontować. Czytajmy zatem, a potem się zobaczy. ©

POŻEGNANIE

29 sierpnia 2020 roku w wieku 98 lat
zmarła nasza matka i babka

Maria Grubska

z domu Plater-Zyberk, primo voto Eustachowa Rylska, urodzona 31 sierpnia 1922 we Lwowie.

Absolwentka lwowskiego Sacré Coeur i okupacyjnych tajnych kompletów, studentka polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Odeszła w Weybridge w Anglii otoczona opieką i miłością najbliższych

o czym zawiadamiają

CÓRKA MAŁGORZATA I SYN EUSTACHY
ORAZ IWO, DIDA I MICHAEL

Z ODDECHEM

CZŁOWIEK SKULONY

To, co wypchnięte z naszych baniek, gromadzi się na zewnątrz. U nas nie ma już uchodźców, narodowców, lewaków, pisowców, gejów, katoli, ateistów, więc muszą być „tam". Prześladują nas wyobrażenia o ich liczbie i potędze.

RYSZARD KOZIOŁEK

Podobno ulubioną figurą Johanna Herdera była kula. Ten żyjący w drugiej połowie XVIII w. pastor i filozof niemiecki widział w niej model idealnej kultury narodowej, która mieści w swoim wnętrzu trzy składniki „naturalne": plemię, jego terytorium i język. Zapatrzony w antyk Herder podziwiał cud greckiej kultury i historii, który zdarzył się, ponieważ Grecy – mimo życia na wyspach i w koloniach – mieli poczucie, że są jednym narodem, w jednej ojczyźnie, z jednym wspólnym językiem.

Jedna krew, jedna ziemia i jeden język stały się fundamentem wspólnoty ducha, która umożliwiła im największe sukcesy – od wyprawy Argonautów, przez zdobycie Troi, aż po zwycięstwo nad Persami – pisał w „Jeszcze jednej filozofii dziejów kształtowania ludzkości" (1774).

Mordor i Shire

Herder był pełen szlachetnych intencji, wierzył w dobroć człowieka oraz uniwersalne ludzkie wartości, potępiał kolonializm i inne formy dominacji jednych narodów nad drugimi; no i trzymał się z dala od polityki, zwłaszcza pruskiej, którą nazywał „kapralską". Skoro już państwo jest konieczne, za najlepsze uznawał budowane na fundamencie jednego plemienia – w przeciwieństwie do wielonarodowych imperiów, które nazywał „maszynami". Używając Tolkienowskich alegorii – wspólnota państwowa to Mordor, wspólnota narodowa to Shire.

My jesteśmy ostrożniejsi. Nie, abyśmy ufali państwu, ale po pierwsze wiemy, co spotkało krainę hobbitów (w książce, nie w filmie!), a po drugie, znamy z historii przykłady, jak łatwo idealistyczne mrzonki przerobić na ideologię nacjonalizmu państwowego. W oczach Herdera to my Słowianie byliśmy takimi hobbitami. Niestety, co stwierdza z niejakim zażenowaniem, nasza legendarna łagodność i pracowitość nie uchroniła nas przed katastrofami politycznymi:

„Skoro bowiem nigdy nie dążyli do panowania nad światem, nie mieli dziedzicznych władców żądnych wojny i woleli płacić daninę, jeśli tylko pozwolono im żyć w spokoju w swoim

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

kraju, to wiele narodów – najwięcej zaś pochodzenia niemieckiego – dopuściło się wobec nich ciężkich przewinień" („Myśli o filozofii dziejów", przeł. Jerzy Gałecki).

Wracam do tych filozoficznych i literackich staroci w przekonaniu, że – jak to często z klasyką – dają lepszy uchwyt do rozumienia naszej współczesności niż wiele aktualnych eksperckich analiz. Pożytki z czytania Herdera objawiły mi się nagle wraz z hasłami „repolonizacji mediów", „obrony tradycyjnych wartości", „walki o polskie dusze" itp.

Widzę w tych próbach tęsknotę do odnowienia homogenicznego modelu kultury i edukacji, których rolą byłoby skonstruowanie nowej polskiej tożsamości. Jeśli taki projekt miałby być czymś więcej niż propagandową fikcją, do realizacji musieliby zostać wezwani przede wszystkim nauczyciele-humaniści, ponieważ fundamentem owej retroaktywnej tożsamości jest polski język i jego kultura zapisana przede wszystkim w literaturze. Wpajane w trakcie edukacji, miałyby sprawić, abyśmy – złożony z jednostek lud – myśleli tak samo o najważniejszych sprawach narodu, jaki tworzymy z nieznanymi nam ludźmi, którzy także nic o nas nie wiedzą.

Mów jak my

„Ja i wy jesteśmy jednej krwi – zawołał Mauli głosem niedźwiedzi, dodając okrzyk właściwy ludowi niedźwiadków.

– Dobrze! – rzekł Balu. – A teraz powiedz hasło ptaków.

Mauli wygłosił to samo odmiennym akcentem, dodając krzyk sępa" (przeł. Franciszek Mirandola).

Edukacja w „Księdze dżungli" Kiplinga jest intrygująca. Za pomocą odpowiedniej artykulacji zdania „Ja i wy jesteśmy jednej krwi" Mauli (Mowgli) zyskuje bezpieczeństwo pośród kolejnych gatunków zwierząt. Wspólnota języka, w którym przechowywane są normy i wartości narodu, okazuje się ważniejsza niż przynależność gatunkowa. „Mów tak jak my, a uznamy cię za swojego" – oto treść tej lekcji. Nowoczesny nacjonalizm nie musi być rasistowski, wystarczy mu jedność deklarowanych przekonań i potwierdzenie ich działaniami. „Jeżeli ktoś uważa, że warto być Polakiem, to musi być po tej stronie, która broni tradycyjnych wartości" – wypowiedział to w prosty sposób Jarosław Kaczyński w I Programie Polskiego Radia 19 lipca 2020 r.

Taką rolę przypisała szkole nowoczesna edukacja narodowa za sprawą przedmiotów: język polski i historia. I choć budowanie tożsamości narodowej opiera się również – jak na matematyce czy biologii – na wiedzy przedmiotowej, tu sama wiedza nie wystarcza. Spodziewanym efektem uczenia jest przekształcenie wiedzy w tożsamość, a więc jej trwałe uwewnętrznienie. Na to symulacyjne utożsamienie ucznia z „językiem polskim" składają się: bogata i poprawna wymowa, biegłość w piśmie, powtarzane opowieści, czczone postacie, celebrowane symbole i wartości; ważne fragmenty tekstów kanonicznych recytowane niczym święte inkantacje przez kolejne pokolenia uczniów.

Problem utrzymania obu tych funkcji kształcenia powszechnego nie zmienił się od czasów Herdera. Kiedy świat zachodni upaństwowił oświecenie, fundamentem państwa narodowego uczynił szkołę i uniwersytet. Miały one podwójne zadanie: przekazać wiedzę uniwersalną oraz wykształcić w uczniach świadomość tożsamości narodowej. Od razu powstało jednak napięcie między tymi dwoma obszarami.

Znaczna część wiedzy szkolnej nie jest bowiem związana z językiem, ziemią i ludem, którego dzieci idą do szkoły; nie istnieje polska matematyka lub bułgarska chemia. Ucząc zatem fizyki lub biologii ani trochę nie wzmacniamy w uczniach polskiej tożsamości, ale kształcimy kosmopolityczne umysły zdolne sekwencjonować genom albo policzyć straty ciepła w układzie grzewczym, gdziekolwiek przyjdzie absolwentom żyć lub pracować.

Nowoczesna edukacja w państwach narodowych szybko odkryła dwa sposoby przezwyciężenia sprzeczności. Po pierwsze, żadna wiedza nie potrzebuje uniwersalnego języka (greki bądź łaciny), ale może trafić do uczniowskich umysłów w przekładzie na określony język państwowy. Stąd wszyscy nauczyciele w Polsce są po części polonistami. Po drugie, istnieją w programach szkolnych przedmioty szczególne, które prócz wiedzy dostarczają tej samej odpowiedzi na pytanie: „kim jestem jako Polak?". Taką rolę odgrywają godziny historii i polskiego. ↦

↦ Kluczowe znaczenie mają lektury literackie, czyli nowy kanon narodowy, który zastąpił lub uszczuplił klasykę grecką i łacińską.

W pewnym sensie architekci nowej polonizacji znaleźli się w podobnej sytuacji, co ich przodkowie sprzed 200 lat. Dominacja języka angielskiego przypomina czasy, kiedy w świecie zachodnim rządził francuski, a wcześniej łacina, zaś neoliberalny model edukacji sprowadził kształcenie szkolne i akademickie do indywidualnej korzyści ucznia i studenta, mierzonej jego sukcesami na rynku pracy. Trzeba więc przekonać rodziców i uczniów, że bez objaśnionej ideologicznie lektury „Pana Tadeusza" dziewczyna z lubelskich Kryniczek i chłopak z cieszyńskiego Dzięgielowa nie będą wiedzieli, kim są, oraz że niewiedza ta będzie równą przeszkodą w ich życiu i karierze, co nieznajomość matematyki lub biologii.

Jako poloniści tworzymy fundamenty życia publicznego, gdyż życie naszych uczniów i studentów razem z innymi ludźmi w Polsce jest i będzie życiem w polszczyźnie i poprzez nią.

Wystarczy bańka

Ten plan się raczej nie powiedzie. Co nie znaczy, że edukacja do „życia w kuli" nie postępuje w szkole i poza nią. Kusząca jest bowiem obietnica państwa, że będzie ono ochraniało to, co w kulturze polskiej rdzenne, esencjalne, właściwe wyłącznie dla niej. Oraz odgrodzi nas od tego, co obce, inne, z narodową wspólnotą nietożsame, a więc od: uchodźców, mniejszości etnicznych i religijnych, członków społeczności LGBT+ i od każdego, kto jako obcy zostanie opisany.

Nie tylko zarządzanie strachem obywateli sprzyja budowaniu narodowej kuli. Równie skuteczne może być tworzenie warunków i zachęcanie obywateli do familiarnego egoizmu, czyli do życia w bańce prywatnej apolityczności. Apologia życia rodzinnego i systematyczna poprawa warunków ekonomicznych, połączone z naturalną troską każdego człowieka o „swoje", sprzyjają przedkładaniu życia prywatnego nad publiczne.

Tygodnik Kulturalny zdjęty? Jest jeszcze Dwójka. Stadnina w Janowie zniszczona? Fachowcy znaleźli pracę u prywatnych hodowców. Strajk nauczycieli złamany? Ale uniwersytety nadal są wolne. Kościół zdeprawowany? Są przecież dominikanie...

Starając się znaleźć schronienie w bańce własnych wyobrażeń czy też w wąskim kręgu ludzi podobnych do siebie, prowadzimy „życie w kuli", która – jak pokazał w książce o takim właśnie tytule Grzegorz Jankowicz – jest symbolem narcystycznej autokontemplacji, jałowego wpatrywania się we własne przestrzenne odbicie. Emigrująca melancholia i bezmyślne samozadowolenie mają więc wspólny składnik narcystyczny. Stan to groźny zwłaszcza dla ludzi dobrze wykształconych i wpływowych, ponieważ ich dystansowaniu się od polityki i aktywności obywatelskiej łatwo nadać estetyczną aurę.

Ogół kul

Władza robi sporo, żeby łagodzić wyrzuty sumienia dezerterującego obywatela. Wypychając nas ze sfery publicznej, twierdzi, że robi to dla naszego dobra, z troski o nasze rodziny, nasz byt, naszą moralność, nasze uczucia religijne, przyszłość naszych dzieci. Słowa „zagrożenie" i „bezpieczeństwo" królują w słowniku polityków i mediów. Groźny świat na zewnątrz „kuli" ogromnieje, więc przestrzeń własna i bezpieczna (narodu, języka i terytorium) staje się coraz mniejsza. Nie jest nim już po prostu Polska i rodzina, ale „prawdziwa Polska" i „prawdziwa rodzina".

Kula „prawdziwej polskości" staje się więc coraz mniejsza. Na pozór nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością fizyczną – nasze domy, mieszkania, samochody, podróże, zakupy są coraz większe, a jednak rośnie poczucie ciasnoty życia we własnym kraju i domu. I dotyczy to wszystkich stron politycznego konfliktu w Polsce.

„Żyjecie w elitarnej bańce – mówi pobłażliwie do swoich rodziców i do nas Kuba, ambitny 32-letni menadżer pracujący w globalnej firmie. – Nie znacie prawdziwego świata". Ogarnia mnie irytacja, bo mówi to do wiejskiego dziecka z awansu społecznego, które jest pierwszym posiadaczem dyplomu wyższych studiów w rodzinie, a poza tym, jak każdy nauczyciel, mam codzienny kontakt z całym przekrojem społeczeństwa. A jednak Kuba ma rację.

Zalęknieni lub rozczarowani polityką obywatele nie tworzą wspólnoty ani społeczeństwa, ale zatomizowane zbiorowisko, którego członkowie ufają tylko temu, kogo znają osobiście. Dotyczy to wszystkich grup społecznych, których członkowie chronią się w swoich mikrospołecznościach, w przyjaznym świecie wspólnych przekonań i wartości. Bezpieczeństwo jest pozorne, ponieważ nasze kule stają się coraz mniejsze, wypełnione podobnymi do siebie ludźmi, zamieszkującymi pozbawione obcych terytorium.

Wszyscy zaczynamy się instynktownie kulić – w poszukiwaniu „strefy komfortu", ze strachu, w geście obronnym, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Rozzuchwalona tym władza coraz śmielej pomrukuje: „Siedź tam, bo ci zabierzemy to, co rzekomo twoje – pozostałe wolne media, swobodę kształcenia i badań naukowych, pracę w publicznej instytucji, która pozwala spłacić kredyt". Naszemu wycofywaniu się z bycia razem sprzyja przemyślna polityka tożsamościowa, która także wpycha nas do „kul": wszechpolskiej, LGBT-owskiej, elitarystycznej, katolickiej, lewackiej, liberalnej.

Zamknięci w strachu i segregowani konfliktami, nie potrafimy już wyobrazić sobie, abyśmy razem z „nimi" mogli pracować nad rozwiązywaniem naszych spraw ludzkich – zagrożenia klimatycznego, jakości edukacji, restrukturyzacji górnictwa, zmniejszania nierówności ekonomicznych, przyjaznych i otwartych relacji społecznych, ochrony środowiska naturalnego, przygotowania się na kolejną falę epidemii. Większość z nas zdaje sobie sprawę z tych zagrożeń, a mimo to ulegamy obustronnej perswazji, że tylko w kuli własnego narodu lub w ekskluzywnej prywatności jesteśmy bezpieczni.

Prawdziwa Polska, strefa wolna od LGBT+, strzeżone osiedle, moja wieś, moja „dzielnia" stają się „światem zamkniętym we własnych granicach, światem poza światem. W żadnej mierze nie samowystarczalnym ani spokojnym. Kto w nim przebywa, ten czuje się więźniem lub wygnańcem" – pisze Marco Filoni („Anatomia oblężenia. Strach w mieście", przeł. Joanna Ugniewska).

Człowiek w kuli żyje skulony w ciasnocie swojego zmniejszającego się ciągle terytorium i skulony z obawy przed coraz większym światem na zewnątrz. Ten bowiem rośnie. To, co wypchnięte z naszych baniek, gromadzi się na zewnątrz. Skoro „tu u nas" nie ma już uchodźców, narodowców, lewaków, pisowców, gejów, katoli, ateistów, muszą być „tam". Ich miejsce zajmują obsesyjne wyobrażenia o obszarach, gdzie się gromadzą, o ich liczbie i potędze. Czujemy, jak rośnie wokół mroczna niegeometryczna przestrzeń, w której upchnęliśmy wszystko, co obce i niechciane.

Jeśli już myślimy o kształceniu humanistycznym *more geometrico*, to kulistej edukacji Herdera przeciwstawiłbym „człowieka Witruwiusza" z rysunku Leonarda da Vinci. Widnieje na nim nagi mężczyzna wpisany w okrąg i kwadrat. Chcę w tym obrazie widzieć nie tyle model doskonałych proporcji ludzkiego ciała, lecz alegorię humanistycznej edukacji – jej projektowany podmiot; stan świadomości obywatelskiej, osiągnięty dzięki wiedzy i praktykowaniu życia w mądrej wspólnocie szkolnej, której życie jest przez tę wiedzę regulowane. Ta postać nie jest skulona ani nie wstała z kolan; nie kryje się w krzakach ani nie osłania liśćmi; w jej postawie nie ma lęku ani wstydu, ale naturalność i otwartość, swobodny oddech, poczucie pewności siebie i wolności miarkowanej dobrostanem współobywatela.

Panie i panowie od polskiego

„Jasna dziewczyna pochyliła się nad wierszem. Ostrym jak lancet ołówkiem przenosi na białą kartkę słowa i zamienia je na kreski, akcenty, cezury. Lament poległego poety wygląda teraz jak salamandra objedzona przez mrówki" (Zbigniew Herbert „Epizod w bibliotece").

Czułem coś podobnego, kiedy Helena Podstawny po raz pierwszy narysowała na tablicy wykres logiczno-gramatyczny zdania złożonego. Ona pierwsza pokazała mi przekrój języka, a ja miałem wrażenie, jakbym uczestniczył w lekcji anatomii własnej mowy. Towarzyszyły mi wstręt i fascynacja, ponieważ – nie wiedząc o tym wtedy – stanąłem na progu polonistycznego rzemiosła.

Zobaczyłem ukrytą strukturę i mechanizm języka, którego używają wszyscy, a jednak nie są tego świadomi. Rozpocząłem naukę o tym, że nie mówi się tego, co się chce i jak się chce; że gramatyka i słownik są już gotowe przed moim urodzeniem i ledwie coś zacznę mówić, a już całe zdania czekają gotowe, niczym uzupełnienia w wyszukiwarkach internetowych. Nawet to, że jestem czynny, bierny, prosty, złożony, dokonam czegoś czy nie – podpowiada mi gramatyka.

Wiedza o działaniu języka, o jego mechanizmach retorycznych, kliszach, stereotypach, komunikacyjnych automatyzmach jest jednym z najważniejszych składników edukacji powszechnej i nikt polonistów w tej roli zastąpić nie zdoła. Wykracza ta wiedza poza jakąkolwiek dyscyplinę, a jej przydatność odkrywamy w każdej sferze publicznej – zwłaszcza zaś w polityce, prawie i handlu.

Jako poloniści tworzymy fundamenty życia publicznego, gdyż życie naszych uczniów i studentów razem z innymi ludźmi w tym kraju jest i będzie życiem w polszczyźnie i poprzez nią. Żeby doczekać się uznania dla swoich przekonań, sądów i wartości, trzeba o nich opowiedzieć w sposób zrozumiały.

Ale to za mało, żeby inni chcieli słuchać. Trzeba to powiedzieć zajmująco, sugestywnie, w sposób, który sprawi, że inni nie będą chcieli tylko mówić, ale też słuchać. Najbardziej zaniedbaną sferą kształcenia w polskim modelu edukacji, na każdym jej poziomie – od przedszkola po uniwersytet – jest umiejętność indywidualnej wypowiedzi ucznia. W polskiej szkole uczeń nie odzywa się niepytany i mówi jedynie o tym, co chce usłyszeć nauczyciel.

Za najważniejsze zadanie obywatelskie polonisty uważam budowanie w uczniach woli i umiejętności wypowiedzi publicznej. Do tego jednak muszą nauczyć się wyrażać jasno swoje sądy i porządnie je argumentować. Szkoła i uczelnia ma przygotować młodych ludzi do życia na scenie publicznej z innymi, z którymi trzeba dochodzić znaczenia własnych i wspólnych spraw.

Przeobrażenie wspólnoty skulonych w społeczeństwo obywateli będzie wymagać ogromnej pracy, przede wszystkim edukacyjnej, ponieważ pokolenia pozaszkolne wydają się już być stracone. Cel tej pracy doskonale określił Mark Lilla: „Zainteresowanie światem poza naszą własną głową oraz ludźmi odmiennymi od nas. Troska o ten kraj i jego obywateli, wszystkich obywateli, oraz gotowość do poniesienia ofiar na ich rzecz. I ambicja wymyślenia wspólnej przyszłości dla nas wszystkich. Każdy rodzic i nauczyciel, który uczy tych rzeczy, angażuje się w działanie polityczne – działanie polegające na tworzeniu obywateli" („Koniec liberalizmu, jaki znamy. Requiem dla polityki tożsamości", przeł. Łukasz Pawłowski).

Wobec takiego zadania nie jest najważniejsze, czy w spisach lektur będzie więcej Gombrowicza czy Sienkiewicza. Kluczowe jest pokazanie uczniom, że sprawne posługiwanie się językiem, wyobraźnia i społeczna wrażliwość należą do najważniejszych umiejętności wyniesionych ze szkoły. Cóż stoi na przeszkodzie, aby używając „Janka Muzykanta" rozmawiać poważnie z piątoklasistami, stawiając sobie wspólne pytania, na które nawet nauczyciel nie zna odpowiedzi: Kim jest ojciec Janka? Dlaczego autor o nim nie mówi? Dlaczego dziecko jest bite? Kiedy skończyły się kary cielesne w szkole i dlaczego? Kto powinien pomóc matce? Czy otrzymałaby 500+? Czy dziś Janek miałby szansę na miejsce w szkole muzycznej?

Tak rozumiem rolę humanistyki szkolnej w procesie tworzenia obywateli. Tak rozumiem humanistyczną edukację w ogóle. To skupione zainteresowanie człowiekiem, jaki jest opisany przez wszystkie swoje wytwory, na czele z językiem i literaturą.

W polskiej przeszłości bez własnego państwa humanistyka była terapią udręczonego narodu, a lektury kanoniczne miały chronić i konserwować niepodległą tożsamość Polaka. Ich dzisiejszy pożytek w rękach mądrego nauczyciela widzę w czymś zgoła odwrotnym – w używaniu literatury szkolnej do rozbrajania w uczniach lęku przed światem, poczucia bezradności lub pozornego komfortu i zachęcania ich, aby wyobrażali sobie, jak zajmują właściwe miejsce człowieka – na powierzchni Ziemi; na kuli, którą dzielą z wszystkimi istotami.

© RYSZARD KOZIOŁEK

Autor jest rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym". Ostatnio wydał „Wiele tytułów", Czarne 2019.

SPRZĄTANIE

Biskupi pokroju Michaela Bransfielda są w różnych miejscach na świecie. Amerykański przykład pokazuje, że w naprawianiu sytuacji wiele zależy od odwagi następcy.

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

STEPH CHAMBERS / AP / EAST NEWS

Bp Mark Brennan po ingresie do katedry w Wheeling wychodzi na ulicę, by przedstawić się wiernym. 22 sierpnia 2019 r.

Autostrada I-79, na zachód od Pittsburgha. W samochodzie bp. Marka Brennana, obecnego ordynariusza diecezji Wheeling-Charleston w Wirginii Zachodniej, zapala się czerwona kontrolka silnika. Duchowny zjeżdża z autostrady i szuka miejsca, żeby zaparkować. Czeka, aż silnik ostygnie, wlewa płyn chłodniczy, i modli się, by udało mu się dojechać do siedziby diecezji. Jak opowie potem w wywiadzie dla lokalnej prasy, nie w głowie mu teraz kupno nowego samochodu. Ordynariusz zachowuje się zupełnie inaczej niż jego poprzednik. Bp Michael Bransfield, jesienią 2018 r. odwołany przez papieża, miał prywatnego kierowcę, lubił jeździć limuzynami i latać prywatnymi odrzutowcami.

Jakby tego było mało, ciążą na nim zarzuty molestowania seksualnego kleryków i księży, co potwierdził raport przygotowany na zlecenie Watykanu. Od roku ma zakaz uczestnictwa w publicznych uroczystościach i mieszkania na terenie diecezji.

Plan naprawczy

O rozwiązłym biskupie znów zrobiło się głośno w sierpniu, gdy Watykan nałożył na niego kolejne sankcje. Musiał zwrócić do diecezjalnego budżetu 441 tys. dolarów (środki przekazano na diecezjalny fundusz dla ofiar molestowania seksualnego). Były ordynariusz będzie dostawał „jedynie" 2,2 tys. dol. miesięcznej emerytury, co stanowi jedną trzecią typowego uposażenia emerytowanego biskupa w USA. Został zmuszony do zwrotu lub odkupienia od diecezji samochodu, z którego do tej pory korzystał. Zobligowano go do publicznego przeproszenia diecezjan oraz osób, w stosunku do których dopuścił się nadużyć.

Z punktu widzenia Brennana Watykan mógł posunąć się dalej. Po pierwsze, w przygotowanym dla papieża „planie naprawczym" proponował, by jego poprzednik zwrócił do diecezjalnej kasy 792 tys. dolarów. Po drugie, postulował, by Bransfield stracił prawo do ubezpieczenia pielęgnacyjnego, nie miał refundowanych leków i dostawał emeryturę minimalną w wys. 736 dolarów miesięcznie. Po trzecie, biskup nie przeprosił wiernych tak, jak powinien. W liście z 15 sierpnia co prawda przeprosił ich za „skandal" lub „zadziwienie", jakie mógł wywołać swoim zachowaniem, ale upierał się, że jego wydatki z kościelnego budżetu „były zasadne".

Taka narracja była do przewidzenia. Już wcześniej w wywiadzie dla „Washington Post" Bransfield twierdził, że za finanse odpowiadali jego podwładni, a on sam przyczynił się do poprawy sytuacji materialnej diecezji. Wielokrotnie zaprzeczał zarzutom o molestowanie kleryków i uchylał się od współpracy z Brennanem w sprawie wypracowania „planu naprawczego". Niedługo przed ogłoszeniem przez Watykan sankcji Brennan skarżył się w lokalnej audycji radiowej „Talkline", że ani on, ani nuncjusz apostolski w Waszyngtonie nie wiedzą, ↦

↦ co dokładnie robi Bransfield. Duchowny od miesięcy nie był z nimi w kontakcie.

Odpowiadając mailowo na pytanie „Tygodnika" o kształt zatwierdzonego „planu naprawczego" Brennan pisze, że jest to „kompromis między sprawiedliwością a miłosierdziem". Ordynariusz przyznaje, że co prawda dążył do wyższych kar dla poprzednika, ale i tak jest wdzięczny za decyzję Watykanu. „Stolica Apostolska uznała fakt, że swoim działaniem bp Bransfield wyrządził krzywdę macierzystej diecezji. Wymierzone wobec biskupa kary to przełom dla Kościoła katolickiego w USA" – napisał.

Odrzutowce i upominki

Jako ordynariusz diecezji Wheeling-Charleston w Wirginii Zachodniej, jednym z najbiedniejszych stanów w USA, Bransfield żył ponad stan. Jak donosi dziennik „Washington Post", który miał wgląd do dokumentów finansowych i raportu zleconego przez Watykan, w ciągu 13 lat kierowania diecezją wydał 2,4 mln dol. na podróże, 4,6 mln dol. na remont swojej rezydencji, 140 tys. dol. na wystawne kolacje i 62 tys. na biżuterię. W sumie odbył prawie 150 podróży prywatnymi odrzutowcami i opłacił około 200 przejazdów limuzyną. Lubił zatrzymywać się w luksusowych hotelach w Waszyngtonie, Rzymie, Londynie, Paryżu i na Karaibach. Jego tygodniowe wakacje w apartamencie w Palm Beach na Florydzie kosztowały diecezję 9,3 tys. dol. Nie musiał zresztą nigdzie wyjeżdżać, by kościelne pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Jak donosi „Washington Post", wydawał około tysiąca dolarów miesięcznie na alkohol, miał słabość do drogich ubrań i kazał przystrajać kancelarię kurii świeżymi kwiatami. Koszt: 100 dol. dziennie.

Skąd diecezja Wheeling-Charleston czerpała na to wszystko pieniądze? Solidnym zastrzykiem dla jej budżetu są zyski z wydobycia ropy w Teksasie. Władze diecezji nie lubiły się tym chwalić, ale sto lat temu dostały w darowiźnie ziemię, która dzięki bogatym złożom przynosi prawie 15 mln dolarów zysków rocznie.

Jak wykazało śledztwo „Washington Post", Bransfield wyprowadził też 21 mln dol. z budżetu zarządzanego przez diecezję szpitala w Wheeling. Środki przelano na konto założonej przez biskupa organizacji charytatywnej Bishop's Fund, która miała pomagać mieszkańcom Wirginii Zachodniej. W praktyce duchowny korzystał z tych funduszy wedle uznania.

GREGORY A. SHEMITZ / REUTERS / FORUM

Bp Michael Bransfield przewodniczy mszy w intencji ochrony życia w Verizon Center w Waszyngtonie. 22 stycznia 2016 r.

A wydatków miał sporo, bo oprócz zamiłowania do luksusu lubił obdarowywać kosztownymi upominkami wysoko postawionych hierarchów. Na liście beneficjentów, którzy zgarnęli w sumie 350 tys. dol., znaleźli się m.in. oskarżany o tuszowanie nadużyć seksualnych kard. Bernard Law, ówczesny nuncjusz apostolski w Waszyngtonie abp Carlo Maria Viganò, a także arcybiskup Baltimore William Lori. Ten ostatni był odpowiedzialny za sporządzenie raportu na temat nadużyć Bransfielda, co zresztą od razu wykorzystał. Dopilnował, by w dokumencie nie pojawiło się nazwisko jego ani innych obdarowanych hierarchów. Gdy za sprawą dziennikarskiego śledztwa wyszło na jaw, że abp Lori dostał od biskupa hojny prezent (m.in. czek na 7,5 tys. dol.), duchowny przekazał środki na działalność charytatywną.

Raport Loriego cytuje wypowiedzi dziewięciu kleryków i młodych księży, którzy twierdzą, że Bransfield ich całował, dotykał, obejmował lub komentował ich wygląd. Jeden z mężczyzn zeznał, że biskup dał mu klapsa podczas wizyty w papieskiej letniej rezydencji w Castel Gandolfo, a innym razem zaprosił go do swojej sypialni i pocałował w szyję. Jak zeznało dwóch mężczyzn, Bransfield obdarowywał ich potem czekami w wys. od 50 do 300 dol. Często zaczepiał swoje ofiary pod wpływem alkoholu i opioidów (silnych leków przeciwbólowych). Jak wynika z zeznań byłego sekretarza Bransfielda, który w marcu 2019 r. złożył przeciwko niemu pozew o molestowanie seksualne, ordynariusz pił co noc przynajmniej pół butelki likieru. Kilka miesięcy później diecezja Wheeling-Charleston zawarła z mężczyzną ugodę.

Nie jestem czarodziejem

Zawarcie ugody z ofiarą ordynariusza zbiegło się w czasie z ingresem do tej diecezji Marka Brennana. Duchowny od początku objęcia stanowiska nie ukrywał oburzenia skandalem wywołanym przez poprzednika. W wywiadzie dla katolickiego tygodnika „Our Sunday Visitor" podkreślił, że „fundusze kościelne służą realizacji misji Kościoła i to niedopuszczalne, by były wykorzystywane do realizacji czyichś zachcianek". W jednym z listów pasterskich przypomniał, że „życie w zbędnym luksusie jest niezgodne z oczekiwaniami papieża Franciszka, który wzywa biskupów i księży do życia w skromności".

Nowy ordynariusz, który pełnił wcześniej funkcję biskupa pomocniczego w archidiecezji Baltimore, zapowiedział, że jego priorytetem będzie gruntowna reforma diecezji. Zaznaczył jednak, że jest „bratem w Chrystusie", a nie „czarodziejem", który by sprawił, że bolesna przeszłość pójdzie w niepamięć. Nominacji się nie spodziewał, gdyż ma 72 lata, a według prawa kanonicznego biskupi odchodzą na emeryturę po ukończeniu 75. roku życia.

Duchowny rozpoczął posługę w swoim stylu. Tuż po ingresie wyszedł z katedry św. Józefa w Wheeling, przeszedł na drugą stronę ulicy i pozdrowił siedzących tam wiernych. Katolicki serwis „Crux" rozpisywał się, że dzień wcześniej pomagał przy wydawaniu śniadania w prowadzonej przez diecezję jadłodajni dla ubogich.

Brennan zamieszkał na terenie plebanii przy katedrze. W wywiadach powtarzał: „Mieszkam w starym wiktoriańskim budynku. Mam salon, sypialnię i łazienkę. Tyle mi wystarczy". Podkreślał, że nie mógłby się odnaleźć w luksusowej rezydencji Bransfielda (która niedługo potem została zresztą sprzedana). Mówił, że

lubi gotować, a w miejscach, gdzie do tej pory pracował, sam sobie prał, sprzątał i robił zakupy.

Nauczajcie wszystkie narody

Zanim Brennan awansował w strukturach kościelnych, przez 40 lat służył jako wikariusz i proboszcz w parafiach archidiecezji waszyngtońskiej. Znany jest głównie z duszpasterstwa na rzecz imigrantów. Jako proboszcz parafii św. Marcina z Tours w Gaithersburgu odprawiał msze po angielsku, hiszpańsku i francusku. Jeszcze jako wikariusz służący w parafiach w stanie Maryland dostał polecenie, by nauczyć się hiszpańskiego. Odbył kurs językowy na Dominikanie i pracował tam przez pięć miesięcy. W Kolumbii odbył też kurs dla przyszłych proboszczów i podróżował po krajach Ameryki Środkowej. Ponad 30 lat później, już jako biskup pomocniczy w archidiecezji Baltimore, odpowiadał za rozwijanie działalności duszpasterskiej wśród latynoskich imigrantów. Gdy przeprowadził się do Wirginii Zachodniej, gdzie 92 proc. mieszkańców to biali, porzucił swoją dotychczasową dewizę „Nauczajcie wszystkie narody" i zamienił ją na hasło: „Doświadczając prawdy w miłości".

Posługa w diecezji Wheeling-Charleston to zapewne największe życiowe wyzwanie dla bp. Marka Brennana z powodu konieczności odbudowania zaufania wśród wiernych. Tym bardziej że hierarchowie Kościoła w USA i Watykanie przez lata przymykali oko na nadużycia Bransfielda. Jak wykazało śledztwo „Washington Post", już w 2013 r. nuncjusz Viganò otrzymał list od Lindy Abrahamian z Martinsburga w Wirginii Zachodniej, która pisała o wystawnym stylu życia Bransfielda.

Podobne skargi wpłynęły także m.in. do kard. Raymonda Burke'a, ówczesnego prefekta Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, a także do abp. Williama Loriego. Ten ostatni zainteresował się sprawą Bransfielda dopiero, gdy latem 2018 r. zgłosiło się do niego dwóch młodych księży, którzy oskarżyli biskupa Wheeling-Charleston o molestowanie seksualne. Hierarcha dostał też list od Kevina Quirka, wikariusza sądowego w diecezji Bransfielda, który alarmował, że biskup marnotrawi kościelne fundusze. Jak donosi dziennik „Washington Post", pod koniec sierpnia 2018 r. Bransfield trafił na dywanik do nuncjusza. Zrobił to z pompą, bo zamiast wybrać się w czterogodzinną podróż samochodem, poleciał prywatnym odrzutowcem. Być może mógł sobie na to wszystko pozwolić, bo po pierwsze dawał wpływowym hierarchom kosztowne upominki, a po drugie sam miał w kościelnych kręgach wysoką pozycję. Przez lata stał na czele Fundacji Papieskiej w USA (współzałożonej przez wydalonego już ze stanu duchownego Theodore'a McCarricka), która wspiera projekty charytatywne i edukacyjne rekomendowane przez Watykan. To właśnie w związku z zaangażowaniem w prace tej instytucji Bransfield wybierał się w kosztowne podróże.

Po latach jego rządów diecezja Wheeling-Charleston została nie tylko z dziurą w budżecie i kryzysem wizerunkowym, ale także pozwem ze strony prokuratora generalnego Wirginii Zachodniej. Diecezję i Bransfielda oskarżono o to, że z jednej strony promowano szkoły katolickie jako miejsca bezpieczne dla dzieci, a z drugiej tuszowano przypadki pedofilii wśród księży i pracowników świeckich. Sprawa jest w toku.

Ludzie byliby wściekli

Gdy pytam bp. Marka Brennana, jak po tych wszystkich latach chce odzyskać zaufanie wiernych, odpowiada krótko, że trzeba być uczciwym. Wylicza, że odkąd objął diecezję, zaostrzył restrykcje przy zatrudnianiu kapłanów i świeckich (od kandydatów pobierane są odciski palców). Wprowadził też nowy internetowy system zgłaszania nadużyć seksualnych i finansowych, wzmocnił rolę diecezjalnej rady ds. ekonomicznych, pracuje też nad powołaniem rady duszpasterskiej „doradzającej biskupowi w istotnych sprawach".

Do tej listy Brennan powinien dodać, że nakłonił ówczesnego przewodniczącego episkopatu kard. Daniela DiNardo, by nie zapraszał Bransfielda na zeszłoroczne zebranie Konferencji Biskupów USA w Baltimore. Jak tłumaczył w liście do kardynała: „Ludzie byliby wściekli, gdyby bp Bransfield uczestniczył w podejmowaniu decyzji, które mogą mieć wpływ na życie naszej diecezji". Przy okazji zatwierdzonego przez Watykan „planu naprawczego" Brennan skorzystał ze swoich uprawnień, by pozbawić poprzednika diecezjalnych funduszy na podróże i usług prywatnego sekretarza. W jego sprawie zdołał zrobić tyle, na ile pozwolił mu system.

© MARTA ZDZIEBORSKA

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE TYGODNIKA ZNAJDĄ PAŃSTWO

specjalny dodatek poświęcony powstającemu właśnie

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

w którym Wojciech Śleszyński i Anna Pyżewska
przybliżają zapomniane historie Polaków zesłanych w głąb Rosji.

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Psychologia episkopatu

JACEK PRUSAK SJ

Dlaczego argumenty naukowe dotyczące homoseksualizmu nie zmieniają myślenia biskupów i psychologów chrześcijańskich?

PRZEMEK WIERZCHOWSKI / REPORTER

Dokument biskupów poświęcony „kwestii LGBT+" wywołał silne poruszenie jako antynaukowy i w pewnych kwestiach szkodliwy społecznie (pisałem o tym w poprzednim numerze). Kluczowymi jego pojęciami stały się rozróżnienia „naturalności-nienaturalności" oraz powiązanej z nią „normalności-nienormalności" orientacji nieheteroseksualnych oraz transpłciowości. Dokument oparty jest na argumentach esencjalistycznych, które jednak nie we wszystkim znajdują odzwierciedlenie w badaniach naukowych albo mylnie interpretują istniejące. Na obronę jego sygnatariuszy można powiedzieć, że to teologowie, którym wiedza naukowa nie jest potrzebna do formułowania twierdzeń normatywnych o ludzkiej seksualności. W tle mamy jednak do czynienia z głębszym problemem.

Przeprowadzone przed kilku laty badania na grupie 200 polskich psychoterapeutów (Iniewicz, Grabski 2015) ujawniły, że prawie połowa na pytanie, czym jest homoseksualność, odpowiedziała, że jest to nieprawidłowy wariant rozwojowy. Tak myśli zdecydowana większość tzw. psychologów chrześcijańskich. Można zapytać, jak to możliwe, skoro takie stanowisko jest niezgodne z wytycznymi towarzystw naukowych seksuologów, psychologów i psychiatrów oraz pokrewnych środowisk skupiających profesjonalistów od zdrowia psychicznego. Skąd ten upór, mimo że na polskim rynku wydawniczym dostępnych jest wiele rzetelnych pozycji odnoszących się do tej problematyki? Dlaczego argumenty naukowe nie zmieniają myślenia biskupów i psychologów?

Zacznijmy od pewnego eksperymentu myślowego. Przytaczam go za matematykiem i epidemiologiem prof. Adamem Kucharskim („Prawa epidemii", 2020). Załóżmy, że po starannym przemyśleniu relacji z jakąś osobą, intensywnie zastanawiasz się nad małżeństwem. W tej sytuacji do zmiany twojego zdania potrzebny byłby naprawdę solidny powód. Jeśli jednak nie masz całkowitej pewności co do tego związku, łatwiej będzie cię przekonać do rezygnacji z małżeństwa. Tak więc coś, co może się wydawać banalne osobie zakochanej, może wystarczyć, by w umyśle osoby wahającej się przechylić szalę na stronę zerwania.

Myślenie racjonalne

Czy w sporze o prawa mniejszości seksualnych oraz w kwestiach związanych z przejawami różnorodności seksualnej jesteśmy racjonalni w ocenie nowych informacji i argumentów oraz gotowi do weryfikacji własnych poglądów?

Jeśli uważamy kogoś za osobę racjonalną, a tak o sobie zapewne myślą i biskupi, i psychologowie chrześcijańscy, to będziemy się spodziewać, że będą aktualizowali swoje przekonania, kiedy otrzymają jakieś nowe informacje. W nauce określa się takie podejście „wnioskowaniem bayesowskim" od nazwiska XVII-wiecznego statystyka Thomasa Bayesa. Koncepcja ta polega na tym, by traktować wiedzę jako przekonanie, co do którego mamy pewien poziom zaufania. Mówiąc skrótowo, chodzi w niej o to, że jeśli ktoś zaczyna od zdecydowanego przekonania, będzie z reguły potrzebował silnych dowodów, by je przezwyciężyć; a jeśli początkowo brakuje mu pewności, nie będzie potrzeba wiele, by zmienił swoje zdanie. Oznacza to, że posiadana opinia w jakiejkolwiek sprawie po kontakcie z nowymi informacjami zależy od dwóch rzeczy: siły początkowego przekonania i siły nowych dowodów. Analiza dokumentu biskupów sugeruje, że jego sygnatariusze, jak też ich zwolennicy, mają zdecydowane przekonania w kwestii LGBT+.

Zgodnie z logiką bayesowską, jeśli mamy zdecydowane zdanie na jakiś temat, będzie nam trudno rozpoznać skutki argumentów, które to istniejące przekonanie wspierają. Jeśli więc otrzymamy dowody spójne ze swoim przekonaniem – niezależnie od tego, czy są one przekonujące, czy słabe – w ostatecznym rozrachunku nie zmienimy swojego zdania. A jeśli ktoś wysunie jakiś argument przeciwko naszemu przekonaniu, to jeśli jest słaby, nie zmienimy zdania, gdyby jednak był niepodważalny, to być może wpłynąłby na zmianę naszego myślenia. Z bayesowskiego punktu widzenia

ogólnie lepiej sobie radzimy z ocenianiem skutków argumentów, z którymi się nie zgadzamy.

O ile bayesowska logika wnioskowania stosowana jest w nauce, to wiele badań psychologicznych wskazuje, że kwestie światopoglądowe są na nią oporne, zwłaszcza kiedy otrzymujemy nowe informacje w kwestiach spornych, które są sprzeczne z naszymi aktualnymi poglądami. Psychologowie społeczni Matthew Feinberg oraz Robb Willer poprosili ludzi, by podali dwa argumenty, które byłyby przekonujące dla kogoś o przeciwnych poglądach politycznych. Zauważyli, że wielu respondentów używało argumentów pasujących do ich własnego stanowiska moralnego, a nie stanowiska osoby, którą próbowali przekonać. Liberałowie próbowali apelować do takich wartości jak równość i sprawiedliwość społeczna, a konserwatyści argumentowali w oparciu o zjawiska takie jak lojalność i szacunek dla autorytetów.

Okazało się, że argumentowanie na znajomym terenie nie było skuteczne – ludzie byli o wiele bardziej przekonujący, kiedy dostosowywali swoje argumenty do wartości moralnych przeciwnika. Badacze doszli więc do wniosku, że jeśli chcesz przekonać konserwatystę, lepiej ci pójdzie, jeśli skupisz się na koncepcjach takich jak patriotyzm i wspólnota, natomiast liberała przekonają bardziej komunikaty promujące sprawiedliwość.

Odwrotny skutek

Z powodu silnych przekonań religijnych uważanych za nieomylne (autorytet Biblii i Magisterium) pochodzące z badań naukowych informacje o różnorodności seksualnej wytwarzają u przeciwników praw osób LGBT+ skutek odwrotny (tzw. *backfire effect*). Oznacza to, że przekonywanie ich w ten sposób może jeszcze bardziej utwierdzić ich w pewności co do swoich religijnych poglądów albo zaczną wierzyć w jeszcze coś innego. Nie jest to oczywiście „żelazne prawo", bo grupa biskupów czy psychologów chrześcijańskich nie jest z definicji niereformowalna. Chociaż bowiem ciężko przekonać ludzi, że nie mają racji – zwłaszcza jeśli powołują się na Objawienie czy jakiś inny uprzywilejowany dostęp do prawdy (Magisterium), próba skorygowania ich przekonań niekoniecznie musi doprowadzić do tego, że ich przekonania tylko się wzmocnią („zdogmatyzują"). Należy bowiem odróżnić efekt odwrotnego skutku od zjawiska zwanego w psychologii „efektem zaprzeczania", a więc od tendencji polegającej na tym, że argumenty sprzeczne z naszymi przekonaniami analizować będziemy dokładniej niż te, z którymi się zgadzamy.

Zjawisko kontrproduktywności zakłada, że ludzie ignorują argumenty drugiej strony i wzmacniają swoje przekonania, natomiast efekt zaprzeczania oznacza po prostu, że częściej ignorują argumenty, które uznają za słabe. Różnica może wydawać się subtelna, ale jak podkreśla prof. Kucharski, ma kluczowe znaczenie. Jeśli bowiem „*backfire effect* jest powszechny, oznacza to, że nie możemy przekonać osób o opiniach sprzecznych z naszymi, by zmieniły stanowisko. Nieważne, jak przekonujące będą nasze argumenty, oni tylko głębiej okopią się na swoim stanowisku. Dyskutowanie staje się beznadziejne, a dowody bezwartościowe. Z drugiej strony, jeśli ludzie cierpią z powodu efektu zaprzeczania, oznacza to, że ich poglądy mogą się zmienić, jeśli dostaną wystarczająco przekonujące argumenty".

Czy w takim razie możliwa jest zmiana myślenia biskupów i psychologów chrześcijańskich w kwestiach niezwiązanych wprost z wiarą, wpisanych jednak w rozumienie moralności?

Wierzyć czy wiedzieć

Antynaukowy charakter dokumentu biskupów o kwestiach LGBT+ pokazuje, że nie będzie to łatwe, bowiem nie chodzi w nim tylko o rozumienie fundamentów moralności, ale relacje wiary z nauką, teologii z naukami społecznymi i przyrodniczymi. Obrońcy dokumentu przestrzegają przed „bałwochwalczym podejściem do nauki" i uważają, że jeśli ktoś się przeciwstawia mainstreamowi „ideologii gender", to z definicji musi mieć rację, bo to „święty upór".

Badania pokazują, że czasowniki „wiem" i „wierzę" należą do najczęściej używanych przez ludzi, i to niemal we wszystkich językach świata. Zgodnie ze słownikami opartymi na założeniach językoznawczej kognitywistyki, która nawiązuje do kognitywistyki psychologicznej, zdania „wiem, że..." oraz „wierzę, że..." implikują odniesienia do „prawda" i „prawdziwy", a to oznacza – jak podkreśla prof. Tadeusz Zgółka – „że mówimy o wiedzy zawartej w zdaniach wyrażających moje sądy, bo tylko one mogą być prawdziwe lub fałszywe" („Wiedzieć czy wierzyć", „Charaktery", wrzesień 2020). Różnica między nimi sprowadza się zaś do dwu kognitywnych czasowników: „wiem" oznacza „jestem świadomy", a „wierzę" – „jestem przekonany".

Autorzy dokumentu, jak i psychologowie chrześcijańscy, przyjmują, że wiedzą, bo wierzą, i znają prawdę, bo są głęboko przekonani, że nie mogą się mylić, skoro za ich wiarą „stoi" Bóg. Wiedza nie jest wolna od wiary, ale jest to wiara oparta na założeniu, że mogę być w błędzie. Takiej postawy nie znajdziemy w dokumencie biskupów i popierających ich psychologów chrześcijańskich. Czy w takim razie ich wiara nie jest irracjonalna?

Nie wystarczy iść pod prąd, żeby mieć rację. Ma się rację, ponieważ ma się przekonujące argumenty czy dowody, a nie dlatego, że się jest w mniejszości. Biblii nie można traktować jak podręcznika biologii, klasyfikacji zaburzeń psychicznych oraz konstytucji. W przypadku biskupów i psychologów chrześcijańskich wypowiadających się negatywnie na temat LGBT+ nie mamy bowiem tylko ani przede wszystkim do czynienia z brakiem wiedzy naukowej, lecz musimy wziąć pod uwagę głęboko osadzone uprzedzenia racjonalizowane religijnie. Tak bowiem w świetle badań psychologicznych działają stereotypy. Pocieszające jest jednak to, że uprzedzenia są podatne na zmianę wtedy, gdy poznamy tych, których się tak obawiamy – ale nie przez pryzmat opinii na ich temat, lecz przez to, co nam pokażą na swój temat swoim życiem. Ostatecznie bowiem Prawda ma charakter osobowy, a „wierzyć" i „wiedzieć" nie muszą być alternatywami. Wiara niepoparta wiedzą to ideologia. ©

RDC POLSKIE RADIO

PIOTR SIKORA opowie Grzegorzowi Chlaście o tajemnicach rzeki Wisły (tekst na s. 102) w środę 9 września o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Prawo, by oczekiwać

ARTUR SPORNIAK

Biskupi wciąż uczą się nowych procedur reagowania na pedofilię. I przekonują się, że same procedury to za mało.

Portal OKO.press oskarżył metropolitę łódzkiego abp. Grzegorza Rysia, że choć otrzymał w maju 2019 r. skargę dotyczącą „ukrywania księdza pedofila" przez Andrzeja Dziubę, biskupa sufragana z jego metropolii, przez rok nie reagował. Dziennikarze portalu sugerują, że „sprawa biskupa Dziuby pewnie by więc ucichła", gdyby nie upomniała się o nią po roku u abp. Rysia ofiara owego księdza.

W MAJU 2019 R. abp Wojciech Polak otrzymał mail od pana Janusza, który jako ministrant w wieku 13 lat był molestowany. „Mail do prymasa opowiadał właśnie o systemowym tuszowaniu przestępstw księdza Piotra S. przez kurię i biskupów łowickich" – piszą dziennikarze OKO.press. Dwa tygodnie wcześniej papież Franciszek ogłosił nowe przepisy dotyczące właśnie postępowania w sytuacji oskarżenia biskupów o tuszowanie przypadków pedofilii. Zgodnie z nimi prymas powiadomił abp. Rysia, jako właściwą osobę, o takim zgłoszeniu, oraz powiadomił pana Janusza o swoim liście do metropolity łódzkiego. I rzeczywiście, nic się nie działo przez rok, aż do czasu, gdy o tę sprawę upomniał się pan Janusz bezpośrednio u abp. Rysia. Stąd OKO.press wyciąga wniosek, że metropolita łódzki świadomie chciał sprawę bp. Dziuby wyciszyć.

Broniąc się, abp Grzegorz Ryś ujawnił treść listu od abp. Polaka (przy okazji ujawniając też nazwisko ofiary, za co następnie publicznie przeprosił). „Pan Janusz (...) wskazuje również na zaniedbania dotyczące zgłoszonej już w 2011 roku sprawy i na brak wiedzy o jej przebiegu. Zgodnie zatem z art. 8 *motu proprio* papieża Franciszka »Vox estis lux mundi« przekazuję księdzu arcybiskupowi metropolicie niniejszą informację. Jednocześnie pragnę powiadomić, że poinformowałem osobę zgłaszającą, że od dnia 1 czerwca 2019 roku osobą kompetentną do przyjęcia takiego zawiadomienia dotyczącego diecezji łowickiej jest właśnie metropolita łódzki" – napisał prymas.

„Miałem więc słuszne prawo oczekiwać – pisze w oświadczeniu abp Ryś – iż pokrzywdzony wkrótce zwróci się do mnie z odpowiednim zawiadomieniem. Nie uczynił tego jednak przez cały rok". Zrobił to 19 maja 2020 r., i wtedy metropolita łódzki od razu podjął wszystkie nakazane prawem działania. Wcześniej nie miał danych na temat zgłoszenia, nawet adresu mailowego pana Janusza. W konkluzji abp Ryś napisał, że dziennikarze OKO.press otrzymali pełną wiedzę na temat tych faktów, a ich interpretację uważa za stronniczą, świadomie krzywdzącą i godzącą w jego dobre imię.

GDY PRÓBUJEMY ZROZUMIEĆ, co się właściwie stało, warto pamiętać, że przepisy Franciszka akurat wtedy dopiero wchodziły w życie (od 1 czerwca 2019 r.). Dopiero uczono się je stosować. Uczył się je stosować także abp Polak. Art. 8, na który powołał się w liście do abp. Rysia, stwierdza: „Władza, która otrzymuje zawiadomienie, przekazuje je zarówno do Stolicy Apostolskiej, jak i do metropolity prowincji kościelnej, w której ma stałe zamieszkanie osoba, której dotyczy zawiadomienie". Dlaczego, powiadamiając właściwego metropolitę, nie powiadomił też Stolicy Apostolskiej? I czy jego list był formalnym zawiadomieniem abp. Rysia o podejrzeniu tuszowania pedofilii przez bp. Dziubę, czy jedynie poinformowaniem go, że ktoś się w tej sprawie do niego zgłosi?

Abp Ryś, jak wynika z jego oświadczenia, odebrał to właśnie w ten sposób – jak zwykłą informację, i czekał na właściwe zawiadomienie. Ale skoro wiedział, że taka sprawa się pojawiła i wedle nowego prawa powinna trafić do jego rąk, dlaczego sam nie dopytał o potrzebne szczegóły?

Nieporozumienie między metropolitami, wynikłe z kłopotów z wdrażaniem nowego prawa, boleśnie odbiło się jednak na ofierze. Pan Janusz z goryczą teraz komentuje: „Do obowiązków ofiary wykorzystywania seksualnego dzieci i młodzieży przez duchownych nie należy znajomość prawa kanonicznego oraz kościelnych procedur". ©℗

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem żegnamy

Ś.† P.

Józefę Hennelową

współzałożycielkę i członkinię
Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie,
dziennikarkę, felietonistkę,
działaczkę społeczną, posłankę na Sejm
z ramienia Komitetu Obywatelskiego.
Jej wystąpienia w naszym Klubie, jej pisarstwo
i działalność pozostaną dla nas źródłem inspiracji,
z którego będziemy obficie czerpać.
Osoba Zmarłej jest dla nas wzorem czynnej
chrześcijańskiej troski o człowieka, o Kościół i o Polskę.

Rodzinie składamy wyrazy
najserdeczniejszego współczucia.

Zarząd Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Świątynia Opatrzności Bożej, Warszawa, marzec 2020 r.

Matrix w naszej wierze

SEBASTIAN DUDA

Myślący chrześcijanie obok tej książki nie powinni przechodzić obojętnie. Choć wielu dzisiaj wolałoby zapomnieć o jej autorze.

Tomasz Węcławski był kiedyś uważany za jednego z najwybitniejszych teologów naszego Kościoła. Jego publikacje szeroko komentowano. Był jednym z ważnych autorów tych łamów. Ceniono go nie tylko za intelektualną finezję (choć pełen hermetycznych zwrotów i zawiłych metodologicznych rozważań styl jego prac nie ułatwiał lektury). W 2002 r. jako jeden z nielicznych księży i dziekan Wydziału Teologicznego UAM w Poznaniu otwarcie mówił o krzywdzeniu kleryków przez abp. Juliusza Paetza. Wielu katolików, którzy z nim się zetknęli, uznawało go za swego mistrza.

Tym większy był szok, gdy w 2007 r. ogłosił odejście ze stanu kapłańskiego, a następnie akt apostazji z Kościoła katolickiego. Niedługo potem Tomasz Węcławski stał się Tomaszem Polakiem. Dla niektórych stanowiło to wystarczający powód, by odtąd omijać jego nowe publikacje. Niesłusznie.

Niepokojący efekt

Właśnie wydał ważną książkę. Nosi tytuł „System kościelny, czyli przewagi pana K.”. Tytułowy pan K. to bohater krótkich, anegdotycznych opowiastek, które w latach 1926-56 publikował Bertolt Brecht. Cytaty z nich to świetny kontrapunkt dla proponowanych przez Polaka rozważań na temat chrześcijaństwa – jego dawnych i całkiem współczesnych problemów.

Myliłby się jednak ten, kto szukałby w książce poznańskiego profesora wyrazistych wykładni dzisiejszych głównych problemów instytucjonalnego Kościoła (bądź Kościołów): kryzysu władzy, możliwej demokratyzacji w ramach różnych wspólnot oraz sporów toczonych o kapłaństwo kobiet czy moralną ocenę aktów homoseksualnych. Wszystko to są zdaniem Polaka sprawy ważne, ale z pewnego punktu (dla niego podstawowego w odniesieniu do chrześcijaństwa) jednak drugorzędne. Bo, jak można przeczytać w książce, o kształcie instytucji chrześcijańskich – zarówno ich form dawnych, jak i współczesnych – zadecydowało kilkadziesiąt pierwszych lat po śmierci Jezusa z Nazaretu. Wtedy właśnie powstał „system kościelny”, tj. „zespół wyobrażeń i powiązanych z nimi reguł postępowania”, dzięki któremu najróżniejsze wspólnoty chrześcijańskie w przeszłości i obecnie działają właśnie tak, a nie inaczej.

Na temat owego „systemu kościelnego” Polak przedstawia sześć wyrazistych tez. Nie sposób tu omówić każdej z nich. Dość powiedzieć, że argumentacja opiera się na solidnych podstawach merytorycznych: autor potrafi łączyć teologiczną erudycję z dziedzinami, wydawałoby się, tak odległymi od teologii jak informatyka, biologia czy nawet fizyka kwantowa (o socjologii, psychologii czy antropologii kulturowej nie wspominając). Efekt bywa dla wierzącego niepokojący. Sądzę jednak, że tym bardziej należy podjąć stawiane przez Polaka kwestie. Chodzi tu bowiem nie tylko o namysł nad najróżniejszymi perwersjami występującymi w Kościele (być może od jego początków), ale o samą istotę doświadczenia chrześcijańskiego. ↦

↦ Punktem wyjścia refleksji zawartych w „Systemie kościelnym..." jest pytanie, co chrześcijaństwo uczyniło i nadal czyni z postacią Jezusa z Nazaretu – wędrownego galilejskiego nauczyciela, który próbował w trzeciej dekadzie I wieku reformować religię żydowską, proponując jej wiernym przede wszystkim emancypację z nadmiernego prawnego rygoryzmu. Jak wiadomo, Nazarejczyk poniósł klęskę: został ukrzyżowany. Nie był on jednak, choć utrzymuje tak wielu chrześcijan, założycielem Kościoła, na co wskazują w zdecydowanej większości zajmujący się Nowym Testamentem i wczesnym chrześcijaństwem współcześni naukowcy. Mimo to, jak twierdzi Polak, „system kościelny niebezpodstawnie powołuje się na założycielską rolę Jezusa. Niewątpliwie, to właśnie krótkie publiczne życie Jezusa umożliwiło powstanie tego systemu. Jego bezpośredni twórcy (...) rozpoznali i uruchomili realny potencjał impulsu Jezusa. Dokonali tego jednak po jego śmierci i wskutek jego śmierci, a to znaczy, że dokonali tego bez Jezusa i – przynajmniej w ostatecznym wyniku – wbrew niemu, choć z powołaniem się na niego".

Impuls kontra system

Wspomniany przez Polaka „impuls Jezusa" do dziś wedle poznańskiego teologa ujawnia się w różnych chrześcijańskich denominacjach wszędzie tam, gdzie wierni próbują działać i myśleć „tak jak Jezus" (chcąc np. rezygnować z dóbr materialnych na rzecz innych). W tym z pewnością zawiera się istotna chrześcijańska tożsamość. Jednak obok „impulsu Jezusa" w „systemie kościelnym" od początku funkcjonuje również coś innego: to koncept „świętej", czyli pochodzącej bezpośrednio od Boga (albo od Boga-Człowieka) władzy, który służy do usprawiedliwiania wszelkich aktów oraz struktur dominacji i przemocy. Koncept ów powstał niedługo po śmierci Jezusa z Nazaretu, być może nawet w pierwszych tygodniach i miesiącach po ukrzyżowaniu. Wtedy to uczniowie, którzy w decydującym momencie opuścili swego mistrza, aby uporać się z własnym poczuciem winy i resentymentem, dokonali szczególnej sakralizacji zabitego nauczyciela. Zaczęli wierzyć i głosić, że Bóg wskrzesił Jezusa z martwych.

Takie „krytyczne" (tj. odwołujące się do badań naukowych, a nie wiary chrześcijan czy teologii Kościołów) wytłumaczenie zmartwychwstania nie jest niczym oryginalnym. Można się zasadnie spierać, czy Polak nie nazbyt szybko przyjmuje za pewnik niektóre egzegetyczne rekonstrukcje bądź ustalenia psychologów lub socjologów religii odnośnie do postaci Nazarejczyka oraz doświadczenia i życia uczniów po jego śmierci. Badania nad „Jezusem historycznym" (odróżnianym od „Chrystusa wiary") wcale nie są tak konkluzywne (autor „Systemu kościelnego..." mimochodem przyznaje zresztą to kilkukrotnie), jak zazwyczaj wyobrażają sobie anty- i niechrześcijańscy sceptycy. Podobnie rzecz się ma w przypadku pierwotnego Kościoła. Siła prezentowanych przez Polaka tez tkwi w czymś innym.

> Tomasz Polak łączy teologiczną erudycję z takimi dziedzinami jak biologia czy fizyka kwantowa. **Efekt bywa dla wierzącego niepokojący.**

Pisze on bowiem, że „gdyby nie dokonała się sakralizacja postaci wyzwolicielskiej i »dobrej nowiny wyzwolenia«, nierównie trudniej byłoby usprawiedliwiać świętość władzy i posiadania we wspólnocie wyznawców – ta władza jest święta, ponieważ »wyzwala« i »służy człowiekowi« (ale też: ponieważ jest »święta« – wyzwala i służy, nawet jeśli wyzwalani tego nie czują/nie rozumieją)". Wyodrębnienie się „świętej władzy" to istota „systemu kościelnego" od jego powstania w I wieku po dziś. Miało i ma to fatalne skutki.

Bo, jak sugeruje Polak, „gdyby nie dokonało się usprawiedliwienie władzy we wspólnocie tym, że jest to władza w imię »dobrej nowiny wyzwolenia«, nie byłoby możliwości podtrzymywania przekonania o bezwzględnej wyjątkowości chrześcijaństwa wśród religii ani usprawiedliwiania dokonującej się w jego strukturach »uświęconej przemocy«, np. wykluczania/skazywania na banicję i śmierć w imię czystości czy też świętości »ewangelii«". Oto wytłumaczenie, dlaczego chrześcijaństwo bywa (a zdaniem Polaka w gruncie rzeczy jest) systemem opresyjnym, który w obręb mocy swych wyobrażeń wtłacza nie tylko własnych wyznawców, ale wszystkich innych, niepodzielających wiary w zmartwychwstanie Chrystusa ludzi – definiowanych wcale często w różnych Kościołach jako „wrogowie". W imię „świętego" autorytetu głoszących Ewangelię zaprawdę wielu w przeszłości i obecnie zostało skazanych na banicję.

Samosakralizacja

Nie dziwi zatem, że i dziś Kościoły (a w Polsce w szczególności największy z nich) widzą w sobie rzeczywistość „wyjętą ze zwyczajnego (niesakralnego) porządku rzeczy i oddzieloną do innego porządku: rzeczy boskich". Taka autoprezentacja wsparta jest jeszcze głoszonymi wysokimi wymaganiami moralnymi (mniejsza o to, że ów ideał w przekonaniu wielu chrześcijan nie nadaje się do pełnej realizacji). W powiązaniu ze strukturą kościelnej władzy hierarchicznej efekty takiego „samorozpoznania" są zwykle druzgocące. To m.in. hipokryzja ludzi tkwiących w „systemie kościelnym" (przede wszystkim sprawujących w nim władzę) oraz oczekiwanie z ich strony przywilejów (np. „właściwych" dla chrześcijan rozwiązań prawno-konstytucyjnych w ramach współczesnych demokracji) czy wysokiej pozycji społecznej.

Z tego powodu, konstatuje Polak: „Przy silnym zakorzenieniu struktur, o których tu mowa, w świadomości indywidualnej i społecznej – tak jest z instytucjonalnym chrześcijaństwem w społecznościach, w których jest ono religią większościową – oczekiwania i wymagania tego rodzaju mogą działać również na zasadzie samej tylko wywieranej przez owe struktury przemocy symbolicznej. Uznanie pierwszeństwa »hierarchii« (świętej zasady, wyjątku/wyjątkowej wartości) w świadomości i strukturze pewnej społeczności i tworzących ją jednostek skutkuje wtedy powstaniem szarej strefy wpływów instytucji ową »świętość« reprezentujących – także tam, gdzie nie ma żadnych formalnych podstaw dla ich wpływu".

Główna konkluzja rozważań Polaka jest dla chrześcijaństwa bardzo pesymistyczna: tak przedstawionego „systemu kościelnego" nie przemieni (w jego istocie) żadna reforma podejmowana przez przejętych opłakanym stanem swoich wspólnot. Jeśli tezę tę uznamy za przekonującą, dość groteskowo na tym tle muszą się prezentować np. współczesne kłótnie między katolickimi progresistami i konserwatystami. Wedle poznańskiego profesora od

dawna – wbrew pozorom – nie interesują ich bowiem żadne poważne spory doktrynalne. Nurtują za to pytania o „struktury, stosunki władzy i wewnętrzne relacje poszczególnych części i wymiarów kościelnych instytucji". To samo dotyczy nawet rzymskokatolickiego Magisterium, którego grandilokwencja w ostatnich dekadach osiągnęła niebywałe rozmiary, co nie przełożyło się na moc jego oddziaływania ani we wspólnocie wiernych, ani poza nią. Większość dokumentów Urzędu Nauczycielskiego zdaje się nie obchodzić nawet ich twórców.

Ludzie Kościoła (nie dotyczy to zresztą zdaniem Polaka tylko katolików) przyzwyczaili się działać na „biegu jałowym". Autor „Systemu kościelnego..." pisze bez ogródek, że „skutkiem jest wewnątrzkościelny pat i rosnące rozczarowanie. Skutkiem jest też neutralizacja religijnego napięcia i jałowość strukturalnych sporów: ani tradycjonaliści nie muszą się obawiać, że dokona się reforma, która zniszczy Tradycję (zwykli to słowo pisać wielką literą), ani reformatorzy nie muszą się bać, że kościelna konserwa zatrzyma »konieczne reformy«. Tam, gdzie cały ruch sprowadza się do biegu jałowego, nie ma niczego, co można by zatrzymać".

Zmartwychwstanie

„System kościelny" okazuje się niereformowalny z jednego prostego powodu: przyczyną jest pierwotne wedle Tomasza Polaka „uwielbienie" i „ubóstwienie" zabitego Jezusa z Nazaretu, które *de facto* trzeba utożsamić z wiarą chrześcijan w zmartwychwstanie Chrystusa. Z drugiej strony jednak należy podkreślić, że w przypadku uczniów ukrzyżowanego Galilejczyka na pewno nie była to świadoma manipulacja, by osiągnąć jakiś zaplanowany cel (np. utworzenie kościelnych instytucji ze „świętym" autorytetem jego przywódców). Poznański profesor utrzymuje, że „powstanie Kościoła utożsamianego z Jezusem Mesjaszem (czyli Chrystusem) nie było oczywiście tego rodzaju manipulacją. Można i trzeba natomiast mówić w tym kontekście o specyficznej »automanipulacji«, czyli o takiej odpowiedzi najbardziej zaangażowanych w »sprawę Jezusa« na przeżywany przez nich dysonans egzystencjalny i poznawczy spowodowany przez jego krzyżową śmierć, że odpowiadający sami natychmiast uwierzyli w swoją interpretację jego śmierci i dali się ponieść dynamice tej interpretacji".

> Punktem wyjścia refleksji w książce o „systemie kościelnym" jest pytanie, **co chrześcijaństwo uczyniło z postacią Jezusa.**

Takiego twierdzenia nie da się sensownie dowieść (nawet przez odwołanie do metod psychologii głębi czy innych dyscyplin naukowych). Czy wiara w zmartwychwstanie Chrystusa naprawdę wynikała z „automanipulacji" prowadzącej do „fałszywej sakralizacji" ukrzyżowanego Jezusa? Czy na pewno za wiarę tę odpowiadają poczucie winy i resentyment, których ponoć doświadczali uczniowie Nazarejczyka? Tego typu spekulacje nie muszą być przekonujące ani dla historyków, ani tym bardziej dla chrześcijan. W księgach Nowego Testamentu i innych pismach chrześcijańskich trudno doszukać się bowiem tak mocno jak w książce Polaka sformułowanego twierdzenia. Wielu historyków skłonnych jest przyznać, że zmartwychwstania nie da się traktować jako wydarzenia historycznego. Jednak samo zaistnienie wiary w zmartwychwstanie Chrystusa, która często prowadziła uczniów Jezusa i ich naśladowców do dobrowolnego męczeństwa, taki fakt już bez wątpienia stanowi. Co więcej, zarówno dla pierwszych chrześcijan, jak i tych z późniejszych czasów zmartwychwstanie Chrystusa było tak samo realnym wydarzeniem jak ukrzyżowanie i śmierć Jezusa. Czy pierwotna „automanipulacja", którą poznański profesor zdaje się traktować niczym naukowy pewnik, naprawdę mogła mieć aż tak wielką zdolność trwania?

Pustka

Jednak trudno zaprzeczyć, że implikacje wywodów Polaka są poważne. Autor pisze np. z naciskiem, że „»wielki projekt«, jakim stał się chrześcijański system kościelny, w całości wchłonął nie tylko potencjał impulsu Jezusa z samym człowiekiem Jezusem z Nazaretu włącznie – czyniąc właśnie z niego i z jego orędzia objaśnienie i usprawiedliwienie siebie samego jako systemu. Projekt ten wchłonął także całą obiektywnie-religijną przestrzeń obecności Boga (jeśli przestrzeń taka w ogóle kiedykolwiek realnie istniała jako rzeczywistość osobna, a nie tylko wyobrażona). Przekonanie uczestników tego projektu, że jest on w istocie »boski« i »wieczny«, ma oczywiście nadal zasadnicze znaczenie dla samousprawiedliwienia się ich Kościoła/systemu kościelnego. Ma też niewątpliwie znaczenie dla zrozumienia źródeł jego religijnej, politycznej, społecznej i estetycznej siły. Nie ma jednak zupełnie znaczenia z perspektywy identyfikacji i krytyki tego systemu spoza niego samego".

Polak twierdzi ni mniej ni więcej, tylko że jądro „systemu kościelnego" jest ateistyczne. Tkwiący w owym systemie mogą się co prawda łudzić, że przez doświadczanie zmartwychwstałego Chrystusa w Kościele mają dostęp do Boga. Naprawdę jednak to tylko pustka zapełniana nieustannie przez fałszywą sakralizację zamęczonego dawno temu na krzyżu człowieka. Ta zaś z konieczności prowadzić musi do perwersji w kościelnych strukturach i działaniach oraz stosowania (nawet jeśli chrześcijanie deklaratywnie – w imię podążania za przykładem Jezusa – się od niej odżegnują) przemocy względem niewierzących w Zmartwychwstałego.

Niepokoi mnie mocno, że Tomasz Polak w swej analizie „systemu kościelnego" może mieć sporo racji. Mam jednak też silne przekonanie, że chrześcijaństwo nie sprowadza się wyłącznie do tego, co z nieubłaganą konsekwencją przedstawił na kartach swej najnowszej książki. Można znaleźć w dziejach wiele przykładów, że wiara w zmartwychwstanie Chrystusa nie prowadziła jedynie do wyrządzania krzywd, ale również do niespotykanego heroizmu i czynienia dobra. Dziś wcale nie musi być inaczej. Mimo to warto mieć w pamięci jako przestrogę to, co Polak pisze o fałszywej sakralizacji. Nie chodzi tu o bóstwo Jezusa z Nazaretu, ale o uroszczenia wszystkich tych, którzy w Kościele powołują się na świętość autorytetu, by w imię Ewangelii brutalnie gnębić innych. © SEBASTIAN DUDA

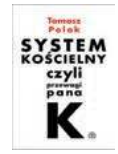

Tomasz Polak **SYSTEM KOŚCIELNY, CZYLI PRZEWAGI PANA K.** *Wydawnictwo Nauk Społecznych i Humanistycznych UAM, Poznań 2020.*

BIAŁORUSKA WYSPA NOWOCZESNOŚCI

W morzu przestarzałej gospodarki, na Białorusi niespodziewanie wyrósł prężny sektor IT. Informatycy wsparli antyreżimowe protesty, co stawia pod znakiem zapytania przyszłość tego fenomenu.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Jest rok 1991, Związek Sowiecki dożywa ostatnich dni. Dwaj 31-letni Białorusini, Arkadij Dobkin i Leonid Lozner, zmęczeni brakiem perspektyw w rodzinnym Mińsku, emigrują do USA. Obaj są absolwentami Białoruskiego Uniwersytetu Technicznego, jednej z lepszych tego typu uczelni w kraju. Po dwóch latach zakładają EPAM Systems: firmę IT, która będzie się specjalizować w tworzeniu oprogramowania. Od początku działają między amerykańskim Wschodnim Wybrzeżem a Mińskiem, gdzie do współpracy dokooptowują znajomych ze studiów.

Jest rok 2002. EPAM Systems po raz pierwszy zostaje odnotowany w zestawieniu najszybciej rozwijających się amerykańskich firm technologicznych. 37-letni Waleryj Capkała, białoruski ambasador w USA, odwiedza Dolinę Krzemową, gdzie – ku swojemu zdziwieniu – spotyka wielu Białorusinów: pracują w słynnych firmach IT, niektórzy prowadzą własne biznesy. W jednym z późniejszych wywiadów powie: „Zastanawiałem się, czy aby odnieść sukces, koniecznie trzeba emigrować? Skoro naszym informatykom udało się w obcym kraju, to tym bardziej mogą to zrobić we własnym".

Niech będzie taka zabawka

Ambasador jest pod wrażeniem. Gdy w tym samym roku wraca do Mińska i zostaje doradcą prezydenta Łukaszenki ds. nauki i technologii, zaczyna mozolnie przekonywać władze, że warto stworzyć warunki, aby białoruscy informatycy nie musieli emigrować.

Capkała nie działa sam, wspiera go Dobkin. Współwłaściciel EPAM będzie później wspominać: „Staliśmy się inicjatorami stworzenia białoruskiego Parku Wysokich Technologii. Szukaliśmy lobbystów, przekonywaliśmy ludzi, nawiązaliśmy kontakty z kilkoma osobami. Poznaliśmy się z Capkałą. Wszystkim wyjaśnialiśmy, dlaczego idea ta będzie korzystna". Na Białorusi jest wówczas zaledwie kilkuset informatyków, którzy pracują głównie na potrzeby wojska.

Capkała przekonuje Łukaszenkę, że kraj potrzebuje specjalnego ustawodawstwa, które umożliwi rozwój sektora IT. Podobno udaje się to zaskakująco łatwo, gdyż... nikt nie wierzy, że cokolwiek może się udać. Często słychać drwiny: „Jaka białoruska Dolina Krzemowa!?". Kraj słynie z traktorów i techniki budowlanej, a nie z wysokich technologii.

Podobno w końcu Capkała usłyszał: „Zgoda, niech będzie taka zabawka, tym bardziej że środków budżetowych nie potrzebuje. Korzyści to nie przyniesie, ale szkody też nie". Sam Capkała po latach przyzna, że i on nie myślał, iż projekt może się udać w takiej skali.

Dekret numer 8

W 2005 r. Łukaszenka wydaje dekret nr 8 „O stworzeniu Parku Wysokich Technologii (PWT)". Przewiduje on, że podmioty prawne, które zostaną zarejestrowane jako rezydenci Parku, będą całkowicie zwolnione z podatku dochodowego i VAT, będą miały obniżone składki na fundusz emerytalny, a ich pracownicy zapłacą niższą stawkę podatkową (9 proc. zamiast 13 proc.). Ulgi mają obowiązywać do 2049 r. Obcokrajowcy, którzy przyjeżdżają na zaproszenie PWT, zostają zwolnieni z obowiązku wizowego na okres do 180 dni.

Warunki są bezprecedensowe na obszarze posowieckim, ale też władze niczym nie ryzykują: przyznają ulgi od produktów, które dopiero mają powstać. Jeśli się nie uda, to i tak budżet nie poniesie strat. Poza ramami prawnymi wkładem państwa jest budynek na przedmieściu Mińska (po remoncie siedziba PWT) i kredyt w wysokości 300 tys. dolarów.

Park ma przy tym charakter wirtualny: po rejestracji firma może działać w każdym miejscu na Białorusi, gdzie dostępny jest internet. Dyrektorem Parku zostaje Capkała, a jego rezydentem numer jeden jest EPAM Systems. Gdy PWT startuje, wartość eksportu białoruskiej produkcji IT wynosi jedynie 14 mln dolarów i dotyczy niemal wyłącznie oprogramowania dla sprzętu militarnego.

Jesteście moimi dziećmi

W kolejnych latach zaczyna się niebywale szybki rozwój sektora. Do Mińska napływają firmy z USA (te z białoruskimi korzeniami) i powstają miejscowe start-upy. Do najważniejszych rezydentów Parku należą Wargaming (jeden z większych producentów gier na świecie, autor słynnej gry World of Tanks), komunikator Viber, aplikacja Maps.me (uznawana za udaną konkurencję Google Maps) czy wspomniany EPAM, który w międzyczasie wchodzi na giełdę w Nowym Jorku – jako pierwsza (i na razie ostatnia) firma z korzeniami białoruskimi.

W 2014 r. w Parku Wysokich Technologii działa już 138 firm, a wartość ich produkcji sięga 650 mln dolarów. Władze zaczynają dostrzegać, że powstaje coś niezwykłego. W tym samym roku Łukaszenka podpisuje kolejny dekret, który rozszerza zakres działalności Parku m.in. o radionawigację, radiolokację, mikro-, opto- i nanoelektronikę, mechatronikę oraz przetwarzanie danych. Trzy lata później zaś, gdy PWT urasta do miliarda dolarów dochodu, zaczyna się budowa dronów, dochodzi do tego sztuczna inteligencja, kryptowaluty i technologia blockchain (zdecentralizowane bazy danych).

Pojawiają się też problemy. W 2016 r. Capkała oświadcza, że gdyby Steve Jobs (założyciel koncernu Apple) mieszkał na Białorusi, zostałby aresztowany za nielegalną przedsiębiorczość. To reakcja na działania Prokuratury Generalnej, wymierzone w niektórych przedsiębiorców z branży IT. W odpowiedzi naczelny prokurator stwierdza, że Jobs zajmował się tym, co w czasach sowieckich nazywano spekulacją. Cała sprawa dobrze pokazuje przepaść mentalną między prężnym sektorem a ludźmi reżimu.

A jednak wraz ze wzrostem przychodów tej gałęzi gospodarki rośnie jej znaczenie dla władz. W 2018 r. Łukaszenka odwiedza Park Wysokich Technologii i obiecuje informatykom „osobistą ochronę". Stwierdza też: „Popieram was i popierać będę. W gruncie rzeczy jesteście moimi dziećmi". W tym samym roku wartość produkcji Parku wzrasta do 1,5 mld dolarów.

63 tysiące informatyków

Rozwój wysokich technologii na Białorusi jest możliwy również dlatego, gdyż nauczanie matematyki i fizyki zawsze było tu na wysokim poziomie, w szkołach i na uczelniach technicznych. Zawód informatyka staje się jednym z najbardziej prestiżowych w kraju. Wpływ na to ma również poziom wynagrodzeń, który w PWT wynosi ok. 2,4 tys. dolarów miesięcznie. W porównaniu do średniej krajowej (o równowartości 400-500 dolarów) programiści stają się elitą finansową. Ich wpływ na wzrost zamożności Mińska jest nie do przecenienia. Dość powiedzieć, że ↦

Pracownicy sektora IT protestują przed Parkiem Wysokich Technologii po tym, jak służby przeprowadziły rewizję w siedzibie firmy PandaDoc. Mińsk, 2 września 2020 r.

NAVINY MEDIA

60 proc. przestrzeni biurowej w stolicy przypada na firmy informatyczne.

Jak wielki sukces odnosi Park, pokazuje kilka liczb. Obecnie działa tam 886 firm-rezydentów, które zatrudniają 63 tys. informatyków. W 2019 r. wypracowali oni dochód sięgający 2,2 mld dolarów. Ponad 90 proc. produkcji trafia na eksport, w tym 50 proc. do Unii Europejskiej i 43 proc. do USA. Sektor wysokich technologii generuje już niemal 6 proc. eksportu Białorusi, a jego produkcja rośnie o 20-25 proc. rocznie.

Na początku 2020 r. minister gospodarki oświadcza, że znaczenie ekonomiczne branży IT już zrównało się z rolnictwem, transportem i budownictwem. Udział wysokich technologii w PKB sięga 6,5 proc., a według prognoz rządowych w 2023 r. wzrośnie do 10 proc. PKB.

Dzięki wykształconym pracownikom, których pensje są przecież kilkukrotnie niższe niż w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej, Białoruś staje się atrakcyjnym miejscem dla zachodnich koncernów technologicznych. Coraz więcej z nich nie tylko zamawia tu usługi informatyczne, ale lokuje tutaj również swoje centra rozwojowe.

Charakterystyczne jest jednak to, że wszystkie najważniejsze firmy z PWT swoje główne siedziby mają na Zachodzie. Białoruskie warunki podatkowe są świetne, programiści profesjonalni, ale kraj, w którym nie ma niezależnego sądownictwa, nie daje gwarancji bezpieczeństwa biznesu. Sam EPAM, warty obecnie 18 mld dolarów, zatrudnia na Białorusi 11 tys. osób, co czyni go jednym z dziesięciu największych białoruskich pracodawców. Formalnie jest jednak podmiotem prawa amerykańskiego.

Inicjatorzy zmian

Gdy wybuchają protesty po sfałszowanych wyborach prezydenckich, szybko okazuje się, że pracownicy IT są ich ważnymi uczestnikami. Wśród pobitych i zatrzymanych w ciągu pierwszych dni jest wielu informatyków, w tym szefowie znanych spółek.

Pozostanie Łukaszenki przy władzy może być początkiem **zapaści „białoruskiej Doliny Krzemowej”.**

Ale właściwie niczego innego nie należało się spodziewać. Średni wiek pracowników białoruskiego sektora IT to 30 lat. To ludzie mobilni, niebojący się utraty pracy, gotowi do wyjazdu za granicę. Choć mieszkają głównie w Mińsku, to pracując wirtualnie przenoszą się do Unii i Stanów. Socjolodzy powiedzieliby, że są oni klasycznymi przedstawicielami rodzącej się klasy średniej, że reprezentują odmienny system wartości niż autorytarne władze. W efekcie to informatycy są ważnymi inicjatorami zmian społecznych i politycznych.

W odpowiedzi na pacyfikację protestów kilkuset pracowników Parku Wysokich Technologii, w tym kierownictwo wielu ważnych firm IT, wystosowuje list otwarty do władz. Wzywają w nim do zatrzymania przemocy, zwolnienia zatrzymanych i powtórzenia wyborów. Piszą również, że „start-upy nie powstają w atmosferze strachu i przemocy, ale wolności i otwartości”, oraz ostrzegają, że „w najbliższym czasie zacznie się masowy odpływ specjalistów za granicę. (...) Istnieje ryzyko, że w krótkim czasie przekreślone zostaną wszystkie osiągnięcia [w kraju] w sferze wysokich technologii”.

W kolejnych dniach, wraz ze wzrostem skali protestów, rośnie też zaangażowanie pracowników Parku po stronie opozycji. EPAM przeznacza specjalne fundusze na pomoc dla poszkodowanych demonstrantów i tworzy program umożliwiający przekwalifikowanie się tych pracowników innych branż, którzy tracą pracę z powodów politycznych. Wiceszef EPAM Maksim Bogrecow bierze bezterminowy urlop, aby dołączyć do Rady Koordynacyjnej opozycji. Mikita Mikado, założyciel i szef amerykańskiej PandaDoc (większość swoich pracowników firma zatrudnia na Białorusi), tworzy program wsparcia dla funkcjonariuszy milicji, którzy odejdą ze służby. Także w bezpośrednim otoczeniu Swiatłany Cichanouskiej w Wilnie jest kilku pracowników PWT. To tylko wybrane przykłady.

Być albo nie być sektora

Wsparcie sektora IT było widoczne jeszcze przed wyborami. Platformę Gołos, która miała prowadzić alternatywne liczenie głosów, stworzył Paweł Liber, szef Digital Strategy w EPAM. A pierwszy szef PWT Waleryj Capkała (sprawował tę funkcję do 2017 r.) był jednym z rywali Łukaszenki. Po tym, jak władze odmówiły rejestracji jego kandydatury, z obawy przed aresztowaniem musiał uciekać za granicę.

Bezprecedensowe, trwające ponad trzy dni wyłączenie internetu przez reżim pociągnęło za sobą straty finansowe PWT, szacowane na 50 mln dolarów dziennie. Co więcej, służby Łukaszenki przeszukały biura oddziałów Uber, Yandex i PandaDoc, które w reakcji postanowiły przenieść pracowników do innych krajów.

Według badań z końca sierpnia kilkanaście firm IT jest w trakcie przenoszenia całej działalności za granicę (w tym Viber), 59 firm przenosi się częściowo, a ponad 100 rozważa taką możliwość. Rządy Ukrainy i Litwy już zadeklarowały, że chętnie przyjmą białoruskie spółki technologiczne, które będą chciały wyemigrować. Arkadij Dobkin, nieformalny „patriarcha” białoruskiego sektora IT, wystosował list do swoich pracowników, pisząc o „bezprecedensowych wydarzeniach na Białorusi, gdzie EPAM się zaczął”. Dalsze decyzje uzależnił od rozwoju sytuacji.

Głos zabrał również Łukaszenka, grzmiąc: „Czego ci informatycy potrzebują? Powiedzcie, czego oni chcą? Stworzyłem dla nich raj. Ale nie, okazuje się, że czegoś im nie wystarcza!”.

Dwie opcje

Białoruski zryw wolnościowy może być punktem zwrotnym dla tutejszego sektora IT. Ewentualny koniec reżimu przyniósłby jeszcze większy impuls rozwojowy. Jak mówi Mikita Mikado: „Mamy wszelkie warunki do dalszego rozwoju. (...) Jeśli dojdzie do zmian, wiele osób, które wyjechały z powodów ekonomicznych lub politycznych, wróci na Białoruś”.

Ale jest też druga opcja. Pozostanie Łukaszenki przy władzy może być początkiem zapaści „białoruskiej Doliny Krzemowej”. Nie ma wątpliwości, że zwycięski reżim zechce przykręcić śrubę tym, którzy ośmielili się rzucić mu wyzwanie.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

WOJCIECH KONOŃCZUK
będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w czwartek 10 września o godz. 15.40
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

MIKHAIL KLIMENTYEV / TASS / FORUM

Przywódcy Rosji i Białorusi na opóźnionych z powodu epidemii wspólnych obchodach 75. rocznicy końca II wojny światowej. Choroszewo, Rosja, 30 czerwca 2020 r.

Nasz Łukaszenka w naszych objęciach

ANNA ŁABUSZEWSKA

Cena, którą Putin wyznaczy za swoje poparcie, będzie wysoka. Zapłaci ją Białoruś.

Dyktatorzy żyją w swoim świecie. Są przekonani, że bez nich państwo upadnie, że społeczeństwo ich kocha i nawet jeśli tłumy na ulicach domagają się ich odejścia, nie wierzą, że lud naprawdę chce się ich pozbyć. Nazywają protestujących warchołami, wysyłają przeciw nim uzbrojonych ludzi. I szukają wsparcia u silniejszych przyjaciół.

Alaksandr Łukaszenka brawurowo sfałszował wybory: narysował sobie wynik 80 proc. To poruszyło Białorusinów: od 9 sierpnia protestują, żądając odejścia uzurpatora. Ten próbuje utrzymać władzę, a na całym świecie jest chyba tylko jeden człowiek, który go rozumie. To Władimir Putin. Ale jeśli Łukaszenka sądzi, że przyjdzie mu on w sukurs z sympatii, to się myli. Putin ma własne cele i tylko te zamierza zrealizować. Jeśli trzeba będzie poświęcić wąsatą głowę Łukaszenki, to cóż, poświęci. Na razie postanowił go bronić. I przekuć strach dyktatora w konkretne zyski polityczne i gospodarcze.

KREML DŁUGO ZWLEKAŁ z ogłoszeniem strategii wobec tego, co dzieje się na Białorusi. Z jednoznacznym poparciem dla Łukaszenki wystąpił na dobrą sprawę dopiero trzy tygodnie po wyborach – wcześniej były tylko gratulacje i wyczekiwanie, jak rozwinie się sytuacja. Widocznie uznano, że szala przechyla się na stronę Łukaszenki i warto go poprzeć. W wywiadzie telewizyjnym Putin nieoczekiwanie oświadczył, że jeśli protesty się zradykalizują, dojdzie do napaści na instytucje państwowe lub zewnętrznego zagrożenia Białorusi, to Moskwa przychyli się do prośby Łukaszenki i przyśle oddziały interwencyjne.

Wcześniej „Karaluch", jak protestujący pogardliwie nazywają Łukaszenkę, w poufnej rozmowie telefonicznej miał prosić Rosję o obronę jego władzy. I oto rosyjski kontyngent o nieokreślonej proweniencji – czy miałyby to być wojska wewnętrzne MSW, OMON, czy Rosgwardia – już się formuje i w każdej chwili może być wysłany do bratniej cząstki Państwa Związkowego w celu obrony „prawowitego" prezydenta, który „wygrał" wybory. Interwencja nie byłaby, według Putina, ingerencją w wewnętrzne sprawy Białorusi, lecz działaniem w ramach wspólnego państwa. Żadnych pośredników nie trzeba, wszystko zostaje w rodzinie.

ODDZIAŁY ROSYJSKICH SPECJALISTÓW od frontu informacyjnego już wylądowały w Mińsku: przybyli, by fachowo pokierować „radiokomitetem". Szeregi białoruskich dziennikarzy telewizyjnych zaczęły bowiem pękać – wielu odeszło, protestując przeciw kłamliwej polityce informacyjnej. Teraz białoruska telewizja nadaje w duchu stanu wojennego: widzowie mogą się dowiedzieć, że protesty wygasają, a Zachód – z cyniczną Litwą i czyhającą na swe Kresy Polską na czele – wciąż knuje, ale nic im się nie uda, scenariusz kolorowej rewolucji nie przejdzie, poza nielicznymi wyjątkami wszyscy wielbią Łukaszenkę, który jak ojciec troszczy się o każdy kłos i każdy traktor. I jest gotów wysłuchać strony przeciwnej, ale tylko w sposób cywilizowany, bo samozwańców z Rady Koordynacyjnej opozycji nie uznaje.

Rozważany jest wariant wyjścia z kryzysu poprzez referendum w sprawie zmian w konstytucji, a potem ewentualne nowe wybory. Ale stery rządów mają pozostać w rękach Łukaszenki. Tu Kreml innych wariantów nie rozpatruje.

JAKĄ CENĘ WYZNACZY Putin za swoje poparcie? O tym będzie można sądzić po owocach zapowiadanej „w najbliższych tygodniach" wizyty Łukaszenki w Moskwie. Na Kremlu zapewne trwa teraz wytężona praca nad treścią dokumentów, które zostaną mu podsunięte do podpisania. Od początku września odbywają się bezprecedensowo intensywne konsultacje ministrów obrony, spraw zagranicznych, gospodarki i premierów obu państw. Zapewne negocjowany jest zakres ustępstw na rzecz Rosji: można przypuszczać, że część białoruskich przedsiębiorstw przejdzie w ręce rosyjskich oligarchów, którzy od dawna ostrzą sobie na nie zęby. Być może w grze jest „zacieśnienie współpracy wojskowej", czyli nowe bazy rosyjskie na Białorusi.

Cena za utrzymanie Łukaszenki na urzędzie będzie słona jak łzy bezsilności. ©

O sytuacji w Rosji i na Białorusi oraz o otruciu Aleksieja Nawalnego autorka pisze też na blogu: **labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl**

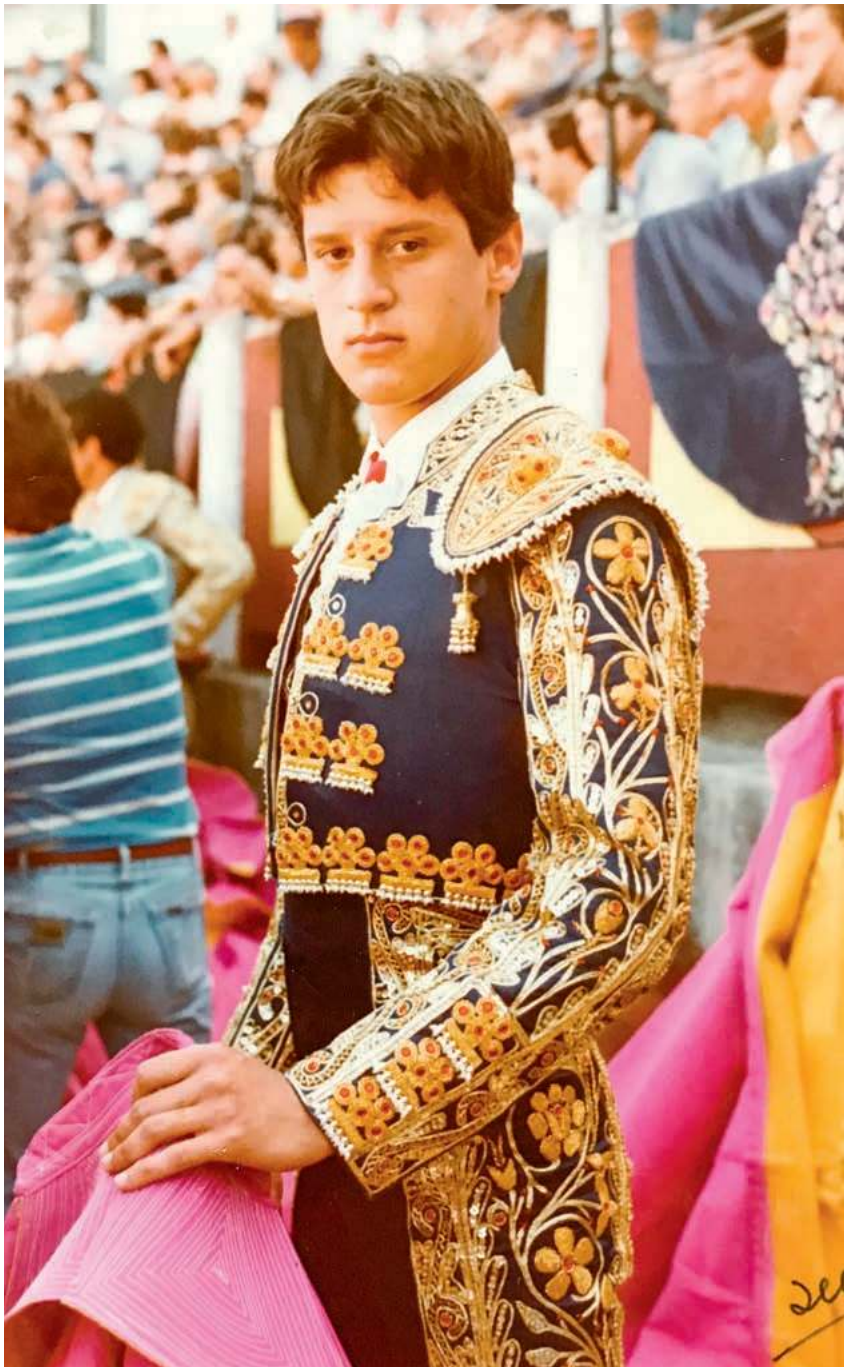

ARCHIWUM PRYWATNE

Álvaro Múnera jako młody torero, sierpień 1984 r.

Ostatnia walka Álvara

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Jej krytycy wierzą, że to ostatnie lata corridy: że zabijanie byka na arenie, choć uznane za dziedzictwo kulturowe Hiszpanii, nie przetrwa, a epidemia przyspieszy koniec. Jednym z tych krytyków jest dawny matador.

O byku najpierw powiedział mamie. Razem podjęli decyzję, że nic się nie stanie, jeśli z nagłaśnianiem sprawy poczekają kilka miesięcy. Dokładnie po pół roku przekazali wieść głowie rodziny. Aby lepiej wyobrazić sobie, jak zareagował na nią ojciec-architekt, trzeba wiedzieć jedno: w domu Álvara nie rozmawiało się o polityce czy sporcie – jedynym obowiązującym tematem była tu corrida.

Chłopiec zrelacjonował ojcu wszystko. Opowiedział o szkolnej wycieczce do Meksyku oraz o cielaku, który należał do właściciela restauracji, w której się zatrzymali. O tym, że w sumie przypadkiem znalazł się pośrodku placu. Wyznał ojcu, jak naturalnie i łatwo przyszło mu prowadzenie byka to w jedną, to w drugą stronę. I pod jakim wrażeniem byli koledzy, którzy w drodze powrotnej szeptali: „Dlaczego nie spróbujesz?”.

No właśnie, myślał wtedy Álvaro, dlaczego nie?

To ojciec pierwszy marzył o walce z bykami, kiedyś. Teraz był gotów, jak to bywa z rodzicami, aby swoje niespełnione ambicje przelać na syna.

„Zostanę torero” – podjął decyzję 12-letni Kolumbijczyk, Álvaro Múnera. Nie spodziewał się, że już kilka lat później będzie walczył z bykami na najsłynniejszych arenach Hiszpanii. Nie wiedział też, jak bardzo przyjdzie mu tego żałować.

Chłopiec z walizką

Gdy rogi są już bardzo blisko ramienia, w ostatniej chwili robi unik. Za płynnym ruchem ręki podąża mała muleta – czerwona tkanina, lekko powiewająca na wietrze. Rogi mijają go o kilka centymetrów.

Chłopiec nie boi się, bo naprzeciw siebie nie ma jeszcze byka, lecz niewielki ćwiczebny wózek, prowadzony przez pomocnego kolegę. Walczący z wózkiem chłopiec ma dziesięć, może jedenaście lat, ale jest poważny, jego ruchy eleganckie. Przyszli toreros szybko dojrzewają.

Kiedyś nazywano ich maletillas – od walizeczek, do których pakują czerwoną tkaninę i kilka najpotrzebniejszych rzeczy na cały dzień ćwiczeń. Taki tytuł nosi też dokument Victorii Clay Mendozy z 2003 r., w którym reżyserka, zainspirowana historią swego ojca, który zapragnął zostać torero w wieku 38 lat, szuka odpowiedzi na pytanie: skąd potrzeba zabijania byków? Gdy dociera do Hiszpanii, jeden z chłopców mówi jej: „To coś, co no-

szę w sobie od zawsze. Byłem tak mały, że nie pamiętam nawet tego pierwszego momentu".

Ktoś ćwiczył z ręcznikiem kuchennym zamiast mulety już jako czterolatek. Ktoś inny składał i rozkładał zestaw Lego Bullring. Wszyscy wpatrywali się zahipnotyzowani w telewizyjne transmisje walk. Marzyli o byku, arenie i kurzu wpadającym do oczu.

„Najpierw skupiasz się na sławie, ale później widzisz, że to dużo trudniejsze. Ale tak, chciałem być kimś" – odpowiadał 14-letni Ivan na pytanie, dlaczego zdecydował się zostać torero.

Podobne wspomnienia miał Espartaco, w latach 80. XX w. gwiazda hiszpańskich aren, a teraz apoderado, sponsor młodych talentów. Gdy jako dziecko wracał autobusem po obejrzanej corridzie, jeszcze długo słyszał muzykę z placu i wyobrażał sobie, że to on walczy przed krzyczącym tłumem. Zawsze miał nadzieję, że zdąży zabić byka, zanim autobus dojedzie pod dom.

I najważniejsze: dostać owacje, najlepiej na stojąco.

Álvaro się wymyka

W szkole drzwi są zwykle otwarte, więc Álvaro wymyka się na każdej przerwie. Arena jest blisko, zdąży obejrzeć trenujących zawodowców i wrócić na czas na lekcje.

Pilnie obserwuje każdy ich ruch, żeby później móc go dokładnie powtórzyć. Uczy się szybko – na tyle, że jego kariera już kilka lat później pozwala mu na podróż do Hiszpanii.

Można się tylko domyślać, jak dumny jest ojciec.

Gdy kończy 18 lat, jego życie nabiera tempa. W tym życiu Álvaro lubi podróże, popularność i duże pieniądze. I to uczucie, kiedy staje przed bykiem i czuje rosnącą adrenalinę.

Matador

Gdy maletillas dorosną, część z nich stanie się w końcu prawdziwymi matadores. Jak Francisco Romero, od którego w pewnym sensie wszystko się zaczęło.

Wzmianki o walkach z bykami sięgają neolitu, były częścią celtyckich rytuałów; mówi się o nich także w kontekście rzymskich cyrków. Symbolikę współczesnej corridy łączy się też z hiszpańskim folklorem, np. z *toro nupcial*: zwyczajem, według którego przed ślubem pan młody miał walczyć z bykiem pod oknem wybranki, używając do tego udekorowanych przez nią wcześniej włóczni i kawałka materiału. Bo byk to symbol płodności, a tej w związku nigdy za wiele.

ARCHIWUM PRYWATNE

Prowadzenie byka przychodziło mu naturalnie i łatwo: Múnera na arenie.

Szczególna rola Francisca Romero i innych toreros z początku XVIII w. polegała jednak na tym, że niebezpieczną zabawę z bykiem, która w różnych formach istniała w Hiszpanii już wcześniej, zamienili w lukratywny zawód. Moment był nieprzypadkowy: w 1704 r. król Filip V zakazał corridy i arystokraci – bo to oni dotąd konno walczyli z bykiem – musieli zrezygnować ze swego hobby. Nie wycofali się jednak ci, którzy do tej pory w walce jedynie pomagali jeźdźcowi: chłopi, nienależący do elity i konfrontujący się z bykiem na ziemi, a nie z bezpiecznej wysokości końskiego grzbietu. Romero był jednym z pierwszych współczesnych pieszych toreros, który używał mulety, a zabijaniem byków zarabiał na życie.

Później przyszli kolejni.

Kiedy pytam Monicę, 20-letnią studentkę i miłośniczkę corridy, o najważniejszego dla niej torero, trochę się oburza: – Prawdziwy wielbiciel nie potrafi odpowiedzieć na takie pytanie, bo do głowy od razu przychodzi zbyt wiele nazwisk.

Gdyby jednak spróbować, wielu pewnie wymieniłoby legendarnego Juana Belmonte, który jako pierwszy pozwalał bykowi zbliżyć się na odległość kilku centymetrów. Inni przywołaliby jego przyjaciela i rywala, sławnego El Gallo. Zajmował się on też promowaniem corridy jako rozrywki masowej i niedrogiej. Ktoś wspomniałby pewnie Manolete, jednego z powojennych gwiazdorów. W kilka lat zarobił 4 mln dolarów i był tak cenny dla okołocorridowego biznesu, że jego bykom specjalnie tępiono rogi (ostatecznie zginął na arenie).

Matadorzy, pogromcy byków. Podobno jedyni artyści, którzy dla dokończenia swojego dzieła ryzykują życiem. Bohaterowie lokalnych społeczności, przy wyjątkowym talencie mogli wznieść się do prawdziwej sławy i dużych pieniędzy.

„Torero to znacznie więcej niż dostarczanie rozrywki ludziom, to styl życia, powołanie" – mówił dwa lata temu w hiszpańskim talk-show torero El Juli. Jego popularność można mierzyć liczbą obserwujących na Instagramie: jest ich prawie 150 tys. To jednak nic w porównaniu ze złotą erą corridy. Niektóre starsze gwiazdy widzą to jak na dłoni: kto 20 lat temu gwizdałby na ryzykującego życiem matadora? Kto występowałby przed niemal pustymi trybunami?

El Juli łapie się na tym, że do telewizji coraz częściej zapraszają go po to, żeby swojego zawodu bronił przed miażdżącą krytyką. Zwykle mówi wtedy to samo, co 20-letnia Monica: „Oni tego po prostu nie rozumieją".

Álvaro nie widzi znaków

Arena, na której ma odbyć się walka, nosi jego imię. Dziwny zbieg okoliczności. Do tego losowanie jest jakieś pechowe: ↦

dostaje nie tego byka, który był mu początkowo przypisany. Tego dnia wszystko jest symboliczne, ale Álvaro zauważy to dużo później.

O samym wypadku nie chce mówić zbyt wiele. Oficjalnie wiemy tyle: jest rok 1984, gdy byk o imieniu Terciopelo wbija rogi w Álvara Múnerę i sprawia, że torero umiera.

Po to, aby kilka miesięcy później narodzić się na nowo.

Byk

Torero do walki przygotowuje się w samotności. Zakłada kostium, zerka na szpadę. Zdarzają się tacy, którzy aż do wyjścia na arenę leżą w łóżku i trzęsą się z nerwów. Na kilka godzin przed walką nie muszą udowadniać publice, że pojedynek nie wzbudza w nich strachu.

Już na placu matador zaczyna obserwować swojego byka. Musi wiedzieć, jak się porusza, jaki ma charakter. Wielu toreros twierdzi, że w zwierzęciu nie widzi wtedy wroga, lecz przyjaciela. W końcu wyruszają wspólnie w niezwykłą podróż. Byk jest dla spektaklu równie ważny, jeśli nie ważniejszy od człowieka. „Jest jak lustro, w którym możemy się przejrzeć – mówi magazynowi „Hoy" María Teresa Cobaleda, filozofka i posłanka konserwatywnej Partii Ludowej. – To zwierzę, które reprezentuje wieś, to, co naturalne, pierwotne, i przybywa do miasta, gdzie zagubiliśmy to wszystko w sztucznej cywilizacji. Żyjemy nie tylko w kryzysie ekonomicznym, ale i w kryzysie wartości".

Sama walka – według wielbicieli corridy, w tym peruwiańskiego pisarza Mario Vargasa Llosy – leży w naturze *toro bravo*. Ta rasa do tego została przecież stworzona. Jej cechy są na bieżąco analizowane przez hodowców, na arenę trafiają najlepsze okazy: odważne, ale dające się poprowadzić matadorowi.

– Nie bez powodu byk nie ucieka, ale konfrontuje się z kolejnymi przeciwnościami. On chce walczyć! – tłumaczy mi Monica.

W 2007 r. opublikowane zostają wyniki badań, z których wynika: hormony wydzielane przez byka sprawiają, że w trakcie corridy nie czuje bólu. Publikację zauważa weterynarz José Enrique Zaldívar Laguía. Wkrótce zakłada organizację AVATMA, walczącą o zdelegalizowanie corridy. – To zawsze był kontrowersyjny temat, szczególnie w naszej profesji – przyznaje dziś w rozmowie. – Ale te wyniki wydały mi się na tyle podejrzane, że zacząłem własne dochodzenie. Odkryłem, że nie mają żadnych podstaw naukowych.

Álvaro nie wie, co by było, gdyby nie wypadek.
Może zareagowałby w końcu na znaki, takie jak dzień, gdy na arenie zginął jego przyjaciel? A może w ogóle by się nie zmienił?

Bo jak wygląda corrida z perspektywy byka? Początkowo to głównie samotność.

Laguía: – Na kilka miesięcy przed spektaklem zostaje odseparowany od stada. Tuczy się go, żeby dobił do ok. 500 kilogramów, wagi idealnej do walki. Kilka dni przed nią zostaje przewieziony na arenę, zwykle w warunkach niespełniających norm. To zwierzę stadne, taka sytuacja je stresuje. W trasie może stracić nawet 30 kilogramów.

Kilka godzin przed corridą byk trafia do małego ciemnego pomieszczenia. W teorii ma go to uspokoić. W praktyce staje się coraz bardziej nerwowy. Przed wyjściem na plac w szyję wbity ma już 9-centymetrowy harpun.

– Już jest *calentito*, bardzo zdenerwowany – tłumaczy mi Laguía. – I wtedy wybiega na plac wypełniony tłumem hałaśliwych ludzi.

Corrida składa się z trzech części. W pierwszym akcie jeździec, picador, wbija w kark byka lancę. Ostrzem rozszarpuje mu mięśnie i nerwy, powodując krwotok. Później banderilleros w to samo miejsce wtykają krótkie kolorowe włócznie. Wszystko po to, żeby byk opuścił głowę, co nie tylko ma ułatwić manewrowanie nim, ale wpływa też na walory artystyczne ostatniego aktu.

Laguía: – Wystarczy sobie wyobrazić, że mamy bolesną otwartą ranę, a ktoś właśnie wbija w nią kolejne ostrze.

Wtedy matador wychodzi na arenę i zaczyna muletą „oszukiwać" byka, pokazując jednocześnie swoją technikę i indywidualny styl. Obydwoje, człowiek i zwierzę, są oceniani, ale ich błędy mają dla nich nieproporcjonalne konsekwencje. Bykowi może zostać darowane życie tylko wtedy, jeśli zostanie uznany za wyjątkowo walecznego. Najczęściej jednak w ruch idzie szpada, a matador za dobrze wykonane zadanie może zostać nagrodzony jednym lub dwoma byczymi uszami.

Czasem nawet w tym momencie byk jeszcze oddycha.

– Mówią, że byk chce walczyć, bo przecież w trakcie corridy nie ucieka? – śmieje się José. – Niech spróbują otworzyć bramę areny.

Álvaro nie jest bohaterem

Rehabilitacja w Stanach Zjednoczonych trwa kilka lat. Álvaro zawiera kilka przyjaźni, które kończą się jednak nagle i niespodziewanie.

Nauczycielka angielskiego przestaje się do niego odzywać, bo ktoś wytłumaczył jej, jak to się stało, że Álvaro jeździ na wózku. Wcześniej był jej ulubionym uczniem.

„Cieszę się, że nigdy już z tego wózka nie wstaniesz" – mówi mu w oczy babcia koleżanki.

Álvaro po raz pierwszy jest w kraju, gdzie nie uważa się go za bohatera. Do tego ma wyjątkowo dużo czasu na rozmyślania.

Gdy wraca ze Stanów, zaskoczonej rodzinie oznajmia, że będzie teraz odpracowywał za całe zło, które wyrządził.

Publika

Corrida to święto egalitaryzmu, jest dla wszystkich. Tych niewykształconych i tych po szkołach. Dla miłośników i osób przypadkowych. Dla biednych i bogatych (choć ci pierwsi być może będą musieli się zadowolić miejscami w pełnym słońcu). Łączy ich wspólne przeżywanie bogatej w tradycję ceremonii i każde wykrzyczane w kierunku walczących: „Olé!".

Jak to więc możliwe, pytają fani corridy, że choć na trybunach akceptujemy każdego, to w Hiszpanii coraz częściej nie toleruje się nas, miłośników tego, co prawdziwie hiszpańskie? Miłośników *fiesta nacional*?

Walki z bykiem krytykuje się nie od dziś. Oglądać jej nie chciała już XV-wieczna królowa Izabela Kastylijska, a za jej zdelegalizowaniem opowiadali się na przestrzeni wieków politycy i artyści. Według niektórych miała świadczyć o kulturowym zacofaniu, o niezrozumiałym zamiłowaniu Hiszpanów do przemocy.

ARCHIWUM PRYWATNE

„Widziałem to wszystko z bliska" – mówi dziś Álvaro. Na zdjęciu w listopadzie 2019 r.

Jednak corrida nadal trwa, a kolejni toreros robią kariery. Od 2013 r. jest też oficjalnie uznawana za niematerialne dziedzictwo kulturowe Hiszpanii.

Dlatego gdy w czerwcu tego roku toreros i przedstawiciele innych zawodów związanych z walkami byków uznają, że ministerstwo kultury ich ignoruje, wychodzą na ulice. Protestujący podkreślają, że kryzys epidemiczny to dla corridy katastrofa: stan wyjątkowy i ograniczenia pokryły się z sezonem spektakli, który zaczyna się w marcu i kończy w październiku. Na czele kilkutysięcznych demonstracji idą gwiazdy, sławni toreros, jak Cayetano Rivera, który twierdzi, że brak wsparcia dla branży ma przyczyny ideologiczne.

W lipcu występują przeciw Yolandzie Díaz: protestują, że kierowane przez nią ministerstwo pracy pomija ich w pakietach pomocowych skierowanych do artystów. „Też jesteśmy kulturą!" – skandują, żądając dymisji Díaz.

W telewizji toreros i hodowcy konfrontują się z obrońcami praw zwierząt, po raz kolejny dyskutując o zasadności tradycji. W ruch idą przećwiczone argumenty. Oni chwalą się swoimi zyskami, które mają napędzać hiszpańską gospodarkę. Prozwierzęca partia PACMA przekonuje, że corrida jest sztucznie podtrzymywana przy życiu dzięki subwencjom przyznawanym przez lokalne władze.

Prędzej czy później dyskusja dociera do punktu najbardziej spornego: powolnej śmierci byka, na placu, przy wiwatującej publice.

– Chciałabym, żeby ci, którzy krytykują, zainteresowali się życiem takiego byka – Monicę męczy już sprowadzanie jej pasji do przemocy. – To cztery lata spędzone na ogromnych pastwiskach, w kompletnej swobodzie, zestawione z kilkunastoma minutami walki i godną bohaterską śmiercią. Tego nie można powiedzieć o jakimkolwiek zwierzęciu hodowlanym.

Wielu Hiszpanów to jednak nie przekonuje, nie usprawiedliwia publicznych tortur.

Nigdy wcześniej w historii stosunek miłośników do reszty (a więc również do tych, którym corrida jest najzwyczajniej w świecie obojętna) nie prezentował się tak jak teraz. Według danych rządowych z 2019 r. w takich imprezach uczestniczy tylko 8 proc. społeczeństwa.

Kilka lat temu obrońcy zwierząt odnoszą widowiskowy sukces, choć na skalę lokalną: corrida zostaje całkowicie zdelegalizowana w Katalonii.

Jednak dla tych, którzy chodzą oglądać walczące byki, corrida to często więcej niż spektakl. „Nauka radzenia sobie ze strachem", „metafora ludzkiego życia", „najbardziej rzeczywista ze wszystkich dziedzin sztuki, bo tak realnie bliska śmierci" – tak mówią o corridzie w spocie promującym Fundację Toro de Lidia związani z nią profesjonaliści. „Czy boimy się krwi i śmierci? Tak" – przyznają. „To normalne, ludzkie i pod względem intelektualnym uzasadnione. Czy powinniśmy je przez to odrzucać? Nie!". Spektakl ma nas oswoić z własną śmiertelnością. Zwierzę, jak i jego śmierć, są dla corridy kluczowe.

Álvaro nie wie, co by było

Gdy Álvaro wraca do Kolumbii, ma już jasno wyznaczony cel. W lokalnym parlamencie zaczyna działać na rzecz zwierząt. Do walki angażuje się cała jego rodzina, wcześniej zgodnie zafascynowana corridą.

W ciągu kolejnych 30 lat Álvaro odnosi sukces: jego rodzinne Medellín staje się jednym z najbardziej przyjaznych zwierzętom miast w Kolumbii. Ale zyskuje też wielu wrogów. Głównie wśród starych przyjaciół z lat, gdy wychodził na arenę.

– Oni nie mogą mi powiedzieć, że nie wiem, o czym mówię. Byłem częścią tego świata i doskonale go rozumiem, widziałem to wszystko z bliska – mówi mi dzisiaj Álvaro.

Zarówno on, jak i weterynarz José rozumieją jednak pasję i zaangażowanie prawdziwych fanów corridy.

– Sam byłem kiedyś miłośnikiem wyścigów konnych, zanim zrozumiałem, ile za tym kryje się okrucieństwa. Wiem, co czują fani, gdy po widowiskowej walce mówią mi, że „teraz mogą już umrzeć" – przyznaje José. – To, co mnie dziwi, to fakt, że wielu z nich rozumie cierpienie byka, zgadzają się w tym ze mną. Ale chęć przeżycia tego jeszcze raz jest dla nich silniejsza.

José i Álvaro są przekonani, że to ostatnie lata corridy. Zmienia się społeczna wrażliwość. Młodych ludzi takich jak Monica jest zbyt mało, aby tradycja przetrwała kolejne pokolenia. Mają nadzieję, że kryzys epidemiczny przyspieszy ten proces.

Álvaro nie wie, co by było, gdyby nie doszło do wypadku. Ma nadzieję, że zareagowałby w końcu na inne znaki. Jak spektakle, po których trząsł się i wymiotował z żalu. Jak dzień, w którym jego najlepszy przyjaciel zginął na arenie.

– A może w ogóle bym się nie zmienił? – zastanawia się. – I dziś, sfrustrowany, broniłbym czegoś, co w dzisiejszych czasach jest już nie do obronienia.

© PAULINA MAŚLONA

Do Thu Trang urodziła się w Wietnamie, a gdy miała pięć lat, jej rodzina osiadła na stałe w Czechach. Praga, lipiec 2020 r.

Bananowe dzieci

TEKST I ZDJĘCIA
ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI

Mówią lepiej po czesku niż po wietnamsku. Nie chcą iść śladem rodziców, którzy żyli tylko pracą. Kolejne pokolenie wietnamskich imigrantów w Czechach szuka własnej tożsamości.

Na zewnątrz żółta, wewnątrz biała. Na papierze czystej krwi Wietnamka, *made in Czechoslovakia*. Poczęta w Litvínovie, urodzona w Hanoi" – tak Duong Nguyen Jirásková opisuje siebie w książce „Bananowe dzieci. Wietnamka w czeskiej dżungli".

Jirásková od zawsze stoi na kulturowym rozdrożu. Pierwsze osiem lat życia spędziła w Wietnamie, później musiała odnaleźć się w Czechach. „Moi rodzice wracali do kraju, w którym zaczęła się ich historia miłosna. Ja do świata, którego w ogóle nie rozumiałam" – wspomina w wywiadzie dla portalu Novinky.cz. Z tętniącej życiem wietnamskiej stolicy, gdzie dorastała w otoczeniu dużej rodziny, znalazła się w trzytysięcznym miasteczku na wschód od Pragi. Była zima.

Jej ojciec pierwszy raz przyjechał do Czechosłowacji w połowie lat 80. XX w. Był tłumaczem dla rodaków pracujących w fabrykach. W czasach komunistycznych ruch cudzoziemców do krajów bloku wschodniego był ograniczony i starannie kontrolowany. Wyjechać do Europy, choćby środkowej, mogli głównie zasłużeni i uprzywilejowani Wietnamczycy; wolno im tu było przebywać najwyżej siedem lat. Ojciec Jiráskovej był weteranem wojny wietnamskiej, załapał się.

Po zarobek

W tym okresie w Czechach mieszkało już 28 tys. Wietnamczyków. Jeszcze w 1956 r. komunistyczne rządy Wietnamu Północnego i Czechosłowacji zawarły porozumienie w sprawie podnoszenia kwalifikacji wietnamskich pracowników. W latach 70. ruszył też program pomocy bloku wschodniego w powojennej odbudowie Wietnamu: w jego ramach do Czechosłowacji przybywali robotnicy, stażyści i studenci. Było to korzystne dla obu stron: tutejsza gospodarka potrzebowała taniej siły roboczej, a Wietnam pieniędzy wysyłanych przez gastarbeiterów.

Gdy w 1990 r. umowa wygasła, rodzina Jiráskovej wróciła do Wietnamu. Ale wielu innych postanowiło zostać. Ograniczenia dotyczące ich pobytu przestały obowiązywać, więc wietnamskie rodziny mogły osiedlać się w Czechach na stałe. Do kraju przybywali też Wietnamczycy, którzy przed 1989 r. mieszkali w NRD, Słowacji, Węgrzech, Polsce i Związku Sowieckim. Z fabryk przenieśli się na tržnice: targowiska, gdzie sprzedawali odzież importowaną z Chin i Azji Południowo-Wschodniej (często podrabianych marek).

Na takim bazarze przy granicy czesko-niemieckiej sporą część dzieciństwa spędziła Do Thu Trang. Jej rodzice handlowali papierosami, alkoholem i słodyczami. Podobnie jak Jirásková urodziła się w Wietnamie. Skąd związek z Czechami? W latach 80. jej ojciec studiował prawo na uniwersytecie w Brnie. W 1994 r., gdy Trang

miała pięć lat, wrócił do Czech, już z rodziną. Zamiast kancelarii prawnej otworzył stragan. Dla Trang było to logiczne.

– Większość Wietnamczyków przyjechała tu w celach zarobkowych, musieli utrzymać rodzinę – wspomina dziś.

Obecnie w Czechach mieszka na stałe ok. 60 tys. Wietnamczyków – to trzecia co do wielkości mniejszość narodowa, po Ukraińcach i Słowakach.

Czeskie babički

Trang słabo mówi po wietnamsku. – Rodzice byli wiecznie zajęci pracą, miałam ograniczoną styczność z językiem, więc nie opanowałam go dobrze. Wychowała mnie przyszywana czeska *babička* (babcia). W tym okresie Wietnamczycy zabiegali, aby ich dziećmi zajmowały się czeskie rodziny, ułatwiało to integrację.

„Według nieoficjalnych danych co drugie wietnamskie dziecko miało czeską nianię – pisała Andrea Procházková w dzienniku „Hospodářske noviny" w 2012 r. – Zamiast sajgonek te dzieci wolą knedle i sos koperkowy".

Růžena Kopáčková z praskiej dzielnicy Žižkov nigdy nie planowała kariery opiekunki wietnamskich dzieci. Często robiła zakupy w pobliskiej *večerce* – wietnamskim sklepie spożywczym, otwartym do późna. Pewnego dnia wróciła do domu z siedmiotygodniowymi bliźniakami. „Ich matka pracowała w sklepie od rana do wieczora i nie miała czasu zajmować się dziewczynkami" – opowiadała Procházkovej.

Pierwsi studenci wietnamskiego pochodzenia na praskiej Akademii Sztuk Pięknych – Minh Thang Pham i Vu Duc Minh – też więcej czasu spędzili z czeską nianią niż z rodzicami. Tego ostatniego przemianowano nawet dla wygody na Michala.

Trang sama wymyśliła swoje *alter ego*: Lenkę. „Czeskie imię ułatwiało komunikację. Prościej się je wymawia i zapamiętuje – wyjaśniała w 2016 r. tygodnikowi „Respekt". – Myślę, że przedstawiałam się jako Lenka, bo nie chciałam się wyróżniać. Już inaczej wyglądałam".

Swoje pierwsze teksty w sieci Trang podpisywała jako Trangoslava DoThuová. Później przewijała się czesko-wietnamska wersja Trangová. W wieku 21 lat blogerka wróciła do wietnamskiego imienia. „Wiązało się to z wkraczaniem w dorosłość – mówiła „Respektowi". – Dopiero na studiach pogodziłam się ze swoim pochodzeniem i samą sobą. Wtedy moja integracja z czeskim społeczeństwem zaczęła się poniekąd od nowa".

– Teraz przy nawiązywaniu znajomości mówię po prostu, że jestem *holka z vesnice* (dziewczyna ze wsi). To najlepszy sposób na przełamanie lodów. Ludzie sobie wtedy uświadamiają, że mamy więcej wspólnego, niż początkowo myśleli – mówi mi dzisiaj.

Przeciwko hierarchii

23-letni Pham jeszcze odkrywa swoją tożsamość. Dopiero od czterech lat sam decyduje o tym, co robi, z kim się zadaje i co nosi. Wcześniej robił to za niego ojciec. – W wietnamskiej kulturze hierarchia jest bardzo silna. Rodzice to autorytet, któremu się nie przeciwstawiasz. Starszych się po prostu słucha. Tak też robiłem. Ze strachu – wspomina.

Do czasu. W wieku 19 lat Pham pierwszy raz przeciwstawił się woli ojca: pojechał do Wietnamu z dwójką czeskich przyjaciół. – Mój ojciec nie chciał słyszeć o tym wyjeździe. Mówił: „To niebezpieczne! Musisz wykupić wycieczkę w biurze podróży. Jak ty sobie poradzisz! Porwą cię i sprzedadzą do Chin!" – Pham wybucha śmiechem na wspomnienie niekończących się sporów z ojcem.

W Wietnamie był wcześniej cztery razy. – Ostatni raz, gdy miałem 17 lat – wspomina. – To był początek przełomu. Tradycja zaczęła do mnie przemawiać. Czułem dumę, gdy patrzyłem na imponującą architekturę i przyrodę. To stąd pochodzę, myślałem. Tak rodziła się we mnie świadomość.

Minh Thang Pham przygotowuje zupę pho dla bezdomnych.

W wieku 20 lat Pham zaczął głębiej zastanawiać się nad korzeniami: – Zadajesz sobie pytania: gdzie przynależę, gdzie mój dom? Często rozmawiam o tym z innymi Wietnamczykami drugiego i trzeciego pokolenia. Oni mnie rozumieją.

W przeciwieństwie do pokolenia rodziców i do Wietnamczyków urodzonych w Czechach. Zwłaszcza ci ostatni nie są w stanie pojąć, co czują osoby, które wychowały się w dwóch światach – tak uważa część bananowych dzieci.

Choć młodzi Wietnamczycy chórem prezentują się światu zewnętrznemu jako „banany", to mają różne podejście do wietnamskiej tożsamości. Socjolingwista Jiři Homoláč i filozof Tamaha Sherman wyodrębnili trzy grupy wśród młodych Wietnamczyków: bananowe dzieci, nieskażonych i młodsze pokolenie bananowych dzieci. Doszli do tego wniosku po przeanalizowaniu tekstów napisanych po czesku przez drugą i trzecią generację Wietnamczyków w latach 2008-17.

Zauważyli, że „»bananowe dzieci« podkreślają hybrydowy charakter swojej tożsamości, tj. konieczność posługiwania się dwoma językami i postępowania zgodnie z normami obu kultur w życiu codziennym. »Nieskażeni« – urodzeni w Czechach – deklarują, że mimo znajomości języka czeskiego i czeskich norm społecznych w duchu pozostają Wietnamczykami. A »młodsze pokolenie bananowych dzieci« uznaje hybrydowy charakter swojej tożsamości jako coś oczywistego".

Językowa izolacja

Pham cały czas zastanawia się, jak połączyć ze sobą – i w sobie – dwa przeciwległe światy: Wietnam, gdzie się urodził, i Czechy, gdzie się wychował.

Pomaga mu w tym sztuka. Motyw poszukiwania swojego miejsca w świecie stał się stałym elementem jego prac artystycznych. Zaczął od kwestii językowych.

– Bo język spaja społeczność. Jest symbolem mentalności i nośnikiem przekonań danej kultury. Kwestia językowej izolacji jest mi poza tym szczególnie bliska, bo od zawsze mam problemy z komunikacją z rodzicami. Mój ojciec słabo zna czeski, mój wietnamski jest podstawowy. Dlatego nigdy nie było mowy o prawdziwym porozumieniu. Teraz próbujemy nawiązać więź w inny sposób. Ojciec regularnie bierze udział w moich performensach.

Na początku rodzice Phama nie byli zachwyceni jego wyborem studiów: – Bo to ↦

Wietnamskie centrum handlowe na przedmieściach Pragi. Czerwiec 2020 r.

↦ bardzo wolny kierunek. *Very me. Not much money*. Bardzo mój, tylko pieniędzy nie przynosi – Pham znowu wybucha śmiechem.

Pierwsze pokolenie Wietnamczyków w Czechach podporządkowało swoje życie utrzymaniu rodziny, czyli pracy, zarabianiu pieniędzy. – Dlatego jesteśmy tak lubianą mniejszością w Czechach – stwierdza Trang. – Dzięki stereotypom. Wśród Czechów panuje przekonanie, że Wietnamczycy są niezwykle pracowici i że stawiają na dobre wykształcenie swoich dzieci.

Hybrydy także kulinarne

Ale nie zawsze tak było. Ponad dekadę temu, w czasach kryzysu finansowego, wietnamska mniejszość nie cieszyła się dobrą reputacją. – Wiele osób straciło wtedy pracę. Zostali bez środków do życia, nie mieli jak wrócić do Wietnamu. Część była zadłużona, bo ich rodziny zapłaciły spore sumy, aby umożliwić im przyjazd do Czech. Niektórzy zaczęli pracować w przemyśle narkotykowym. Produkowali marihuanę na potrzeby zachodniego rynku – mówi Trang.

Blogerka przypomina sobie, że w 2008 r. czeskie media pełne były negatywnych artykułów: – Przy googlowaniu hasła „Wietnamczycy" wyszukiwarka pokazywała dwa rodzaje rezultatów: wiadomości o przestępczości oraz o prostytucji.

19-letnia wówczas Trang postanowiła polepszyć wizerunek swojej społeczności. Stworzyła blog „Asijatka": – Zawsze lubiłam pisać. Poza tym czułam potrzebę wyjaśnienia specyfiki wietnamskiej kultury, bo wiele osób zadawało mi wciąż te same pytania na temat panujących stereotypów. Chciałam wytłumaczyć różnice kulturowe na podstawie moich doświadczeń. Nigdy nie kreowałam się na głos wietnamskiej mniejszości.

Trang uważa, że przepaść między czeską a „zamkniętą" wietnamską społecznością zmniejszyła się też za sprawą podróży Czechów do Wietnamu: – I za sprawą jedzenia. Zwłaszcza zupa pho jest tu szczególnie lubiana.

– Bo ma europejski smak – wyjaśnia Pham. – To hybryda. Tak jak ja.

W rzeczywistości pho (czytane jako f-oo) nie jest wietnamską potrawą *sensu stricto*. Ta północnowietnamska zupa od początku łączyła wpływy kuchni chińskiej i francuskiej: Wietnam był francuską kolonią od połowy XIX w. do 1945 r. Makaron ryżowy i przyprawy importowano z Chin, a jedzenie czerwonego mięsa spopularyzowali Francuzi. Pho to zwietnamszczone *pot au feu* (nazwa francuskiej potrawy, dosł. garnek na ogniu).

Tak czy inaczej, czeska pho ma smak inny od oryginału, bo Wietnamczycy mieszkający w Czechach dodają do niej coraz więcej europejskich składników, jak marchew czy seler. Matka Phama też odchodzi od tradycyjnej kuchni i na Boże Narodzenie serwuje *řízky*, typowo czeskie kotlety w panierce.

Alternatywa

Zmiany w zwyczajach czeskich Wietnamczyków zafascynowały Phama. Tak powstał projekt „Zatrzymał się czas", nad którym pracowało jeszcze czterech innych artystów: Nguyen Anh Tuyet, Long Phi Trieu, The Anh Nguyen i wspomniany Vu Duc Minh (dla niani i znajomych: Michal). Grupa chciała zorganizować spotkanie pokoleń, z gotowaniem i wymienianiem się doświadczeniami.

Pham: – Ale wybuchła epidemia, więc musieliśmy wymyślić alternatywę. Wyszła z tego akcja „*Pho všem a ať už je po všem*" (Pho dla wszystkich, żeby już było po wszystkim). Postanowiliśmy pozbierać przepisy na pho przez Facebooka, a następnie ugotować zupę i rozdać ją potrzebującym: bezdomnym, seniorom i personelowi medycznemu, który walczył z koronawirusem w szpitalach.

Bo pomaganie Wietnamczycy mają we krwi. – Po prostu tacy jesteśmy – stwierdza Trang. –Wspieramy się nawzajem i dbamy o ludzi wokół siebie. Jak idziesz do *večerki* z dzieckiem, to możesz być pewny, że nie wyjdziesz bez darmowego lizaka.

© ULA IDZIKOWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Polska w Europie.
Bicie serca

UNJA

Co wpływa na obecne postrzeganie Unii w Polsce?
Czy potrafimy wykorzystać jej potencjał?
Czy myślimy o Europie jako wspólnym domu, wspólnym interesie?
Co ma na to największy wpływ i jak kształtują się nasze postawy?

23 września zapraszamy na pierwszą z cyklu debat online **„UnJa. I co dalej?"** – szczegóły transmisji na **powszech.net/unia**

ORGANIZATOR:
KLUB TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KLUB TP

PRZEDSTAWICIELSTWO
KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

Komisja Europejska

ANDRZEJ

Stasiuk:
Kraina dzieciństwa (część ostatnia)

Rano, jeszcze przez sen, pomyślałem, że jestem jak ten kraj: wciąż powracam do dzieciństwa. Cień starej jabłoni chronił mnie przed porannym gorącem. Zielona powłoka namiotu była mokra od nocnej rosy. Wylegiwałem się zaspany i rozleniwiony, i myślałem, że jestem tym krajem. Pragnę przewracać się z boku na bok w wodach płodowych minionego, wodach, które dawno wyschły. Jak w martwym akwarium, które wypełniam własnymi rojeniami. Im jestem starszy, tym większa ogarnia mnie niepewność, więc szukam znaków ocalenia gdzieś na początku. W zdarzeniach, które trwały jedną chwilę i zgasły jak płomień na wietrze. Nawet ich nie pamiętam i muszę sobie wyobrażać. Lepić z kleistego mułu słów. Sztukować prawdę i pamięć biegłością w gadaninie. Sprytem serca, które zrobi wszystko, żeby się wzruszyć. Byłem jak ten kraj, który odwracał wielki smutny łeb, żeby gapić się za siebie. Bo tylko tam mógł zaznać pocieszenia.

Przed rokiem jechałem wzdłuż rzeki, nad którą wczoraj spałem. Od głównej szosy biegła do nabrzeżnej wsi wąska, wyboista droga. Szedł nią dwudziestoletni na oko chłopak. Był łysy, chuderlawy, w ręku niósł piwo Żubr i trochę nim rzucało po tym nierównym asfalcie. Miał na sobie dżinsy i czarny tiszert z biało-czerwonym wilkiem, Polską Walczącą, i jakieś litery przypominające szwabachę, które pewnie składały się w napis *semper fidelis* albo że pamiętamy. Nie mogłem ich poskładać, bo trwało to chwilę, i uważałem, żeby nie wpadł mi pod koła. Widziałem go we wstecznym lusterku, jak idzie w stronę swojej wsi nad graniczną rzeką. Wsi, którą od wieków pochłaniały piaski i bagna. Domostwa były niskie i biedne, i zaraz za wodą zaczynał się obcy kraj.

Jakby było mało symboliki, na początku wsi usypano kościuszkowski kopiec. Może dziesięciometrowy wzgórek porośnięty darnią. Na górę wiodły schodki z burego betonu. Szczyt wieńczyły trzy maszty z pordzewiałych szyn z doczepionymi tarczami. Na jednej był mozaikowy orzeł, na drugiej sam Naczelnik, co było na trzeciej – nie widziałem. Wszystko razem przypominało mi te wszystkie rozpaczliwe monumenty rozsiane po całej rosyjskiej głubince, sławiące Wojnę Ojczyźnianą. Stały w każdej wsi. Z takiego samego burego betonu i rudziejącego żelaza. Może tylko częściej ktoś je odmalowywał farbą, jaka akurat była pod ręką. Na tabliczce pod kościuszkowskim wzgórkiem było napisane, że powstał w 1966 r. I ten chłopak z żubrem i wilkiem, idący chwiejnym krokiem w stronę swojej osady, która walczyła z naporem nicości. Mój kraj. Jego melancholijny wzrok, jego spojrzenie wstecz w poszukiwaniu ratunku przed zagładą, którą niosła przyszłość. I teraźniejszość też, bo przecież była niepojęta i nie dawała żadnej pociechy. Ten chuderlawy chłopak idący w stronę wilczych zjaw, które nie znają niepewności ani lęku, które go osłonią i przygarną, by w końcu stał się nieulękły jak one. Szedł w stronę upiornego wilkołaczego stada, które miało go przyjąć, za cenę jego wylęknionej duszy. Zupełnie jak ja wczoraj, gdy szedłem w głąb próchniejącego domu, przez ciasne pokoje pełne zjaw. W ucieczce przed własnym przeznaczeniem i jednocześnie go poszukując.

Wyczołgałem się w końcu z namiotu. Był jasny poranek. Gdzieś w oddali mozolnie pyrkotał traktor. Żniwa jeszcze się nie zaczęły, więc poza tym zalegała cisza. Między bezkresem złotych zbóż i błękitnym niebem. Z zieloną dziką rzeką kilometr dalej. Wyciągnąłem namiot z cienia, żeby przesechł w słońcu. Zrobiłem kawę na maszynce. Jak w prawdziwym obozie, chociaż o parę kroków stał dom. Popijałem gorącą neskę i chciałem powrócić w myślach do porannych rojeń z wilkołakami, chudymi wylęknionymi chłopcami, do rojeń o moim kraju, który nie chce wydorośleć, i do własnego lęku, który mi każe szukać pociechy wśród zjaw. Ale słońce już się podniosło i blask padał na murszejącą szczytową ścianę, gdzie w próchniejących korytarzach żyły jaszczurki, owady i roztocza.

Pomyślałem, że w końcu dom zniknie, że zmieni się w pył i pochłonie go światłość pomieszana z pustką. I znikną zjawy dawnych dni. Znikną razem ze mną.

I, jak na początek pięknego dnia, nie była to najgorsza myśl. ©

TP

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA”

drugi numer Magazynu Conrad

Hasło tegorocznej edycji Festiwalu brzmi „Widzialne i niewidzialne”. Zaprosiliśmy grupę pisarek i pisarzy, z którymi będziemy rozmawiać o różnych wymiarach widzialności i niewidzialności – egzystencjalnym, społecznym, politycznym, ideologicznym. Jak to się dzieje, że jednostki lub grupy wypadają poza granice naszej percepcji? Co decyduje o tym, że pewnych obrazów i słów nie jesteśmy w stanie wymazać z pamięci i ze świadomości, tak jednostkowej, jak i zbiorowej.

W drugim numerze znajdą Państwo teksty o belgijskiej debiutantce **Adeline Dieudonné**, czeskiej prozaiczce **Biance Bellovej**, norweskim powieściopisarzu **Royu Jacobsenie**, turecko-brytyjskiej autorce **Elif Şafak** oraz rosyjskiej poetce i prozaiczce **Marii Stiepanowej**. Wydanie dopełni rozmowa z irlandzką eseistką **Emilie Pine**.

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJCIECH PACEWICZ / PAP

Wolontariusze porządkują cmentarz tatarski w Studziance, wrzesień 2017 r.

MAŁA MEKKA NA PODLASIU

Po powstaniu styczniowym Amurat Azulewicz trafił na Sybir. Gdy po odbyciu kary dotarł pieszo do Studzianki, pytali go, po co wrócił. Odparł, że tu zostawił ojczyznę i tu chce spocząć. Zmarł trzy dni później.

ANNA WILCZYŃSKA

ANNA WILCZYŃSKA

Przystanek autobusowy w Studziance, sierpień 2020 r.

Łukasz Węda dobrze to pamięta, choć miał wówczas cztery lata. Tego dnia wyszedł samodzielnie z rodzinnego domu w Studziance i zabłądził we wsi. W przypadku małego dziecka nie było w tym pewnie nic niezwykłego – choć Studzianka, wioska położona na Podlasiu, w powiecie Biała Podlaska (w województwie lubelskim), to miejscowość niewielka, dziś licząca tylko trochę ponad 400 mieszkańców.

Przewodnikiem małego Łukasza stał się pies. To on poprowadził go przez wioskę, aż na mizar, stary muzułmański cmentarz, założony jeszcze pod koniec XVII stulecia, gdy w Studziance żyła liczna społeczność polskich Tatarów. Zafascynowany malec przechadzał się między wyglądającymi tak niezwyczajnie nagrobkami tatarskich wojskowych, nieświadomy, że przestraszeni jego zniknięciem rodzice przetrząsają całą wioskę.

– Rodzina godzinami mnie szukała. A ja chodziłem między kamieniami nagrobnymi zarośniętymi chaszczami i wyobrażałem sobie, że jestem tatarskim wojownikiem, zwiadowcą, który ma łuk, kołczan i strzały – tak o swoim pierwszym spotkaniu z mizarem opowiada 38-letni Łukasz Węda, dziś pasjonat tatarskiej historii.

Już wtedy marzył, że jako dorosły będzie przyprowadzać tutaj ludzi.

Pasjonat

Po tamtym pierwszym spotkaniu z mizarem Łukasz Węda wielokrotnie wracał. Nawet jeśli jako chłopiec nie znał jeszcze znaczenia kamieni, między którymi ostrożnie przechodził, aby dostać się do gęsto porastających wówczas nekropolię krzaków malin i jeżyn. – Miejscowi mówili, żeby tam nie chodzić. Straszyli, że to muzułmańskie, pogańskie, i że się zatruję tymi malinami – wspomina dziś.

Po latach chłopiec, który chciał zostać tatarskim wojownikiem, już jako absolwent historii wrócił w to miejsce, aby już nigdy się z nim nie rozstawać. Tutaj, w Studziance, znalazł żonę Joannę, z którą znał się jeszcze z piaskownicy.

Dziś Łukasz Węda, historyk-archiwista i prezes Stowarzyszenia Rozwoju Miejscowości Studzianka, mieszka naprzeciw cmentarza. Gdy z okna domu widzi turystów na rowerach, jak zmierzają w stronę mizaru, rzuca wszystko i biegnie opowiadać o spoczywających tam Tatarach.

Kilka razy do roku, organizując słynne już w okolicy imprezy, wciela się w tatarskiego zwiadowcę: organizuje zjazdy tatarskie, biegi na orientację, gry terenowe, zajęcia ze strzelania z tatarskiego łuku.

Dziecięce marzenie się spełniło.

Osiedleni na Podlasiu

Słowo *mizar* pochodzi z języka tureckiego (*miziar*, *mezar*) i arabskiego (*mazar*): oznacza nie tylko mogiłę, ale też miejsce odwiedzin. Z kolei tatarskie słowo *zire* to cmentarz, ale też odwiedziny czy pielgrzymka.

Mizar w Studziance jest jednym z sześciu zabytkowych muzułmańskich cmentarzy, które zachowały się w obecnych granicach Polski. Powstał pod koniec XVII w. Ziemię, na której go wytyczono, król Jan III Sobieski nadał – wraz ze szlacheckim herbem – tatarskiej rodzinie Samuela Romanowskiego i jego żony Reginy z Kieńskich. Legenda głosi, że król nie miał czym zapłacić za służbę walczącym dla niego tatarskim oficerom i żołnierzom, i dlatego od 1679 r. przyznawał prawa do ziemi kolejnym rodom tatarskim. W ślad za nim poszli kolejni władcy.

Osiedleni w Studziance oraz w innych miejscowościach w tym regionie Tatarzy byli nie tylko żołnierzami. Niektórzy byli politykami, inni pełnili funkcje urzędników, np. jako strażnicy komór celnych. Z czasem, gdy zapotrzebowanie na wojenne rzemiosło zmalało, zaczęli przyjmować zawody miejscowych. Przekuwali szable na kosy, zostawali furmanami, szewcami czy meliorantami. Brali za żony miejscowe kobiety, zmieniali nazwiska, przyjmowali lokalne tradycje, mieszając je ze swoimi.

Za ich przyczyną w XVIII w. Studzianka stała się centrum życia tatarskiego i muzułmańskiego w Rzeczypospolitej Wielu Narodów. Do ich asymilacji, która na dobre zaczęła się tutaj w XIX w., przyczynił się także fakt, że tutejsza społeczność żyła w oddaleniu od większych ośrodków życia muzułmańskiego – jak Wilno czy Winkszupie (dziś także na Litwie).

– Ci ludzie wrastali w lokalną społeczność nie tylko tu, ale także w innych nadanych im miejscowościach: w Bohonikach, Malawiczach Górnych, Drahlach – mówi Węda (wszystkie trzy wioski są dziś w powiecie sokólskim). – Tworzyli dżemiat, czyli wspólnotę, do której na podstawie aktów urodzeń i ślubów zapisywano dzieci i dorosłych.

Przed I wojną światową taka wspólnota istniała w zaborze rosyjskim od Kielc aż po Wilno. Natomiast w okresie międzywojennym w Polsce działał Muzułmański Związek Religijny, który zrzeszał dużą część polskich Tatarów (oficjalnym miejscem przechowywania dokumentów Związku było Wilno).

Na hadżdż do Studzianki

– Żyli tu Januszewscy, Jabłońscy, Bajrulewicze, Okmińscy, Czymbajewicze, Bielakowie, Azulewicze, Szehidowicze, Szachuniewicze, Półtorzyccy. Przyjęli polsko brzmiące nazwiska, utworzone ↦

↦ od tatarskich imion, przydomków, tytułów lub herbów – Łukasz Węda wymienia nazwiska rodów, które dziś odnajdujemy na nagrobkach mizaru w Studziance, wypisane po polsku, rosyjsku lub arabsku. – Ta ziemia stała się dla nich ważna, to były ich rodowe gniazda – dodaje, powołując się na zachowane XIX-wieczne zapisy.

Mizar w Studziance przez okolicznych Tatarów miał być nazywany „małą Mekką": ponieważ na podróż do najważniejszych miejsc islamu pozwolić mogło sobie tylko niewielu, więc to lokalny cmentarz stał się miejscem pielgrzymek.

Jednak, jak opowiada Łukasz Węda, wśród polskich Tatarów można znaleźć hadżdżów, czyli muzułmanów, którym udało się odbyć pielgrzymkę do Mekki. Na siostrzanym mizarze w Lebiedziewie (gmina Terespol) spoczywa jeden z nich: Jakub Buczacki, marszałek szlachty i poseł na Sejm Rzeczypospolitej, który odbył pielgrzymkę do miejsc świętych.

Spalona ziemia

W 1817 r. Tatarzy postawili w Studziance niewielki meczet.

Badania geofizyczne sugerują, że pierwotnie mógł stać na terenie mizaru i z czasem mógł zostać przeniesiony do centrum miejscowości. Meczet stał się ważnym miejscem dla Tatarów z całej okolicy: przyjeżdżali tutaj na swoje Bajramy, zjazdy, obrady.

Przetrwał do I wojny światowej, a dokładnie do 15 sierpnia 1915 r.: tego dnia został podpalony przez carskich kozaków. Cofające się wojska rosyjskie – zmuszone do odwrotu przez ofensywę niemiecko-austriacką, która latem 1915 r. zajęła sporą część zaboru rosyjskiego – zastosowały wtedy tzw. taktykę spalonej ziemi: aby utrudnić działania wroga, niszczono nie tylko infrastrukturę, ale nawet całe wsie, a ludność zmuszano do ewakuacji.

Legenda głosi, że miejscowi przekupili kozaków, by nie podpalali cerkwi. Meczet spłonął. Dziś na jego fundamentach stoi budynek podstawówki. Szkoła została zamknięta przez gminę, a budynkiem opiekuje się Stowarzyszenie Rozwoju Miejscowości Studzianka. Urządzono tu izbę pamięci – także ze zdjęciami i dokumentami o tatarskiej spuściźnie na tych ziemiach.

ANNA WILCZYŃSKA

Łukasz Węda, historyk i opiekun mizaru w Studziance, sierpień 2020 r.

Tatarzy w Rzeczypospolitej

OSADNICTWO TATARÓW – ludu pochodzenia turkijskiego, tradycyjnie wyznającego islam – na ziemiach Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego sięga wieku XIV. Początkowo na Litwę przybywali uciekinierzy ze Złotej Ordy, chętnie przyjmowani przez księcia Witolda jako ludność zobowiązana do służby wojskowej. Następnie na terenie Korony osiedlał ich Jan III Sobieski, który zamiast należnego żołdu nadawał Lipkom (Tatarom litewskim) kolejne miejscowości na Podlasiu. Zwyczaj ten kontynuowali jego następcy.
Po II wojnie światowej w granicach Polski zostały tylko dwa zabytkowe meczety tatarskie – w Kruszynianach i Bohonikach – a liczną niegdyś społeczność, żyjącą także na dzisiejszej Białorusi i Litwie, podzieliły nowe granice. Do dziś większe skupiska Tatarów w Polsce są na Podlasiu, a także w Warszawie, na Pomorzu i w Wielkopolsce. Według ostatnich spisów ludności narodowość tatarską (lub podwójną: polską i tatarską) deklaruje niecałe 2 tys. osób. © AW

Powstaniec wraca do domu

– Pamięć ludzka jest zawodna. Na tym mizarze kamienie mówią same za siebie – Łukasz Węda wskazuje na jeden z kamieni nagrobnych, ustawionych pionowo w ziemi.

– Najstarszy nagrobek, który dotąd udało się nam odczytać, pochodzi z 1772 r. i należy do Razyji Ułan – opowiada historyk. – Osoby, które tu pochowano, to byli światli obywatele, którzy walczyli za Polskę. Wraz z mieszkańcami jesteśmy przekonani, że mamy wobec nich jakiś dług do spłacenia. Że chociaż tak możemy się odwdzięczyć, dbając o ich miejsca spoczynku, aby pamięć o nich nie zanikała – dodaje.

Podczas prac konserwatorskich odczytano tu ponad 250 nagrobków. Ustalono, że to typowy cmentarz wojskowy, na którym spoczywają rotmistrzowie, majorowie, generałowie oraz ich rodziny. Część kamieni nagrobnych wieńczy wykute po arabsku wyznanie wiary („Nie ma boga poza Bogiem Jedynym, a Muhammad jest jego prorokiem") oraz półksiężyc i gwiazdy. Niektóre wypisane są w całości po arabsku, jak nagrobek zmarłego w 1794 r. generała Józefa Bielaka, dowódcy 4. Pułku Przedniej Straży Wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, który za odwagę wykazaną podczas wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r. otrzymał order Virtuti Militari (ustanowiony podczas tej wojny). Na mizarze łatwo można odnaleźć też nagrobki z inskrypcjami polskimi. Najmniej liczne są te zapisane po rosyjsku.

– To efekt rusyfikacji, która nastąpiła po 1863 r. – tłumaczy Węda. – Część Tatarów przechodziła do wojska carskiego, gdzie robili kariery. Inni walczyli w polskich powstaniach przeciw zaborcom, po czym lądowali na Sybirze.

Jednym z nich był Amurat Azulewicz, który walczył w powstaniu styczniowym, za co został zesłany na Syberię. Gdy car ogłosił amnestię, Azulewicz miał wra-

cać do Studzianki na piechotę. Do domu dotarł około roku 1878, a po powrocie całował rodową ziemię, której miał mieć w Studziance „tylko trzy arszyny" (czyli niewiele).

Jeden z krewniaków miał zapytać go półżartem, po co wrócił do tak nędznej spuścizny. Zesłaniec odparł, że to jego ojczysta ziemia i w niej chce być pochowany. Miejscowe legendy domykają historię Azulewicza, dodając, że studziański Tatar i muzułmanin zmarł trzy dni po powrocie do rodowego gniazda.

Więzi dawne i bliższe

Najmłodszy nagrobek na mizarze w Studziance pochodzi z 1927 r., a ostatni pochówek miał tu miejsce w 1941 r. Łukasz Węda ustalił, że ostatnia Tatarka ze Studzianki jeszcze jako młoda kobieta najpierw przeszła na katolicyzm, a potem wyszła za katolika. Zmarła w 2006 r.

– Większość osób, które mieszkają dziś w Studziance, nie ma już korzeni tatarskich. Nikt we wsi nie wyznaje dziś islamu. Ale mamy świadomość, że jesteśmy spadkobiercami tatarskiej kultury i historii, czujemy z nią więź. Dzięki temu nawiązują się prawdziwe relacje z Tatarami, którzy tu czasem przyjeżdżają – mówi Łukasz Węda.

On sam jest inicjatorem zjazdów tatarskich, na które – w poszukiwaniu korzeni albo w celach turystycznych – przyjeżdżają setki osób. Pierwszy taki zjazd po II wojnie światowej historyk zorganizował wraz ze swoim stowarzyszeniem w 2009 r., z okazji 330-lecia osadnictwa tatarskiego w Rzeczypospolitej. Przy tej okazji okazało się, że potomkowie tutejszych Tatarów szukają możliwości nawiązania relacji z mieszkańcami Studzianki, chcą odwiedzać miejsca związane ze swymi korzeniami. Prosili też o pomoc w odnalezieniu grobów przodków.

– Tylu ludzi w Studziance nie widzieliśmy od niepamiętnych czasów – Łukasz Węda wspomina pierwszy zjazd tatarski. – Od tamtej pory przyjeżdżają tu Tatarzy z okolic Białegostoku, Warszawy czy Gdańska, przyjeżdża też mufti. I nie szukają już hoteli w okolicy, ale mają tu przyjaciół, nocują po domach w Studziance.

Stoimy przed muralem Jana III Sobieskiego i konnicy tatarskiej, namalowanymi na przystankach autobusowych z inicjatywy mieszkańców.

Pamięć warta zachowania

Łukasz Węda mówi, że wśród mieszkańców entuzjazm dla takich działań przyszedł dopiero z czasem, po pierwszym zjeździe Tatarów w Studziance. Choć już wcześniej miejscowi mieli świadomość, jaki zabytek znajduje się na ich terenie, nie byli zbyt chętni do kontaktów z muzułmanami.

Węda: – To wymagało czasu. Dziś nikt już we wsi nie mówi, że jak przyjadą muzułmanie, to w całej Studziance będzie czuć trotylem od tego, ile bomb będą mieli w kieszeniach. Ludzie na własne oczy zobaczyli potomków muzułmanów, którzy żyli na tych ziemiach i wiedzą, że przekazy medialne, które dochodzą do nas przy okazji konfliktów na Bliskim Wschodzie czy po zamachach, nijak mają się do sytuacji w Polsce.

– Zaktywizowaliśmy mieszkańców, żeby pamiętali o tym miejscu. I pamiętają. Regularnie organizujemy sprzątanie mizaru, czasem świeczkę zapalimy – prócz mizaru w Studziance Węda zagląda także na ten w Lebiedziewie („żeby nikomu nie przyszło do głowy narozrabiać").

Ale poza incydentem kradzieży bramy (zrekonstruowanej później w czynie społecznym za prywatne pieniądze sołtysa), cmentarz w Studziance nie doświadcza aktów wandalizmu. Ostatnie szkody na mizarze pochodzą sprzed dziesiątków lat, gdy bywało, że z kamieni nagrobnych robiono np. ostrzałki do kos. Reszty widocznych dziś zniszczeń dopełnił czas i drzewa, których korzenie wypychają nagrobki z ziemi.

– To pamięć o chwalebnych czasach i ludziach, którzy przelewali krew za naszą wspólną ojczyznę – wychodząc z cmentarza, Łukasz Węda zostawia półotwartą bramkę, aby turyści wiedzieli, że mizar można zwiedzać.

Przed wyjściem rozgląda się jeszcze, czy wiatr nie powyciągał śmieci z kosza, nie poprzewracał zniczy. – To jest pamięć warta zachowania. © ANNA WILCZYŃSKA

Autorka jest arabistką, współautorką bloga IslamistaBlog.pl. Tekst powstał w ramach cyklu Muzułmańska Mapa Polski, realizowanego na stronie internetowej IslamistaBlog.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

COPERNICUS FESTIVAL: CZAS

„Gdy nikt mnie nie pyta – wiem; gdy ktoś zapyta – nie wiem“. Ta wielokrotnie przywoływana odpowiedź św. Augustyna na pytanie „Czym jest czas?“ niesie ze sobą ważne przesłanie. Z jednej strony trudno o coś bardziej zwykłego niż czas: doświadczamy jego upływu, mierzymy go za pomocą coraz bardziej doskonałych zegarów, z zapałem czytamy podręczniki opisujące, jak nim zarządzać. Z drugiej strony, czas wymyka się prostym definicjom. Jest czymś powszednim i fundamentalnym, a zarazem niezwykle tajemniczym i ulotnym.

Być może to właśnie ta podwójna natura czasu sprawia, że stał się on bohaterem powszechnej wyobraźni. Nie sposób wyliczyć wszystkich dzieł literackich, plastycznych czy filmowych, które zmagają się z zagadką czasu. Fileas Fogg potrafił okrążyć świat w 80 dni, ale nie zdołał w ten sposób zbliżyć się do zrozumienia natury czasu. Czas był zarazem jednym z głównych antagonistów w powieści Verne'a, jak i niewzruszalnym, nieodgadnionym tłem przygód Fogga. Gdy zaś próbujemy – razem z autorami powieści science fiction – wyobrazić sobie podróże w czasie, naruszając sztywne reguły bezlitośnie narzucane nam przez Wszechświat, popadamy jedynie w konfuzję i paradoksy. Także bardziej subtelne próby zrozumienia natury czasu – czy to w filmach Haasa, czy w uporczywie ponawianych motywach w twórczości Salvadora Dalego – sprawiają wrażenie „prześlizgiwania się“ po powierzchni, co jedynie zwiększa tajemniczość czasu.

Czas jest także przedmiotem zainteresowania nauki. Fizyka ujarzmiła go w największym stopniu, być może dlatego, że jej metoda pozwala abstrahować od ogromnej złożoności naszego doświadczenia czasu. Więcej nawet – kosmologowie proponują dziś bezczasowe modele Wszechświata, eliminując czas z podstawowych struktur rzeczywistości. Dla biologii czas – i to w skali trudnej dla nas do wyobrażenia – jest warunkiem ewolucji. Łatwo nam powiedzieć, że życie na Ziemi pojawiło się 3,5 mld lat temu, albo że organizmy wielokomórkowe powstały ok. 700 mln lat temu. Ale czy naprawdę rozumiemy, co to znaczy? Perspektywa kilkudziesięciu lat to dla nas bardzo wiele, a pismem posługujemy się dopiero od kilkudziesięciu tysięcy lat... Bliższe mogą nam być wysiłki psychologów, którzy starają się zrozumieć, jak postrzegamy czas i jak go doświadczamy. Ale i w tym przypadku więcej na razie znaków zapytania niż pewników. Jak odczuwamy czas? Czy mierzymy go jakimś wewnętrznym mentalnym zegarem? Jak działa pamięć?

Wszystkie te pytania splatają się w jedną wielką zagadkę czasu, obok której trudno przejść obojętnie. Stanisław Jerzy Lec napisał kiedyś: „Zegar tyka. Wszystkich“.
A przecież zegar jedynie odmierza czas...

COPERNICUS FESTIVAL

zapraszamy 6 – 11 października
www.copernicusfestival.com

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

TYGODNIK POWSZECHNY
3/2020

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

MÓZG

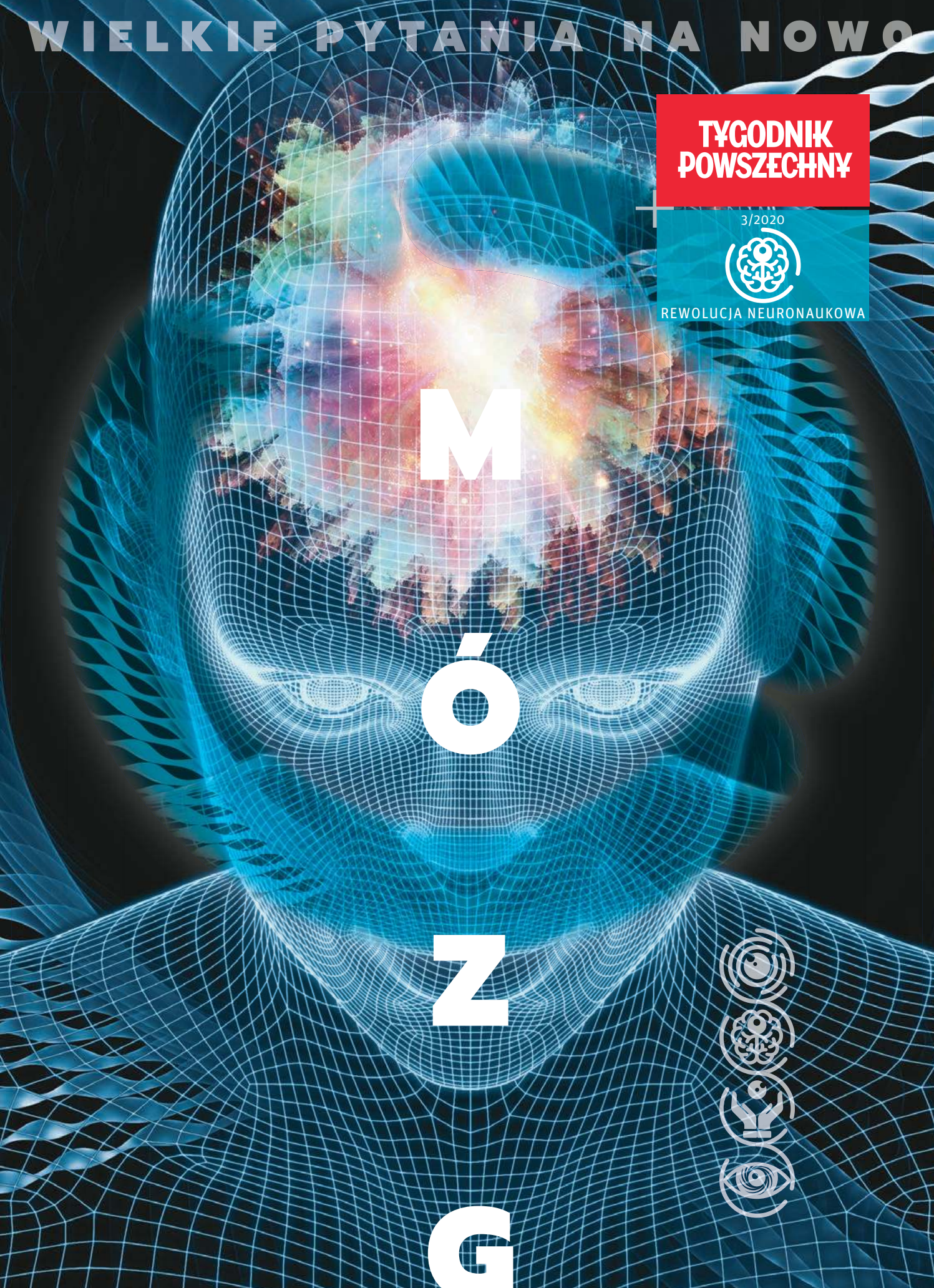

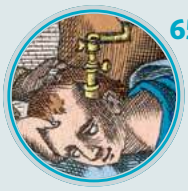

65 Moda na mózg
ŁUKASZ JACH
Ile jest prawdy w neuroobietnicach?

68 Historia z dreszczykiem
ŁUKASZ LAMŻA
Czym jest ASMR i jak je wywołać?

72 Umysł na sześciu nogach
MATEUSZ HOHOL, BARTOSZ BARAN
O możliwościach poznawczych owadów

75 Dostęp bezpośredni
ŁUKASZ KWIATEK
Gdy mózg człowieka macha ogonem szczura

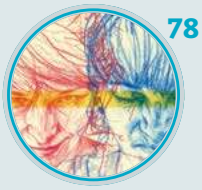

78 Opętanie z zapalenia
BARTOSZ KABAŁA
O czarownicach i potworniakach

81 Terapia psychodeliczna
MACIEJ LORENC, JUSTYNA HOBOT
Doświadczenia wywoływane przez LSD i MDMA mogą leczyć

84 Do czego służy świadomość
MARCIN MIŁKOWSKI
Po co ci wiedza, że istniejesz?

Redakcja: Katarzyna Dziadowicz, Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn
TP Typografia: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski / ANDREW OSTROVSKY/ADOBE.STOCK.COM

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo" realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.

TEMPLETON RELIGION TRUST

Copernicus Center

ŁUKASZ LAMŻA

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

Wybaczcie, nefrolodzy i hepatolodzy: mózgi są naprawdę ciekawsze od nerek i wątrób.

Dzisiaj postanowiliśmy zaprosić Państwa do przyjrzenia się temu, co się przygląda; do pomyślenia o tym, co myśli. Nie jesteśmy bezkrytycznie zachwyceni naukami o mózgu – i to dlatego pierwszy głos oddaliśmy Łukaszowi Jachowi, który zastanawia się, ile jest prawdy w tych wszystkich neuroobietnicach, którymi jesteśmy nieustannie mamieni. Na koniec pozostawiliśmy zaś sobie i Państwu tekst Marcina Miłkowskiego, w którym owa osławiona „świadomość" zostaje obejrzana okiem krytycznym: czy to naprawdę zero-jedynkowy przełącznik?

Na łamach tego dodatku porozmawiamy też o różnych drobnych „dodatkowych opcjach" oferowanych przez mózgi. Maciej Lorenc i Justyna Hobot omawiają historię zastosowań terapeutycznych środków psychoaktywnych, a ja opisuję badania nad rozmaitymi formami „dreszczu emocjonalnego", w tym tajemniczego ASMR. Bartosz Kabała wybiera się w niepokojącą podróż w świat chorób mózgu, Łukasz Kwiatek zaś pisze o postępach w rozwoju technologii połączeń mózg-komputer: dla celów medycznych i nie tylko. A żebyśmy nie zapomnieli, że nie tylko ludzie mają imponujące mózgi, Mateusz Hohol i Bartosz Baran zabierają nas na front badań zjawisk umysłowych u owadów.

I to wszystko dla zwiększonego przepływu krwi przez Państwa korę czołową – zapraszamy! ©℗

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

SCIENCE HISTORY IMAGES / ALAMY / BEW

„Uczeni zaglądają do czaszek", rycina barwna, 1594 r.

Moda na mózg

ŁUKASZ JACH

Wystarczy dodać do jakiegoś słowa przedrostek „neuro-", a ludzie zaraz patrzą na nie z większym szacunkiem.

Możliwość podglądania budowy i pracy mózgu to imponujące osiągnięcie nauki. Nieważne, czy mówimy o śledzeniu impulsów elektrycznych przepływających pomiędzy neuronami (EEG), rejestrowaniu zmian metabolizmu tkanki nerwowej (PET), czy tworzeniu obrazów mózgu w oparciu o zjawiska magnetyczne (MRI), za każdą z tych metod stoi wysoce rozwinięta technologia. Brytyjski pisarz *science fiction* Arthur C. Clarke sformułował jednak kiedyś zasadę mówiącą, że każda odpowiednio zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii. Faktycznie, komuś, kto nie jest ekspertem, neuronaukowy żargon, wykresy i zdjęcia mogą mówić dokładnie tyle, co astrologiczne schematy. Ale i tak wiele z nich pojawia się w telewizji śniadaniowej, poradnikach, popularnych opracowaniach czy w trakcie rozmaitych szkoleń.

Czym innym jest jednak poziom zrozumienia jakiegoś przekazu, a czym innym zaufanie do jego treści. Szwedzki badacz Kimmo Eriksson wykazał niedawno, że jakość tych samych doniesień naukowych oceniana jest wyżej, gdy wprowadzi się do ich opisu zupełnie niepowiązaną z nimi formułę matematyczną. Całkiem uzasadnione wydaje się zatem pytanie o to, jak neuronaukowy „klimat" oddziałuje na nasze codzienne życie.

Wąż w ogrodzie wiedzy

W 2013 r. psycholog Andrew Shtulman poprosił uczestników eksperymentu o uzasadnienie ich opinii na temat zjawisk badanych przez naukę (takich jak elektrony czy ewolucja) oraz „zjawisk nadprzyrodzonych" (np. telepatii). Uczestnicy (studenci) częściej uznawali istnienie zjawisk badanych przez naukę oraz deklarowali wyższy poziom pewności w tym zakresie. Okazało się jednak, że bez względu na treść przekonań najczęściej w uzasadnieniach odwoływali się nie do faktów, ale osób, źródeł lub instytucji. Przykładem uzasadnienia tego rodzaju może być stwierdzenie, że „czarne dziury istnieją, ponieważ ufam ↦

↦ nauczycielowi, który opowiadał nam o nich na lekcji".

Niezależnie od rzeczywistych zasług metod neuroobrazowania w odkrywaniu tajemnic mózgu, potoczne uznanie dla neuronaukowej terminologii i wyników badań może mieć podobne podstawy. Warto przy tym pamiętać, że odwoływanie się do skomplikowanych pojęć i przemawiających do wyobraźni schematów to jedna z często stosowanych metod wywierania wpływu. Jedno z najbardziej znanych badań na temat uwodzicielskiej mocy neuronauki zostało opisane przez Deenę S. Weisberg i współpracowników w 2008 r. Prezentowali oni uczestnikom badania trafne lub nietrafne wyjaśnienia różnych zjawisk psychologicznych z użyciem neuronaukowego żargonu lub bez jego wykorzystania. Cieszyć może to, że badani zasadniczo uważali wyjaśnienia trafne za bardziej satysfakcjonujące niż te fałszywe. Okazało się jednak również, że wyjaśnienia zawierające odniesienia do neuronauk oceniane były ogólnie jako bardziej trafne niż te pozbawione takiego kontekstu.

Obecność neuronaukowych terminów nie miała znaczenia dla ocen dobrych wyjaśnień, ale te słabe zyskiwały na subiektywnej wiarygodności wtedy, gdy były nasycone neurożargonem. Dalsze badania wykazały m.in., że dłuższe wyjaśnienia uznawane są za bardziej satysfakcjonujące, niezależnie od ich rzeczywistej jakości. Zaobserwowano również, że ludzie mają większe trudności z oceną jakości wyjaśnień wtedy, gdy te trafniejsze pozbawione są neurożargonu, te słabsze zaś są wzbogacone o takie odniesienia. Co więcej, opisywane efekty „porażenia neuronauką" są równie wyraźne zarówno wtedy, gdy towarzyszy im specjalistyczny język, jak i wtedy, gdy mamy do czynienia po prostu z wyraźniejszymi odniesieniami do mózgu i jego pracy. Wygląda więc na to, że jeśli chcemy uchodzić za eksperta, to sięgnięcie po neurologiczny słownik może być niezłym sposobem na poprawę wizerunku w oczach innych.

Co było do udowodnienia

Nie zawsze jednak sam neuronaukowy żargon doprowadzi do przyswojenia jakiejś informacji. Istnieje bowiem zjawisko tzw. motywowanego rozumowania: ludzie niechętnie zmieniają swoje wcześniejsze przekonania i potrafią interpretować te same dane zupełnie inaczej, gdy trafiają w czułe punkty ich światopoglądu.

> Naukowe doniesienia często traktujemy nie jako źródło informacji kształtującej nasz światopogląd, ale jako amunicję do **obrony już wcześniej przyjmowanych przekonań.**

W badaniu Nicholasa Scuricha i Adama Shnidermana uczestnicy wypowiadali się na temat stosunku do kary śmierci, a potem zapoznawali się z artykułami dotyczącymi jej skuteczności lub nieskuteczności jako środka odstraszającego przestępców. Artykuły te odwoływały się do wyników badań neuroobrazowych. Zadaniem uczestników była ocena treści artykułu, zwłaszcza znaczenia neuronauki jako metody badań oraz źródła wskazówek dla polityki społecznej. W badaniu nie odnotowano efektów związanych wyłącznie ze stosunkiem do kary śmierci lub treścią artykułu. Istotny okazał się natomiast łączny efekt tych dwóch aspektów. Osoby sprzeciwiające się karze śmierci nisko oceniały treść artykułu wtedy, gdy była niezgodna z ich przekonaniami, znacznie wyżej zaś wtedy, gdy wspierała ona ich światopogląd. Identycznie wyglądały wyniki zebrane wśród zwolenników tej formy karania przestępców. Innym razem badacze przyglądali się temu samemu zjawisku w odniesieniu do przekonań na temat aborcji oraz rzekomych wyników badań neuronaukowych wskazujących, że w drugim trymestrze ciąży rozwijające się płody odczuwają lub nie bodźce bólowe. Uzyskane wyniki były właściwie identyczne – artykuły oceniano lepiej, gdy ich treść była zbieżna z wyznawanym światopoglądem.

Mamy więc skłonność do tego, by naukowe doniesienia traktować nie jako źródła informacji kształtujące nasz światopogląd, ale raczej jako amunicję do obrony już wcześniej przyjmowanych przekonań. Dobry przykład stanowi tu opublikowany w „JAMA Psychiatry" artykuł mówiący, że w pewnym badaniu część kory mózgowej osób wskazujących, że religijność bądź duchowość odgrywa ważną rolę w ich życiu, była grubsza niż u osób niezainteresowanych religią. Portal Fronda.pl podsumował te wyniki następująco: „wniosek jest prosty i oczywisty – to osoby wierzące w Boga mają prawidłową strukturę mózgu". Pośród wielu rzeczy, które przemilczano w internetowym doniesieniu, jest jednak choćby to, że w badaniu brano pod uwagę nie religijność związaną z jakimś konkretnym wyznaniem, ale ogólną skłonność do poszukiwania w życiu transcendencji, oraz że grubość kory mózgowej nie była istotnie związana z częstotliwością praktyk duchowo-religijnych. Cóż, jak mówią słowa jednej z piosenek zespołu Kult, „człowiek chce widzieć, co sam chce zobaczyć, chce czytać, co sam chce przeczytać".

Pułapka neuromarketingu

Życiowe motto doktora House'a brzmiało: „wszyscy kłamią". Słynny serialowy diagnosta prawie nigdy nie brał na poważnie słów pacjentów, polegając raczej na pomiarach oraz wynikach prowadzonych śledztw. Przyglądanie się historii psychologii rodzi pokusę, by w tej dziedzinie stosować podobne podejście. Już na początku XX w. pojawiały się koncepcje zalecające, by badań psychologicznych nie prowadzić w pełnym zaufaniu do świadomych deklaracji uczestników. Z czasem te wątpliwości przybierały na sile. W swoich wypowiedziach, w kwestionariuszach, a nawet w zachowaniach w warunkach laboratoryjnych uczestnicy badań mogą chcieć pokazać się w lepszym świetle, unikać przyznawania się do jakichś preferencji albo odczuwać potrzebę sprostania oczekiwaniom osób prowadzących badanie – bądź po prostu nie mieć odpowiedniego wglądu we własne procesy psychiczne. Czy nie jest więc kuszące, aby zrezygnować z pytania badanych o cokolwiek i zwrócić się ku temu, co bardziej obiektywne?

Niektórzy szanse rozwinięcia takiego kierunku w naukach społecznych widzą w metodach big data, polegających na zbieraniu ogromnej ilości danych dotyczących rzeczywistej aktywności ludzi (np. w internecie), a następnie poszukiwaniu w nich określonych prawidłowości. Innym ścieżką psychologicznej prawdy wydaje się ta wiodąca przez neuronauki. Widać to choćby w obsza-

rze marketingu, gdzie pieniądze wydane na badania prowadzące do błędnych wyników są uznawane za tracone trzykrotnie: w pierwszej kolejności na same badania, następnie na produkt powstały w wyniku ich przeprowadzenia, a na końcu wtedy, gdy kupujący skłaniają się jednak ku produktom konkurencji. W obliczu takiego ryzyka jakże wspaniale byłoby móc polegać na danych, których nie da się rozmyślnie zniekształcać. Za takie właśnie uchodzą te odnoszące się bezpośrednio do pracy mózgu.

W popularnej literaturze dotyczącej neuromarketingu jego skuteczność popierana jest często przemawiającymi do wyobraźni wartościami liczbowymi oraz metaforami. Mówi się na przykład o tym, że 99 proc. procesów mózgowych dokonuje się bez udziału świadomości, a zatem świadome deklaracje to nawet nie czubek góry lodowej, ale co najwyżej wieńcząca go mała grudka śniegu. Albo że bezpośrednie badania mózgu pozwalają wyeliminować „szum" obecny w wypowiedziach, co pozwala na dziesięciokrotne zmniejszenie liczebności osób biorących udział w badaniach. Albo też, że neurobadania przypominają poszukiwania „Świętego Graala marketingu" bądź neuronalnego „guzika kupowania" (*buy button*). Na popyt skutecznych oddziaływań odpowiedzią jest podaż prostych recept, które nie uwzględniają rzeczywistej złożoności działania mózgu. Bywa choćby, że poszczególnym obszarom mózgu na zasadzie „jeden do jednego" przyporządkowuje się konkretną funkcję (brzuszne prążkowie – układ nagrody; kora oczodołowo-czołowa – pragnienie posiadania; kora tylnego zakrętu obręczy – konflikt itd.), co sugeruje, że ich aktywacja świadczy o obecności bardzo konkretnego, niezróżnicowanego stanu. „Jeśli osobie w badaniu jądro półleżące się zaświeci, klient przy twoim produkcie przyjemność czuć będzie" – wypisz wymaluj jak w senniku.

Badaczu, zbadaj się sam

Uproszczone ujęcia metod neuroobrazowania mniej informują o tym, jak neuromarketing wykorzystać przy sprzedaży produktów, a więcej o tym, jak sprzedawać produkt określany jako „neuromarketing". O ironio, do awangardy klientów przekonanych dzięki neuromarketingowi należą przecież ci, którzy kupują książki czy uczestniczą w szkoleniach poświęconych jego wykorzystywaniu. Nie da się jednak ukryć, że przedrostek „neuro-" porusza również wyobraźnię kręgów akademickich. Scott O. Lilienfeld, znany badacz psychologicznych mitów, razem ze współpracownikami opublikował na ten temat artykuł w czasopiśmie „American Psychologist".

> W oparciu o poziom neuronaukowy trudno rozwiązywać takie problemy badane przez psychologów, **jak konflikty małżeńskie czy bezrobocie.**

Autorzy z jednej strony podkreślają pozytywną rolę badań neuronaukowych w procesie porzucania dualistycznego podejścia, w myśl którego mózg i umysł nie mają ze sobą nic wspólnego, z drugiej jednak naświetlili konsekwencje pokusy traktowania poziomu neuronalnego jako jedynego, którym warto zajmować się na poważnie przy analizowaniu działania ludzkiej psychiki. Jedną z nich jest lekceważenie złożoności problemów psychologicznych i społecznych. W oparciu o poziom neuronaukowy trudno np. w pełni rozwiązywać takie problemy badane przez psychologów, jak konflikty małżeńskie czy bezrobocie.

Do wyników badań i terminologii neuronaukowej nawiązują często dostępne obecnie usługi edukacyjne, szkoleniowe czy samorozwojowe, choć ich skuteczność nie jest należycie weryfikowana. Najbardziej uderzającym grzechem neuroentuzjazmu może być jednak powielanie błędów, które do tej pory charakteryzowały badania głównego nurtu. Należy do nich publikowanie przede wszystkim wyników tych badań, których rezultaty wskazują na zachodzenie jakichś efektów. Badania, w których, mówiąc kolokwialnie, nic nie wyszło, bywają pomijane. Zjawisko to wymienia się jako jedną z przyczyn tzw. kryzysu replikacyjnego, który w psychologii trwa od jakiegoś czasu. Jeśli wyniki pochodzą z badań niewielkich grup prowadzonych z użyciem zbyt słabych lub nie w pełni rzetelnych testów, to uzyskiwane w nich rezultaty mogą być obarczone błędami bez względu na to, czy wykonano je metodą „papier, ołówek", czy z użyciem zaawansowanej, kosztownej aparatury. Po opublikowaniu zaczynają one jednak żyć swoim życiem.

Sny o potędze

Ciekawy punkt widzenia na temat źródeł popularności technik neuronaukowych przedstawia duński psycholog Maarten Derksen. Zauważa on, że – niezależnie od rzeczywistych, praktycznych możliwości neuroobrazowania i neurointerwencji – zainteresowanie nimi stanowi przejaw obecnego od tysięcy lat pragnienia kontroli nad ludzkim zachowaniem i nadawania mu coraz bardziej wystandaryzowanej, możliwej do przewidywania postaci. Sęk w tym, że ludzie potrafią aktywnie odpowiadać na próby kierowania nimi. Historia podejmowanych dotąd działań – poczynając od starożytnych sofistów, przez proponowane przez Fredericka W. Taylora techniki zarządzania produkcją czy zalecenia Dale'a Carnegiego zawarte w podręczniku zatytułowanym „Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi" – jest więc w dużym stopniu zapisem radzenia sobie z oporem, utrudniającym wypracowanie efektywnych narzędzi kontroli nad ludzkimi zachowaniami. Przejawem dążeń do „kontroli umysłu" są także podejmowane w licznych ośrodkach po II wojnie światowej działania wojskowo-wywiadowcze, a świadectwem związanych z nimi lęków – opowieści na temat technik tzw. prania mózgu. Zdaniem Derksena żargon neuronaukowy trafia dokładnie w te same pragnienia i obawy, a jego siła jest tym większa, im pewniejsze wydają się nam rozstrzygnięcia wprost odwołujące się do budowy i funkcjonowania mózgu. Tym bardziej jeśli dodać do tego tak typowe dla nas dążenie do rozwiązań szybkich, łatwych i jednoznacznych.

Kim jest zaś człowiek żyjący w świecie triumfującej neuronaukowej legendy? W filmie Quentina Tarantino „Kill Bill" jest mowa o ciosie kung-fu określanym jako Technika Pięciu Palców Dłoni Rozsadzających Serce. Zastosowanie zawartej w nim sekwencji uderzeń sprawia, że trafiona osoba umiera po przejściu pięciu kroków. Popularne sposoby ujmowania technik neuronaukowych bardzo ↦

↦ przypominają taką właśnie wizję, wedle której każdy punkt na „mapie mózgu" ma swoje określone znaczenie, a uruchomienie go pociąga za sobą określoną sekwencję reakcji. Na praktycznym poziomie przekłada się to choćby na takie praktyki, jak formułowanie diagnoz na temat problemów psychicznych wyłącznie w oparciu o zdjęcia wykonane jedną z metod podglądania wnętrza organizmu (np. SPECT). Albo składanie przez adwokatów wniosków o odroczenie terminów rozpraw sądowych wtedy, gdy mają się one odbywać w godzinach przedpołudniowych, co wiąże się z opublikowanymi w 2011 r. wynikami badań sugerujących, że sędziowie patrzą na podsądnych łagodniejszym okiem wtedy, gdy ich mózgi są wypoczęte i mają łatwiejszy dostęp do zasobów energetycznych (czyli po obiedzie).

Jak żyć?

Przypuśćmy jednak, że sny o neuropotędze pewnego dnia się ziszczą i ludzkość będzie w posiadaniu wiedzy pozwalającej na skuteczne wykorzystywanie technik neuronaukowych w procesach opisywania, przewidywania i kontroli zachowań. Wiele wskazuje, że sytuacja taka zmusiłaby nas do zmian sposobu widzenia różnych sfer życia oraz przedefiniowanie wielu pojęć, do których przywiązani jesteśmy obecnie.

Przykładowo, czy w niektórych przypadkach należałoby rezygnować ze stosowania kary więzienia, jeżeli okazałoby się, że na poziomie neurologicznym niektórzy spostrzegają zamknięcie w zakładzie karnym raczej w kategoriach nagrody? Albo dlaczego należałoby ufać w wiarygodność przysięgi małżeńskiej, jeśli możliwe byłoby wprost sprawdzenie związku pomiędzy deklarowanymi zamiarami danej osoby a jej rzeczywistymi intencjami? Czy należałoby uniemożliwiać bezpłatne studiowanie ludziom, których budowa struktur mózgowych odpowiedzialnych za wytrwałość i motywację wskazywałaby na podwyższone ryzyko rezygnacji z nauki lub porzucenie wyuczonego zawodu? A czy partie polityczne powinny wysuwać na eksponowane stanowiska kandydatów faktycznie kompetentnych, czy raczej tych, którzy wywołują bardziej pozytywne skojarzenia u osób decydujących o ich wyborze?

Jeśli stosowanie „neurodopingu" chemicznego (psychostymulantów) lub mechanicznego (przezczaszkowej stymulacji magnetycznej, TMS) przekładałoby się na wyższy poziom kreatywności w rozwiązywaniu problemów, to czy należałoby instytucjonalnie umożliwić korzystanie z niego naukowcom, inżynierom i wynalazcom? I wreszcie – jaki sens będzie miało publikowanie w tygodniku opinii artykułu popularnonaukowego bez uprzedniego sprawdzenia, na ile jego treść wydaje się przekonująca potencjalnym czytelnikom?

© ŁUKASZ JACH

Historia z dreszczykiem

ŁUKASZ LAMŻA

Ktoś przysuwa usta do twojego ucha i w pełnej ciszy zaczyna delikatnie szeptać. Przez twoje ciało, poczynając od czubka głowy, przechodzi ciepłe, przyjemne mrowienie. Znasz to?

W 1977 r. Avram Goldstein i Ralph Hansteen – psycholodzy z Uniwersytetu Stanforda specjalizujący się w badaniach nad opioidami – przeprowadzali serię eksperymentów nad rolą endorfin w różnego rodzaju formach przyjemnego pobudzenia. Początkowo interesowało ich głównie podniecenie seksualne, jednak Goldstein postanowił rozszerzyć badania o „dreszcz emocjonalny", zainspirowany przez własne epizody gęsiej skórki występujące przy słuchaniu określonych utworów muzycznych. Ku swojemu zaskoczeniu po przeczesaniu literatury naukowej nie znalazł żadnej wzmianki na ten temat: czyżby owo towarzyszące mu przez całe życie powtarzalne zjawisko było jedynie prywatną anomalią? Po szybkiej ankiecie, przeprowadzonej na grupie 45 pracowników Fundacji Badań nad Uzależnieniami oraz 513 studentów Stanforda okazało się, że nie: „dreszcz muzyczny" zaobserwowało u siebie 76 proc. respondentów.

Przepis na ściśnięte gardło

Goldstein opublikował w 1980 r. prawdopodobnie pierwszy artykuł naukowy na temat zjawiska określanego dziś technicznie jako *frisson* (od francuskiego słowa oznaczającego „dreszcz") albo *aesthetic chills* („dreszcz estetyczny"). Z ankiety wynikło, że „typowym bodźcem wywołującym dreszcz jest konfrontacja z poruszającą emocjonalnie sytuacją lub zdarzeniem, takimi jak naturalna sceneria o transcendentalnym pięknie, wspaniałe dzieło sztuki, pasaż muzyczny, przejmujące spotkanie z drugim człowiekiem, porywająca przemowa albo nagły wgląd intelektualny". Goldstein przeprowadził też eksperyment, aby sprawdzić, czy na przeżywanie „dreszczu emocjonalnego" wpłynie podany dożylnie nalokson – lek blokujący działanie opioidów (a więc i endorfin), stosowany m.in. przy leczeniu przedawkowania heroiny. Za bodziec posłużył sześciominutowy fragment „Fausta" Gounoda, dobrany przez Goldsteina tak, aby zawierał jak najwięcej sekcji „dreszczogennych". Nagranie odtworzono dwukrotnie: raz po zastrzyku zawierającym nalokson, a raz po podaniu tą samą drogą placebo. Wyniki? Po pierwsze, u wszystkich badanych dreszcze wywoływały z grubsza te same frazy muzyczne – oznacza to, że *frisson* jest intersubiektywny i powtarzalny. Po drugie, nalokson czasem przytępiał zdolność do przeżywania dreszczy, z czego z kolei wynika, że istnieje komponent neurochemiczny *frisson* – czyli nie jest on zjawiskiem wyłącznie deklaratywnym, lecz, mówiąc potocznie, naprawdę „siedzi w mózgu".

Po pionierskim badaniu Goldsteina posypały się kolejne. Nagle okazało się, że o tym subtelnym, nienazwanym aspekcie doświadczenia da się pisać naukowo. W 1991 r. ukazał się artykuł Johna

WHOALIC MOORE / PIXABAY

Slobody, który postanowił wydestylować muzykologiczny przepis na rozmaite reakcje fizjologiczne wywoływane przez muzykę. Pod jego lupą znalazły się ciarki na plecach, ściśnięte gardło, gęsia skórka, ściśnięty żołądek, pocenie, zarumienienie policzków, śmiech, łzy i parę innych. Grupa 83 respondentów – w dużej części muzyków i teoretyków muzyki – dostarczyła szczegółowej listy 163 utworów lub ich fragmentów wywołujących u nich reakcje fizjologiczne. Niektórzy przysłali Slobodzie zapisy nutowe szczegółowo opisane „emocjonalno-fizjologicznie", czasem z dokładnością do konkretnej frazy, taktu czy wręcz nuty. Autor po długich analizach przedstawił coś w stylu muzycznej technologii wywoływania stanów fizjologicznych. Łzy, przykładowo, szczególnie skutecznie wywoływać miałaby „harmonia zstępująca po kole kwintowym do toniki" oraz „melodie obfitujące w appoggiatury". Schodzące po krzyżu dreszcze miałyby z kolei pojawiać się wtedy, gdy następuje „nowa albo zaskakująca harmonia" oraz „nagła zmiana dynamiki lub faktury".

Zmysłowa reakcja szczytowa

Historia ASMR – co znaczy ten skrót, o tym już za chwilę – rozpoczyna się podobnie do historii *frisson*: od nieposkromionej ciekawości jednego człowieka, czy „inni też tak mają?". Niebagatelną rolę odegrał w niej również internet. 19 października 2007 r. na pewnym internetowym forum zdrowotnym użytkownik o nicku „okaywhatever51838" opisał uczucie wędrującego po ciele ↦

↦ przyjemnego mrowienia, wywoływanego „w dzieciństwie, kiedy ktoś opowiadał mi bajkę albo w czasie teatru kukiełkowego", a później, w okresie nastoletnim, „kiedy przyjaciel jeździł mi po ręce pisakiem". Wątek eksplodował, a niedługo później po sieci krążyły już tysiące anegdotycznych raportów oraz opublikowana na blogu The Unnamed Feeling (Nienazwane uczucie) długa lista scen filmowych wywołujących to, co wówczas nazywano „orgazmem mózgowym" albo „łagodną wędrującą euforią". Jedna z aktywnych uczestniczek debaty, Jennifer Allen, zaproponowała w 2010 r. nazwę „*Autonomous Sensory Meridian Response*", co można luźno przetłumaczyć jako „autonomiczną zmysłową reakcję szczytową". Allen wyjaśniała później magazynowi „Vice", że nazwa została celowo dobrana tak, aby brzmiała jak najbardziej naukowo („Spróbuj komuś wyjaśnić, że potrzebujesz pieniędzy na badania »mózgowego orgazmu«"). Słowo „*meridian*", oznaczające m.in. najwyższe położenie słońca na niebie albo szczytowy etap rozwoju, miało zaś stanowić „łagodniejszą wersję słowa »orgazm«" i zapobiec kojarzeniu ASMR ze sferą seksualną.

Dziś, dekadę później – i z perspektywy wielu przyzwoitej jakości badań – można opisać coś w stylu „prototypowego ASMR". Jest to trwający kilka sekund dreszcz, rozpoczynający się zwykle na czubku lub z tyłu głowy, wędrujący w dół – czasem dochodzący do szyi i ramion, a czasem aż do stóp. Jest przyjemny, lekko drażniący, „bąbelkujący" – niektórzy porównują go do uczucia mrowienia. Co istotne, dreszcz ten pojawia się zwykle w odpowiedzi na konkretny, powtarzalny bodziec. W jednym ze sporych badań ankietowych zidentyfikowano następujące najczęstsze „wyzwalacze ASMR": szeptanie do ucha, strzyżenie lub gładzenie włosów, delikatne pukanie lub drapanie o stół w cichym pomieszczeniu oraz przyglądanie się komuś, kto powoli, uważnie i w ciszy rysuje, maluje, nakłada makijaż.

Badania fizjologiczne naświetliły jedną szczególnie interesującą cechę ASMR, która odróżnia to zjawisko od *frisson*: otóż w trakcie epizodu ASMR tętno spada, podczas gdy podczas „dreszczu estetycznego" rośnie (choć w obu przypadkach rośnie przewodnictwo skóry, które stanowi zgrubną miarę pobudzenia). ASMR ma więc swój unikalny „profil fizjologiczny", który można by, nieco chyba paradoksalnie, opisać jako „uspokajające pobudzenie". Gdy natomiast osoby przeżywające ASMR zbada się przy użyciu funkcjonalnego rezonansu magnetycznego, wyłania się równie interesujący „profil neuroanatomiczny", obejmujący, co zrozumiałe, układ nagrody oraz ośrodki związane z pobudzeniem emocjonalnym, ale też – co już ciekawsze – obszary aktywujące się przy okazji zachowań społecznych albo rozmyślania o relacjach międzyludzkich.

Młody chłopak w profesjonalnym studiu nagraniowym powoli ociera o siebie dwa drewniane klocki.

Fascynujące jest, jak brawurowo zjawisko to zawojowało internet. Już w pierwszej dekadzie XXI wieku pojawili się „artyści ASMR" (ASMRtists), publikujący filmy celowo skonstruowane tak, aby jak najskuteczniej wywoływać ASMR (obok nich istnieje spory rynek filmów „nieintencjonalnie ASMR-owych", pośród których absolutnym hitem są filmy amerykańskiego malarza Boba Rossa, który w latach 80. zachwycał obrazami powstającymi na oczach widzów w akompaniamencie jego spokojnego, optymistycznego monologu). Dziś jest to już mały przemysł, a filmy produkowane przez najpopularniejszych twórców oglądane są miliony razy, stanowiąc dla nich źródło przyzwoitego zarobku. Z czasem w światku ASMR zaczęły się też spontanicznie wyłaniać „podkategorie" widzów i twórców. Po wielu godzinach buszowania po mniej lub bardziej niepokojących zakątkach internetu mogę z grubsza wydzielić trzy główne podkategorie.

Stuki, szepty i przytulanie

Pierwszą z nich określam roboczo jako „czysto dźwiękową". To filmy wykonane często w komorze bezechowej, przy użyciu czułego sprzętu, czasem nagrywane ponadto stereo – tak, aby osoba słuchająca, koniecznie w słuchawkach, otrzymała symulację dźwięku trójwymiarowego. Praca twórcy polega tu głównie na wydawaniu różnego rodzaju szumów, szelestów i skrobań, przelewaniu płynów, bawieniu się błotem, ugniataniu ciasta, mlaskaniu wargami.

Przykład? Piętnastominutowy film, na którym chłopak w profesjonalnym studiu nagraniowym z namaszczeniem ociera o siebie dwa drewniane klocki albo powoli „strzyże" w powietrzu grubymi nożycami, tuż przy mikrofonie. W tej kategorii mieszczą się też „profesjonalni szeptuni" (szeptanie to potwierdzony numer jeden pośród „wyzwalaczy ASMR"), którzy potrafią godzinami szeptać do mikrofonu, niekiedy zupełnie przypadkowe bzdurki. Bywa, że na ekranie w ogóle nie pojawia się postać ludzka i jest jasne, że „wyzwalaczem" ASMR jest tu sam dźwięk.

Kategoria ta płynnie przechodzi w drugą, o charakterze „usługowo-empatycznym". Tutaj występują niemal wyłącznie młode kobiety, często atrakcyjne i starannie ubrane, symulujące różne zabiegi czy usługi: np. udając, że czeszą widzowi włosy albo malują paznokcie, zwykle szepcząc przy tym lub mówiąc przyciszonym głosem. Filmy tego typu wywołują wrażenie, jak gdyby trafiło się do salonu kosmetycznego przyległego do oświetlanej świecami strefy spa.

Jedna z pionierek YouTube'owej „sekcji ASMR", Maria (występująca jako ThePeacefulWhisperASMR), rozpoczęła swoją karierę od serii nagrań, w których wciela się w rolę pracowniczki agencji turystycznej, sprzedawczyni antyków albo okulistki, przez wiele minut powoli, przyciszonym głosem mówiąc wprost do kamery rzeczy stosowne dla danej roli, odpowiadając na fikcyjne pytania, uśmiechając się do swojego „klienta". Szczególną podgrupą są filmy o charakterze medycznym, na których lekarka powolutku „bada" uszy lub włosy (istnieją np. YouTube'owe symulacje przeczesywania włosów w poszukiwaniu wszy) albo opowiada o fikcyjnej procedurze medycznej, czasem naciągając już strzykawkę i uspokajając po wielokroć, że nie będzie bolało.

We flanelowej piżamce

Jest jasne, że mamy tu do czynienia z czymś odrębnym od „dreszczu muzycznego". Badacze ASMR zauważyli już dawno, że najbardziej zagorzali widzowie tych filmów odstają nieco od średniej w testach psychologicznych. Szczególnie

YOUTUBE LATE NIGHT TINGLES ASMR

Kadr z filmu pt. „(ASMR) Sleep Clinic: Follow the Light". Udawane badania lekarskie, jak przedstawiona tu wizyta w klinice zaburzeń snu, to popularny temat filmów wywołujących ASMR.

silne są różnice dotyczące empatii. Można to mierzyć np. przy pomocy takich zdań jak: „Czasami próbuję lepiej zrozumieć swoich przyjaciół, wyobrażając sobie, jak sprawy przedstawiają się z ich perspektywy" albo „Bardzo angażuję się w uczucia bohaterów powieści": „ASMR-owcy" wyraźnie częściej się z nimi zgadzają. Inaczej mówiąc, istnieje pewien aspekt ASMR, który wydaje się przemawiać do osób szczególnie silnie „nastrojonych" na cudze emocje. W 2013 r. Nitin Ahuja, lekarz przy szpitalu uniwersyteckim w University of Virginia, opublikował artykuł na temat ASMR i „klinicznego role-playingu", zastanawiając się wręcz, czy udawane badanie lekarskie nie może przynosić realnych korzyści zdrowotnych tym pacjentom, którzy po prostu potrzebują, mówiąc kolokwialnie, żeby „ktoś o nich zadbał".

W ten sposób płynnie docieramy do trzeciego „ogniska", które można by chyba określić jako „matczyno-opiekuńcze". Ot, opublikowany zaledwie kilka tygodni temu, a już wyświetlony setki tysięcy razy, trzydziestominutowy film, na którym pucołowata, piegowata dziewczyna w zaciemnionym pomieszczeniu odgrywa rolę opiekunki dziecięcej, pieczołowicie okrywając widza kołderką, szepcząc, uspokajając, a następnie cichutko czytając mu bajkę na dobranoc. Widzowie tych filmów raportują, że produkcje takie pomagają im zasnąć (w morzu „uspokajających dreszczy"), radzić sobie z trudnymi okresami w życiu czy wręcz zmagać się ze zdiagnozowanymi stanami depresyjnymi. Pokrewną kategorią są filmy, które można by chyba określić jako „symulator partnera", jak choćby ten, na którym ledwo widoczny w półmroku, przeciętnie atrakcyjny mężczyzna we flanelowej piżamce z głową na poduszce, 20 centymetrów od kamery, przez niemal godzinę uspokaja widza szeptem, że wszystko jest OK, co jakiś czas wpadając po prostu w długie „cśśśśśś... cśśśś...".

Jedną odnogą ASMR, która nigdy się nie przyjęła, jest „ASMR seksualne" – a, jak doskonale wiadomo, społeczność internetu podejmuje próbę seksualizacji wszystkiego, co istnieje (to tzw. reguła 34). Kolejne badania pokazują, że ASMR nie ma komponentu seksualnego. To już w badaniach Slobody nad „dreszczem muzycznym" wykryto więcej seksu (tak, udało się zidentyfikować podgrupę badanych, którzy przeżywali podniecenie w określonym momencie swojego ulubionego koncertu fortepianowego), a więcej wyświetleń niż nieliczne „niegrzeczne" ASMR-y razem wzięte ma film przedstawiający 70-letniego faceta otwierającego puszki z produktami spożywczymi albo ten pokazujący księdza w absolutnej ciszy przeprowadzającego sakrament Eucharystii.

Raport z poczekalni

Nawet po tak pobieżnym przeglądzie rynku ASMR staje się jasne, że nie jest to pojedyncze zjawisko psychologiczne: do oglądania tych filmów mogą kierować ludzi różne motywacje, a i sama nagroda dla widza może mieć rozmaity charakter. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest to kolejny spośród „wielkich małych fenomenów" – względnie powszechnych, ale tak subtelnych, osobistych i przy tym nieszkodliwych, że potrzebny jest spory upór, aby wprowadzić je do świata nauki.

W kolejce czekają kolejne takie zjawiska, nierzadko wyciągnięte na światło dzienne właśnie dzięki potędze internetu: czasem wystarczy jedna uwaga rzucona mimochodem na jakimś forum, aby następnego dnia tysiące ludzi z całego świata w podnieceniu raportowało, że przecież całe życie tak mają, tylko nigdy nie było okazji, żeby o tym porozmawiać. Kluczowe jest nadanie takiemu fenomenowi imienia, najlepiej brzmiącego naukowo i obco.

Parę przykładów? Z rzeczy o dłuższej historii można by wymienić choćby poczucie, że ma się coś na końcu języka (nazywane czasem *lethologica*) albo uczucie, że ktoś na nas patrzy (skopestezja), któremu czasem towarzyszy mrowienie na karku. Względnie świeża jest natomiast historia efektu Baader-Meinhof występującego wtedy, jeśli w pewnym momencie usłyszy się jakieś rzadkie słowo, a w najbliższych dniach i tygodniach zaczyna się ono pojawiać wszędzie – w przypadkowych rozmowach, artykułach...

Te zjawiska doczekały się już swoich badaczy. W poczekalni przed gabinetem medycyny można natomiast spotkać choćby *call of the void*, czyli „wołanie pustki" (a może zew przestrzeni?; jak widać, brak mu jeszcze mądrze brzmiącej nazwy): występująca u osób stojących na brzegu przepaści przemożna chęć skoczenia w dół, połączona czasem z odczuwaniem fizycznego przyciągania ku brzegowi – choć osoby takie nie mają żadnych skłonności samobójczych i w istocie ostatecznie nie decydują się na skok.

To piękne czasy dla badań umysłu i mózgu: po dekadach badań nad „nisko wiszącymi owocami", jak widzenie, inteligencja czy pamięć, przyszła pora na te wszystkie subtelne, nienazwane fenomeny, które odpowiadają za bogactwo ludzkiego świata przeżywanego. Niespodziewana pomoc napływa ze strony internetu – ta jego niesławna cecha, że każdy może w nim napisać o choćby najbardziej trywialnej rzeczy, w końcu na coś się przydała.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Umysł na sześciu nogach

MATEUSZ HOHOL, BARTOSZ BARAN

Pomimo mózgów niewielkich rozmiarów, niektóre gatunki owadów przejawiają wyrafinowane zdolności poznawcze i szeroki repertuar zachowań, jakich nie powstydziłyby się ssaki. Włączając w to nas – ludzi.

Kartezjusz twierdził, że umysł jest czymś zupełnie innym od ciała (w tym mózgu). Spekulował przy tym, że interakcje między nimi zachodzą w szyszynce. Stwierdził również, że ludzie różnią się od innych zwierząt fundamentalną kwestią. Każdy człowiek ma umysł (w nomenklaturze Kartezjusza „rzecz myślącą"), a wszystkie zwierzęta są maszynami (zbudowanymi z „rzeczy rozciągłej"), których zachowań nie należy wyjaśniać w oparciu o jakiekolwiek pojęcia psychologiczne. O ile pogląd Kartezjusza o separacji umysłu i ciała nie ma dziś zbyt wielu sympatyków wśród psychologów, neuronaukowców i kognitywistów, o tyle traktowanie zwierząt jako pozbawionych umysłu maszyn było sankcjonowane przez badaczy zachowań zwierząt jeszcze do niedawna.

Co najmniej od czasu „rewolucji poznawczej", która w nauce rozpoczęła się w drugiej połowie lat 50. XX w., termin „umysł" zmienił swoje znaczenie. Przestał być pojedynczą, prostą „rzeczą", która nie ma zbyt wiele wspólnego z mózgiem i resztą ciała. Stał się raczej pojęciem zbiorczym na wiele dających się badać empirycznie zdolności poznawczych, takich jak rozpoznawanie wzorców, nabywanie wiedzy o świecie i współtowarzyszach oraz wykorzystywanie tej wiedzy w elastycznej kontroli własnego zachowania. Funkcje te, oraz wiele innych, realizowane są przez złożone sieci komórek mózgu.

Tysiące badań przeprowadzonych na przestrzeni kilku ostatnich dekad wskazało, że w zadaniach polegających na rozwiązywaniu różnych problemów zwierzęta, których mózgi są zbliżone budową do mózgu ludzkiego, wypadają podobnie do nas. Choć naukowcy spierają się wciąż w wielu kwestiach, takich jak np. świadomość zwierząt, dziś ekstrawagancją byłaby teza, że zwierzęta pozbawione są funkcji poznawczych. Coraz więcej badaczy zwraca się ku etologii kognitywnej, której celem jest badanie umysłów zwierząt. I choć dotyczy to głównie kręgowców, a zwłaszcza ssaków, dysponujemy także coraz większą ilością danych, które sugerują, że nawet owady – których mózgi są znacznie mniejsze i inaczej zorganizowane – nie są po prostu kartezjańskimi automatami, działającymi wedle ściśle ustalonych programów genetycznych.

S.E. THORPE / WIKIMEDIA.COM

Owadzia natura

Historia naturalna owadów jest bardzo długa. Pierwsze z nich pojawiły się prawie 500 mln lat temu, znacznie wcześniej niż dinozaury. Dziś owady zamieszkują rozmaite nisze środowiskowe, począwszy od naszych mieszkań, przez lasy, pola i rzeki, aż po gorące pustynie, głębokie jaskinie i górskie szczyty. Dotychczas opisano ponad milion gatunków owadów. Najmniejsze nie dorastają długością milimetra, jak choćby **KIKIKI HUNA** z rodziny rzęsikowatych (0,16 mm, po lewej), największe zaś, jak **STRASZYKI CHIŃSKIE** (*Phryganistria chinensis zhao*, poniżej), mają ponad 60 centymetrów. Pomimo tych różnic,

ZHAO LI / GOOGLE ARTS & CULTURE

owady charakteryzują się wspólnym planem anatomicznym. Są bezkręgowcami, nie mają więc kręgosłupa, a jako stawonogi posiadają zewnętrzny pancerz, organizujący ich ciało w trzy charakterystyczne segmenty (nawiasem mówiąc, łacińskie *insectum* oznacza „podzielony"): odwłok, który jest kluczowy dla funkcji rozrodczych, tułów, do którego przytwierdzone są narządy ruchu, oraz głowę.

Jednym z powodów, dla których Karol Linneusz, XVIII-wieczny autor wielkiej systematyki życia uznał, że owady przynależą do odrębnej gromady zwierząt, miał być rzekomy brak mózgu. Na rzecz tej tezy świadczyć miało to, że zdekapitowany owad może przez pewien czas się poruszać, a nawet rozmnażać. Dziś wiemy, że jest to możliwe dzięki zwojom nerwowym, które znajdują się w każdym segmencie ciała i funkcjonują względnie niezależnie od siebie. Głowy owadów mieszczą jednak w sobie mózgi, będące – podobnie jak w przypadku ludzi i innych zwierząt – poznawczym „cen-

trum dowodzenia". Owadzimi mózgami zachwycał się już zresztą Karol Darwin. W traktacie „O pochodzeniu człowieka" napisał nawet, że „mózg mrówki jest jednym z najcudowniejszych atomów materii, wznioślejszym może niż mózg człowieka" (przeł. L. Masłowski, 1874). Przyjrzyjmy się najpierw temu, jak zbudowany jest ten „atom materii", a następnie – co potrafi.

Oczy na penisie

Owadzi mózg przez setki milionów lat ewoluował niezależnie od mózgów kręgowców, dlatego nie znajdziemy w nim struktur takich jak kora mózgowa, ciało migdałowate czy też szyszynka, którą tak upodobał sobie Kartezjusz. Mózg owada ma inną strukturę. Składa się ze zwojów, czyli skupisk neuronów, tworzących trzy płaty: przodomóżdże (*protocerebrum*), śródmóżdże (*deutocerebrum*) i zamóżdże (*tritocerebrum*). Każdy z tych płatów pełni różne funkcje. Pierwszy połączony jest nerwem wzrokowym z oczyma. Płat ten również przetwarza i integruje – w tzw. ciałach grzybkowatych i ciele centralnym – informacje docierające za pośrednictwem innych zmysłów. Ciała grzybkowate i ciało centralne odgrywają kluczową rolę w uczeniu się nowych umiejętności i orientacji przestrzennej, podobnie jak hipokamp w przypadku ludzi i innych ssaków. Śródmóżdże unerwia czułki owada i przetwarza zbierane przez nie informacje, zamóżdże zaś łączy mózg z unerwionymi narządami jamy gębowej oraz narządami wewnętrznymi, m.in. układu pokarmowego.

Owady poznają świat za pomocą tych samych zmysłów co ludzie, jednak sama konstrukcja narządów percepcyjnych jest diametralnie inna. Oto garść przykładów: wiele owadów dysponuje układem wzrokowym będącym kombinacją oczu prostych i oczu złożonych.

ANDREAS TREPTE / WWW.PHOTO-NATUR.NET

PSZCZOŁA MIODNA (*Apis mellifera*, powyżej) posiada parę dużych oczu złożonych oraz trzy umieszczone między nimi („na czole") oczy proste (tzw. „przyoczka"). Oczy złożone owadów składają się z kilku lub nawet kilkudziesięciu tysięcy podjednostek – tzw. ommatidiów, z których każde wyposażone jest w swój własny miniaturowy aparat optyczny. Przodomóżdże owada musi poradzić sobie z łączeniem obrazów ze wszystkich tych struktur w spójną całość. W rezultacie ich obraz świata jest szerokokątny, ale mocno ziarnisty (wyobraźmy sobie zdjęcie panoramiczne o niskiej rozdzielczości, które razi nas dużymi pikselami). Ten skomplikowany układ wzrokowy dostarcza jednak owadom specyficznych zdolności. Pszczoły widzą w ultrafiolecie, co sprawia, że jednokolorowe dla nas kwiaty mienią się dla nich całą feerią barw (nie widzą one za to światła czerwonego). Co więcej, pszczoły rozróżniają polaryzację światła, co ułatwia im orientowanie się w przestrzeni nawet w pochmurne dni.

ENTOMOLO / WIKIMEDIA.COM

Oczy „na czole" nie są najdziwniejszym rozwiązaniem w świecie owadów. Niektóre z nich dysponują oczami poza głową, by wymienić tylko umieszczone na penisie oczy samca **MOTYLA** paziowatego (*Papilio*, powyżej). Również zmysł węchu realizowany jest u owadów zupełnie inaczej niż w przypadku ludzi – nie za pomocą nosów, ale czułków. Narząd ten odbiera również bodźce smakowe, dotykowe, słuchowe oraz rejestruje temperaturę i wilgotność. Narządem słuchu są z kolei membrany wibracyjne, zlokalizowane w przeróżnych miejscach ciała – u świerszcza, przykładowo, na przednich odnóżach.

Znajome twarze

Owady różnią się pod względem zaawansowania poznawczego czy też – potocznie mówiąc – inteligencji. Do tych, które uchodzą za „najbardziej inteligentne", należą osy, pszczoły miodne, trzmiele oraz mrówki, które na co dzień muszą radzić sobie w środowisku znacznie bardziej zmiennym i złożonym niż np. owady zamieszkujące ciemne jaskinie (tzw. troglobionty). Przykładowo, mózg komara liczy około stu tysięcy neuronów, podczas gdy pszczoły miodnej około miliona. U ssaków najczęściej wskazuje się, że zaawansowanie poznawcze koreluje z objętością przedniej części płata czołowego, u owadów zaś zaobserwowano związek między wielkością ciał grzybkowatych, umieszczonych w przodomóżdżu, a pojemnością pamięci i ogólną „inteligencją". Podobnie jak w przypadku kręgowców, zaawansowanie poznawcze owadów idzie również w parze z bogatym życiem społecznym, które wiąże się z rozpoznawaniem innych osobników, komunikowaniem się z nimi, przekazem wiedzy i kształtowaniem nowych umiejętności.

Dziś wiemy, że rozpoznawanie twarzy jest czynnością, z którą świetnie radzą sobie nawet proste sztuczne sieci neuronowe. Przez długi czas sądzono jednak, że czynność ta wymaga wyspecjalizowanych struktur mózgowych, występujących jedynie u ssaków. Ważnego odkrycia, które pozwoliło przełamać ten pogląd, dokonali w 2005 r. Adrian Dyer, Christa Neumeyer oraz Lars Chittka. Wcześniej wiadomo było, że owady potrafią rozpoznawać się wzajemnie, jednak badacze ci nauczyli pszczoły miodne rozpoznawać twarze ludzkie. Udało im się uwarunkować (stosując system nagród) owady tak, aby podlatywały do zdjęć zapamiętanych twarzy, unikając jednocześnie zdjęć twarzy podobnych, ale różniących się pewnymi niuansami. Następnie sprawdzono, jak pszczoły radzą sobie z tym zadaniem, jeśli nie otrzymują żadnych nagród.

Owady uzyskały poprawność rzędu 80 proc., co nie odbiega zbytnio od wykonania analogicznego zadania przez ludzi. Co więcej, badacze zaobserwowali znany z badań nad percepcją u ludzi efekt inwersji: sprawność rozpoznawania twarzy przez owady drastycznie spadała, jeśli obrazy odwrócone były o 180 stopni.

Mistrz i uczeń

Chyba najbardziej znanym sposobem komunikacji społecznej owadów są tańce pszczół. Istnieje jednak sposób komunikacji, co do którego jeszcze niedawno sądzono, że zarezerwowany jest tylko dla człowieka – nauczanie. W przypadku ludzi powiedzielibyśmy, że nauczanie jest czynnością intencjonalną. Nie mamy ↦

↦ jednak dostępu do domniemanych intencji owadów. Dlatego też przyjmuje się, że w świecie zwierząt (nie tylko owadów) nauczanie zachodzi po spełnieniu kilku warunków: nauczyciel potrafi coś, czego nie potrafi uczeń, przekazanie wiedzy jest kosztowne dla nauczyciela (wymaga np. poświęcenia czasu), a uczeń przyswaja umiejętność szybciej, niż gdyby miał do niej dojść samodzielnie metodą prób i błędów.

APRIL NOBILE C.C.3.0

TEMNOTHORAX ALBIPENNIS (powyżej) to niewielka mrówka budująca gniazda w skalnych szczelinach. Nigel R. Franks z Uniwersytetu w Bristolu oraz Tom Richardson z Uniwersytetu w Lozannie opisali w 2006 r. na łamach „Nature" zjawisko „biegu tandemowego" robotnic tego gatunku. Okazuje się, że mrówki, które odkryły nowe miejsce do żerowania, przekazują tę wiedzę innym osobnikom. W jaki sposób? Podczas wspólnej drogi nauczycielka co jakiś czas zatrzymuje się i czeka (ponosi więc koszt) na uczennicę, która z kolei co jakiś czas „melduje" gotowość do dalszej drogi poprzez dotknięcie nauczycielki czułkami. W ten sposób para robotnic dociera do lokalizacji, w której znajduje się pokarm, a świeżo wykształcona mrówka może zacząć jego zbieranie lub zwerbować, w analogiczny sposób, kolejne robotnice.

Jeszcze mniej oczywisty przejaw zdolności nauczania, sugerujący predyspozycje do przekazu kulturowego, zaobserwowano u trzmieli ziemnych (*Bombus terrestris*). Zespół badaczy pod kierownictwem znanego nam już Larsa Chittki opisał w „PLOS Biology" w 2016 r. wyniki pomysłowego badania. Uczeni zbudowali sztuczne niebieskie kwiaty, których środek wypełniony był słodką wodą. Trzmiele nie mogły jednak w prosty sposób dostać się do nagrody, ponieważ środek „kwiatu" znajdował się pod przezroczystą szybą. Owady mogły jednak przyciągnąć do siebie cały „kwiat", chwytając za przytwierdzony do niego sznurek. Po kilkugodzinnych próbach część trzmieli nauczyła się wykonywać to nieoczywiste zadanie, co już samo w sobie jest imponującym przejawem owadziego sprytu. Badacze sprawdzili jednak, co stanie się, jeśli do układu eksperymentalnego z wytrenowanym trzmielem wprowadzą nowicjusza. Okazało się, że większość trzmielich nowicjuszy potrafiła przejąć zdolność wyciągania „kwiatu" za sznurek i zastosować ją samodzielnie (polecamy przekonać się o tym na własne oczy, wpisując, „Bumblebees learned to pull strings for reward" w serwisie YouTube).

Lekcja futbolu

Chittka i koledzy zinterpretowali powyższy wynik stwierdzając, że „owady posiadają zdolności poznawcze niezbędne do przekazu kulturowego". W odpowiedzi podniosły się jednak krytyczne głosy sugerujące, że takie zachowanie nie odbiega zbytnio od wyzwań, z jakimi trzmiele mogą spotykać się w środowisku naturalnym i być może w doświadczeniu wykazano „zaledwie" nieznany dotychczas wzorzec behawioralny. Wszak nietrudno sobie wyobrazić, że trzmiele mogłyby posiadać taką zdolność chociażby po to, żeby odblokować wlot do gniazda zasypany przez wiatr patyczkami. Londyńscy badacze odpowiedzieli na krytykę, projektując kolejny eksperyment, w którym trzmiel uczony był wtaczania kulki do dołka w zamian za kroplę wody z cukrem, czyli sytuacji bardziej odpowiadającej grze w piłkę niż jakiejkolwiek czynności, której poświęcają się trzmiele żyjące poza uniwersyteckim laboratorium (można to zobaczyć wpisując w YouTube hasło „Bees learn how to play soccer").

> Podobnie jak w przypadku kręgowców, zaawansowanie poznawcze owadów idzie w parze **z bogatym życiem społecznym.**

Rezultaty ukazały się w 2017 r. w „Science". Trzmiele były nie tylko w stanie uczyć się wykonywania tego zadania od siebie nawzajem, lecz również kiedy jego wykonanie demonstrował eksperymentator poruszający kulkę za pomocą magnesu. Co więcej, trzmiele wykazywały niespodziewaną plastyczność uczenia się. W jednym z wariantów na arenie znajdowały się trzy kulki. Podczas demonstracji do dołka zawsze wtaczana była tylko najbliższa z nich. Podczas testu zarówno tę najbliższą, jak i środkową kulkę przyklejono do areny tak, aby trzmiel nie był w stanie ich poruszyć. Po zapoznaniu się z sytuacją owad, zamiast błąkać się po arenie w zakłopotaniu, zdobywał zasłużoną nagrodę, wtaczając do dołka najodleglejszą z kulek, co wskazuje, że generalizował on nowo nabytą zdolność na inne przypadki.

Owadem jestem

Jedna z najgorętszych dyskusji wokół zwierzęcych umysłów dotyczy świadomości, a konkretnie świadomości samego siebie. Ze względu na subiektywny charakter, świadomość jest zjawiskiem niezwykle trudnym do badania nawet w przypadku ludzi.

Badania zwierząt są jeszcze trudniejsze, ponieważ nie można po prostu zapytać ich, co myślą (o ile chce się oczywiście usłyszeć odpowiedź). Pomimo tego badacze zaproponowali metody testowania samoświadomości zwierząt, z których najsłynniejszą jest test lustra, opracowany przez amerykańskiego psychologa Gordona Gallupa. Procedura jest następująca: uśpionemu zwierzęciu maluje się na czole kropkę, a gdy się przebudzi, konfrontuje się je z własnym odbiciem w lustrze. Jeśli zwierzę będzie próbować zetrzeć kropkę z własnego czoła, można przypuszczać, że jest samoświadome (lub przynajmniej potrafi odnieść obraz w lustrze do czegoś „własnego"), jeśli zaś z lustra – to odmawia się mu tej zdolności. Test lustra przeszło pomyślnie dotychczas sporo gatunków kręgowców (delfiny, małpy człowiekowate, niektóre ptaki, a może nawet pewien gatunek ryby).

Biorąc dodatkowo pod uwagę międzygatunkowe podobieństwa neurobiologiczne, grupa naukowców z całego świata podpisała w Cambridge w 2012 r. słynną, ale niestety mało precyzyjną deklarację na temat świadomości zwierząt. Uznali oni, że ssaki oraz ptaki, a nawet bezkręgowce (bezpośrednio wymienione zo-

stały tylko ośmiornice) traktować należy jako istoty świadome.

Co z owadami? Etolog kognitywny Andrew Barron wraz z filozofem Colinem Kleinem stwierdzili śmiało na łamach czasopisma „PNAS", że konstrukcja owadzich mózgów jest wystarcząco zaawansowana, by umożliwiać im świadome doświadczanie siebie i świata. Możliwość to jednak jeszcze nie fakt. Pięć lat temu Roger i Marie-Claire Cammaertsowie sprawdzili, jak z testem lustra radzą sobie mrówki. Badacze namalowali niebieskie kropki na główkach mrówek (dokładnie na nadustku, gdzie znajduje się górna warga owada). Po przebudzeniu mrówki zachowywały się normalnie. Ale gdy umieszczono je przed lustrem, niemal natychmiast zbliżały się do szkła, tak jakby chciały przyjrzeć się sobie bliżej, próbowały zetrzeć farbę za pomocą przednich odnóży i dotykały jej czułkami.

Badanie zostało skomentowane niedawno przez samego Gallupa. Wytknął szereg nieścisłości metodologicznych, którymi obarczone były eksperymenty (dodajmy, że w przeciwieństwie do wszystkich omawianych wyżej wyników, test lustra u mrówek został opisany w mało prestiżowym piśmie). Gallup stwierdził ponadto, że badane gatunki mrówek mają zbyt słabe zdolności wzrokowe, by rozpoznawać same siebie za pomocą tego zmysłu. Wreszcie, ponieważ zwierzęta o znacznie większych mózgach i lepszym wzroku potrzebują sporo czasu i treningu, by w ogóle nauczyć się korzystać z lustra, jest mało prawdopodobne, by mrówki mogły poradzić sobie z nowym zadaniem natychmiastowo. Na koniec warto również zauważyć, że test lustra jako probierz posiadania samoświadomości ma wielu krytyków, ale to już zupełnie inna historia.

Można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że owady nie mają samoświadomości podobnej do naszej. Ponieważ jednak świadomość nie działa na zasadzie „wszystko albo nic", to nie oznacza jeszcze, że nie posiadają one jakiejś prostszej formy samowiedzy. A już z pewnością nie są kartezjańskimi automatami, pozbawionymi wszelkiej umysłowości.

© MATEUSZ HOHOL, BARTOSZ BARAN

Dostęp bezpośredni

ŁUKASZ KWIATEK

Postępy w informatyce i neuronauce umożliwiły połączenie mózgu z komputerem – a nawet z innym mózgiem.

ADOBE STOCK

Czterech mężczyzn i dwie kobiety siedziało przed monitorem, który co jakiś czas intensywnie migał. W pobliżu niemal zupełnie nieruchomo leżało sześć białych szczurów laboratoryjnych – jedynie ich długie ogony od czasu do czasu rytmicznie się poruszały. Za każdym razem działo się to dokładnie wtedy, gdy człowiek przed monitorem przynajmniej przez cztery sekundy wpatrywał się w jasną, migającą plamę. Gdy na chwilę odwracał wzrok lub przymykał oczy – ogon szczura zwisał bezwładnie.

Ta czasowa synchronizacja nie była przypadkowa. Przedstawiciele obu gatunków ssaków byli uczestnikami badania opisanego w 2013 r. przez Seung-Schik Yoo i współpracowników. To jeden z pierwszych eksperymentów, w których udało się połączyć, przy użyciu komputera i dwóch technik stosowanych w neuronauce ↦

↦ (EEG i tFUS), dwa mózgi – człowieka i szczura.

Osoby siedzące przed komputerami miały na głowach czepek z elektrodami, które pozwalały mierzyć aktywność elektryczną ich mózgów – technika ta znana jest jako elektroencefalografia, EEG. Dobrowolne skupienie wzroku na migającym ekranie wywoływało specyficzny sygnał w mózgu, rejestrowany przez elektrody. W odpowiedzi na ten sygnał komputer generował fale ultradźwiękowe (to tzw. technika tFUS), które wycelowano w konkretny obszar kory mózgowej szczura, odpowiedzialny za kontrolę ruchów ogonem. Zwierzęta były uśpione, ale ich neurony motoryczne, aktywowane przez ultradźwięki, wprawiały ogon w ruch.

Przypadek Hansa Bergera

Ponad 120 lat wcześniej 19-letni Hans Berger zakończył pierwszy semestr studiów i zgłosił się na roczne szkolenie wojskowe. Trafił do kawalerii. Któregoś dnia podczas ćwiczeń spadł z konia, a po kilku godzinach dotarł do niego telegram od ojca, który pytał, czy wszystko z nim w porządku. Członkowie rodziny nie mogli jeszcze usłyszeć o wypadku, nie mieli też zwyczaju kontaktować się z Hansem w ten sposób. Postanowili jednak do niego napisać, ponieważ siostra Hansa miała dziwne przeczucie, że coś złego musiało mu się przydarzyć. Berger uznał, że jego umysł musiał wysłać informację o wypadku bezpośrednio do umysłu jego siostry – czyżby więc telepatia? Cała sprawa tak bardzo go zaintrygowała, że postanowił zrezygnować z planowanej kariery astronomicznej i zająć się badaniem natury zjawisk psychicznych.

Trzy dekady później Berger, pracujący już w Jenie jako psychiatra, dokonał epokowego odkrycia. Zauważył, że przyłożone do czaszki elektrody pozwalają rejestrować zmiany potencjału elektrycznego, a zapis tych zmian zależy m.in. od aktywności podejmowanej przez człowieka. Tak powstała EEG – pierwsza technika pozwalająca na obrazowanie pracy mózgu. Jej produktem są słynne wykresy fal mózgowych, które Berger opisywał i przyporządkowywał do różnych stanów: m.in. odpoczynku, snu, intensywnego myślenia.

Środowisko naukowe z początku sceptycznie odnosiło się do możliwości i wiarygodności tej metody, ale już w czasie drugiej wojny światowej EEG posługiwali się lekarze i badacze na całym świecie. Technika ta wspaniale sprawdzała się m.in. w badaniach diagnostycznych osób z zaburzeniami snu, zapaleniem mózgu, udarami czy padaczką; otwarła także drogę do wielu odkryć dotyczących funkcjonalnej organizacji mózgu. Choć sporą wadą EEG jest niska rozdzielczość przestrzenna – przyłożone do czaszki elektrody rejestrują skutek aktywności elektrycznej wyłącznie dużych grup płytko położonych komórek nerwowych – to jednak łatwość użycia, mobilność, świetna rozdzielczość czasowa (szybka rejestracja zachodzących zmian) i niskie koszty powodują, że to ciągle jedna z najpopularniejszych nieinwazyjnych technik neuroobrazowania. Dziś istnieje na jej temat ogromna literatura i zidentyfikowano wiele rodzajów fal odpowiadających różnym bodźcom czy sposobom ich prezentacji. Z tych wszystkich powodów chętnie wykorzystują ją także twórcy interfejsów mózg-komputer (BCI – ang. brain-computer interface) i mózg-komputer-mózg (BBI – ang. brain-brain interface).

Ci ostatni, łącząc techniki neuroobrazowania i neurostymulacji, od kilku lat wykonują eksperymenty, o jakich marzył Hans Berger. Telepatia bowiem istnieje – tyle że wymaga odpowiedniej technologii.

Malowanie umysłem

Poruszanie szczurzym ogonem samo w sobie nie jest zbyt wymagającym intelektualnie zadaniem – w końcu miliardy szczurów robią to każdego dnia – ale w eksperymencie Yoo i współpracowników niezwykłe było to, że szczurzym ogonem wymachiwał w zasadzie mózg człowieka. To człowiek decydował bowiem, z własnej woli, skupiając wzrok na ekranie, czy i kiedy wprawić w ruch część ciała zwierzęcia – podobnie jak większość ludzi może swobodnie zdecydować, kiedy ruszyć własną kończyną. Wyjątkiem są oczywiście osoby sparaliżowane. To głównie z myślą o nich od wielu lat projektuje się interfejsy mózg-komputer.

Schemat ich działania jest dość prosty: rejestracja ściśle zdefiniowanej aktywności mózgu (np. przy użyciu wszczepionych do mózgu elektrod albo technik nieinwazyjnych, takich jak EEG) powoduje wysłanie do komputera sygnału, który w odpowiedzi wykonuje jakieś zadanie. Często związek pomiędzy aktywnością mózgu a wywoływaną czynnością jest arbitralny: uczestnik badania może być na przykład poinstruowany, że aby przemieścić robotyczną rękę w określoną stronę, należy skupić uwagę na określonej części ekranu, wyobrazić sobie ruch lewą bądź prawą częścią ciała (czym sterują różne półkule mózgowe) albo pomyśleć o czymś przyjemnym. Tego typu komunikacja z komputerem wymaga od użytkownika odpowiedniego, czasem trwającego wiele miesięcy treningu.

W ostatnich latach różni pacjenci, w tym osoby ze zdiagnozowanym zespołem zamknięcia (zob. artykuł Marcina Miłkowskiego na str. 84), byli w stanie nauczyć się w ten sposób poruszać kursorem na ekranie komputera, m.in. po to, by obsługiwać syntezator mowy albo sterować ramieniem robota. Dwoje sparaliżowanych niemieckich artystów – Heide Pfützner i Jürgen Thiele – przy pomocy BCI stworzyło nawet serię prostych komputerowych obrazów.

Całkowicie sparaliżowanym pacjentom tego rodzaju „protezy" mogą w ogromnym stopniu podnieść jakość życia. Niektórzy badacze w takich metodach widzą potencjał rehabilitacyjny – korzystanie z nich ma pobudzać, a może nawet reorganizować uszkodzony mózg, ostatecznie prowadząc do częściowego przywrócenia kontroli nad ciałem. Także osoby zdrowe mogą czerpać korzyści ze stosowania dodatkowych, robotycznych kończyn, nad którymi kontrola byłaby sprawowana bezpośrednio przez mózg. Potencjał tej technologii wydaje się olbrzymi, także ze względu na ciągłe postępy w robotyce, projektowaniu aplikacji mobilnych oraz coraz lepsze techniki neuroobrazowania i odczytywania przez komputer map aktywności mózgu.

Atak piratów

Interfejsy mózg-komputer-mózg idą o krok dalej. Po tym, jak sygnał z mózgu trafi do komputera, jest on interpretowany i przetwarzany na sygnał wysyłany do kolejnego mózgu – dzięki stosowaniu którejś z wielu technik stymulowania neuronów. Nie muszą to być komórki nerwowe szczurów – odbiorcami takich sygnałów byli już ludzie.

W 2014 r. Rajesh Rao i współpracownicy zaprojektowali grę komputerową dla dwóch osób. Ich zadaniem była obrona miasta przed atakami pirackiego

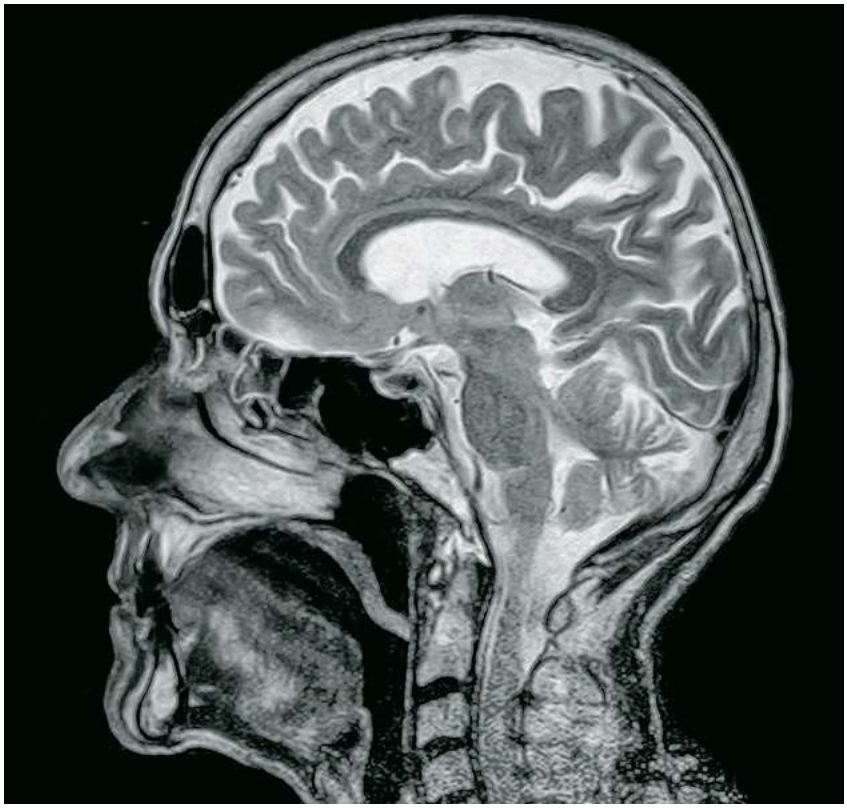

CC0 PUBLIC DOMAIN

Skany mózgu metodą funkcjonalnego rezonansu magnetycznego (na zdj.) mają dobrą rozdzielczość przestrzenną, ale nie da się ich wykonać w warunkach domowych. Dlatego interfejsy mózg-komputer opierają się na starym, dobrym EEG, które mierzy aktywność elektryczną w zewnętrznej warstwie mózgu.

statku, raz za razem odpalającego rakiety; gracze kontrolowali działko, które śledziło pociski i pozwalało je zestrzeliwać, zanim doleciały do celu. Dla utrudnienia na niebie czasem pojawiał się przyjacielski samolot, do którego nie należało strzelać. Tylko jeden z graczy (Nadawca) miał przed sobą ekran z grą – zaś drugi (Odbiorca) – siedzący w zupełnie innym budynku, oddalonym o milę – kontrolował działko. Nadawca mógł więc strzelać do statków wyłącznie za pośrednictwem Odbiorcy. Komunikacja następowała zaś wyłącznie poprzez BBI.

Podpięty do EEG komputer rejestrował zamiar zestrzelenia rakiety: Nadawca wyobrażał sobie ruch prawą ręką i w ten sposób przesuwał kursor nad przycisk „ognia!". Po najechaniu na ten przycisk komputer w drugim budynku otrzymywał sygnał, który przetwarzał na impuls elektromagnetyczny wycelowany w ściśle określony obszar kory ruchowej Odbiorcy (stosowano przezczaszkową stymulację magnetyczną – TMS). Impuls aktywował odpowiednie komórki nerwowe, co prowadziło do ruchu palca umiejscowionego nad guzikiem, który odpalał działko w grze. Jeśli wszystko odbyło się wystarczająco szybko, program zaliczał zestrzelenie rakiety. Jeśli zamiast pocisku pojawiał się przyjacielski samolot, Nadawca nie wyobrażał sobie żadnego ruchu ręką – dzięki czemu do mózgu Odbiorcy nie trafiał żaden impuls prowadzący do pociągnięcia za spust. Jedna z trzech par graczy osiągnęła godną podziwu skuteczność przekraczającą 80 proc. zestrzeleń. W późniejszej wersji tego eksperymentu – w której wykorzystano uproszczoną wersję Tetris – udało się też połączyć ze sobą dwóch Nadawców z jednym Odbiorcą. Co ciekawe, mózg Odbiorcy potrafił „pogodzić" ze sobą sygnały pochodzące z dwóch źródeł, szybko ucząc się odróżniać źródło „wiarygodne" od „niewiarygodnego" (niektóre sygnały były celowo zaszumione).

Rozszerzona jaźń

Ograniczenia zastosowanych metod są oczywiste – z mózgu do mózgu przesyłany był tylko jeden bit informacji (w grę wchodził tylko jeden z dwóch stanów: strzelać do rakiety czy nie, obrócić klocek czy nie). Nie wygląda więc na to, by w najbliższym czasie BBI mogły np. wyprzeć telefony – niezastąpione narzędzie umożliwiające transfer informacji z mózgu do mózgu na dużych odległościach. Trudno sobie także wyobrazić zbiorowe rozwiązywanie problemów wyłącznie w oparciu o przekaz informacji za pośrednictwem BBI, choć i o takich zastosowaniach fantazjują niektórzy badacze. Inni marzą nawet o osiągnięciu „czystej", nieskażonej językowymi niedoskonałościami komunikacji między ludźmi. Ileż razy nie byliśmy w stanie się wysłowić czy przelać na papier głębi naszych myśli – tylko dlatego, że język nie ma świadomego dostępu do tego wszystkiego, co dzieje się w mózgu. Problem w tym, że sieci połączeń neuronalnych w naszych mózgach prawdopodobnie mocno się różnią między jednostkami, zwłaszcza gdy idzie o kodowanie informacji semantycznych. Przekazanie takiego samego wzorca pobudzenia mózgu mogłoby więc wywołać u odbiorcy zupełnie inne myśli. Tym zaś, co te sieci w jakimś stopniu upodabnia i sprawia, że jednak czasem się dogadujemy, jest właśnie ten niedoskonały język.

Wątpliwości te nie oznaczają oczywiście, że badacze zabrnęli w ślepą uliczkę. Niezwykły potencjał BCI i BBI związany jest z plastycznością naszych mózgów i ich zdolnością do integrowania informacji zwrotnych płynących z otoczenia. Uczenie się obsługi nowych elementów – robotycznych ramion, aplikacji mobilnych, a nawet części ciała innych organizmów – wyłącznie mózgiem może przypominać trochę uczenie się przez niemowlę precyzyjnych ruchów kończynami i odkrywanie własności swojego ciała. Na tej podstawie mózg tworzy obraz ciała, będący fundamentem naszego poczucia „ja". Być może BCI i BBI pozwolą na dodanie do tego obrazu nowych elementów, które zastąpią lub uzupełnią nasze naturalne kończyny – podatne na zużycie i mniej funkcjonalne wraz z wiekiem. Dzięki temu nadal będziemy czuli się sobą, nawet jeśli zmieni się nasz wygląd czy możliwości.

Hans Berger powiesił się w 1941 r., po latach walki z depresją. Nie doczekał zasłużonej Nagrody Nobla. Interfejsy mózg-komputer lub mózg-komputer-mózg, które do dzisiaj opierają się na technice wymyślonej przez Bergera, z pewnością taką nagrodę kiedyś komuś przyniosą.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Opętanie z zapalenia

BARTOSZ KABAŁA

Z całego świata znane są historie ludzi, których zachowanie nagle niepokojąco się odmienia – „jakby wstąpił w nich demon". Przyczyną może być jednak zdezorientowany układ odpornościowy.

Szesnastoletnia dziewczyna, znana dziś jako A., mieszkała wraz z ojcem, czwórką rodzeństwa i przybraną matką w jednym z brytyjskich miasteczek. Biologiczna matka odebrała sobie życie, gdy A. miała 6 lat. Pomimo tej traumy, jak podawał jej ojciec, A. uczyła się dobrze i utrzymywała normalny kontakt z rówieśnikami. Gdy miała 12 lat, trafiła do poradni psychiatrycznej z powodu „niewłaściwych zachowań seksualnych". Właśnie około szesnastego roku życia pojawiły się natręctwa, jak przymus symetrycznego układania przedmiotów. Dziewczyna zgłaszała myśli, które ktoś „wsadził jej do głowy". Twierdziła, że jedno z jej oczu jest całkowicie zimne, a jedna ze stóp dużo cięższa od drugiej. Zaobserwowano także napady przypominające padaczkę.

Diagnostyka obejmowała przede wszystkim zaburzenia psychiczne. Po wstępnym leczeniu A. wypisano z oddziału ze znaczącą poprawą stanu zdrowia. Jednak niepokojące objawy i zmiany zachowania powróciły wkrótce po siedemnastych urodzinach. Dziewczyna czuła, że traci kontrolę nad swoim umysłem i ciałem. Widziała błyskające światła, miała kłopoty z pamięcią i odczuwała wszechogarniający strach. W szpitalu jej stan się pogorszył – zaczęła powtarzać słowa, które usłyszała, i czynności, które zobaczyła. Pomimo leczenia i wielokrotnych badań rozpoznanie wciąż było niejasne.

Kolejny przypadek dotyczy 40-letniej Afroamerykanki, która po powrocie z pracy zapaliła papierosa z marihuaną. Jej zachowanie wzbudziło niepokój rodziny. Była pobudzona, utraciła pamięć krótkotrwałą i, jak zgłaszał jej syn, „nie była sobą". W szpitalu stan się pogorszył, była zdezorientowana i próbowała uciec. Wstępnie rozważano problemy natury psychiatrycznej. Po kilku dniach na oddziale stała się bardzo religijna. Nawróceniu towarzyszyły objawy psychozy – była przekonana o tym, że ktoś rzucił na nią zaklęcie.

Jeszcze inna historia opowiada o 27-letniej kobiecie, której stan zdrowia w ciągu trzech miesięcy znacznie się pogorszył. Pojawiła się katatonia, letarg i postępująca depresja. Początkowym rozpoznaniem była choroba dwubiegunowa, jednak objawy postępowały. Wkrótce pacjentka zaczęła słyszeć głosy dzieci zamurowanych w ścianie.

Ostatni przypadek: u pewnej księgowej z Wielkiej Brytanii, której początkowo dokuczały niewinne objawy, takie jak utrata pamięci i zagubienie, ostatecznie nastąpiło tak silne pogorszenie stanu zdrowia, że konieczne było wprowadzenie jej w śpiączkę farmakologiczną, by uniemożliwić jej kolejne próby wyrwania sobie oka z oczodołu.

Potworniak i przeciwciała

Większość z tych historii rozpoczyna się od subtelnych objawów, które można łatwo wytłumaczyć stresem, przeziębieniem czy zmęczeniem. Jednak symptomy zwykle nasilają się, pacjenci wykazują cechy psychozy, mają halucynacje i urojenia. Pojawiają się nagłe zmiany nastroju i zachowania bardzo niepokojące dla najbliższego otoczenia chorych, np. agresja wobec siebie i innych. W wielu przypadkach naturalny przebieg choroby prowadzi do katatonii (czyli zespołu objawów ruchowych, w którym występować może zarówno zahamowanie ruchowe, jak i nadmierna aktywność). Towarzyszyć jej mogą echolalia (powtarzanie wypowiedzianych przez kogoś słów), echopraksja (powtarzanie czynności) i napady przypominające padaczkę oraz wiele innych objawów.

We wszystkich opisanych powyżej przypadkach ostatecznym rozpoznaniem było autoimmunologiczne zapalenie mózgu z przeciwciałami przeciwko receptorom NMDA. Za tą nieco skomplikowaną nazwą kryje się choroba opisana po raz pierwszy dopiero piętnaście lat temu przez neurologa Josepa Dalmaua. Zaobserwował u czterech pacjentek nagłe zmiany zachowania i niektóre z opisanych wcześniej objawów. Wszystkie chorowały na ten sam typ nowotworu jajnika zwany potworniakiem. Jest to dość często występujący nowotwór wywodzący się z komórek zarodkowych, a więc zdolnych do przekształcania się w wiele innych rodzajów komórek. W takim dojrzałym potworniaku w badaniu makro- i mikroskopowym zaobserwować można bardzo różne tkanki, takie jak zęby, skórę, włosy, tkankę nerwową i chrzęstną.

U pacjentek rozpoznano paraneoplastyczne (czyli związane z nowotworem) limbiczne zapalenie mózgu. U części z nich obrazowanie nie potwierdzało jednak, że zajęty był układ limbiczny, który, ogólnie mówiąc, odpowiada w mózgu za zjawiska emocjonalne. W badanej krwi i płynie mózgowo-rdzeniowym odkryto jednak przeciwciała przeciwko białkom obecnym na powierzchni komórek nerwowych, co różniło opisywaną chorobę od jednostek chorobowych znanych medycynie wcześniej.

Nie tylko nowotwór

W 2007 r. udało się wyjaśnić przyczynę zapalenia mózgu i powstałych w jego wyniku zaburzeń psychicznych. Przebadano kolejne 12 pacjentek z podobnymi objawami i potworniakiem. Okazało się, że przeciwciała obecne we krwi i płynie mózgowo-rdzeniowym wiążą się z tzw. receptorem NMDA, obecnym

ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

na powierzchni komórek hipokampa. Te same receptory wykryte zostały na powierzchni komórek nerwowych powstałych w obrębie potworniaka. Naukowcy zasugerowali, że w związku z pojawianiem się receptorów na komórkach nowotworowych powstają przeciwciała skierowane przeciwko receptorowi NMDA. Cząstki te zdolne są do przechodzenia bariery krew-mózg. Przeciwciało może niszczyć receptory w mózgu, ale także działać podobnie do niektórych leków, takich jak ketamina, hamując ich aktywność. Wówczas dochodzi również do reakcji zapalnej i niszczenia neuronów.

Później okazało się, że te przeciwciała, a co za tym idzie: choroba, pojawiać się mogą niezależnie od nowotworów jajnika. Czynnikiem wyzwalającym mogą być niektóre infekcje wirusowe, np. powszechnie występujący wirus opryszczki, a także inne nie do końca poznane przyczyny.

Brak typowego przebiegu, jasno określonych przyczyn i nierzadko nieobecność zmian w badaniach obrazowych powodują problemy diagnostyczne. Trudno zatem określić rzeczywistą częstość występowania tego zapalenia mózgu. Dalmau w tekście z 2019 r. podaje, że choroba może dotykać nawet 1,5 miliona osób rocznie na całym świecie.

W 2012 r. ukazała się książka dziennikarki „New York Post", która przeszła tę chorobę trzy lata wcześniej. Susannah Cahalan wkrótce po rozpoczęciu pracy w gazecie odczuła stopniowe pogarszanie się stanu zdrowia. Zaniedbywała obowiązki, stawała się agresywna i wycofana. Pojawiły się urojenia i halucynacje. Rodzina znajdowała ją pływającą w ubraniu w basenie i włóczącą się nocą po domu. Podobnie jak w innych przypadkach wystąpiły napady padaczkowe. W obliczu prawidłowych badań obrazowych i prawidłowego EEG lekarze podejrzewali chorobę psychiczną, stres albo zażywanie narkotyków. Ostatecznie rozpoznano przyczynę autoimmunologiczną i tym samym Cahalan stała się 217. osobą zdiagnozowaną z zapaleniem mózgu z przeciwciałami anty-NMDAR.

Po tygodniach hospitalizacji Cahalan niewiele pamiętała z ostatnich miesięcy. Jej wspomnienia opisane w „Brain on Fire" oparte są w głównej mierze na opowieściach świadków i nagraniach z kamer szpitalnej ochrony. Oglądanie siebie w takim stanie było dla Cahalan trudnym przeżyciem. Nie poznawała i nie rozumiała osoby, którą była jeszcze parę miesięcy temu.

Choć zapalenie mózgu z przeciwciałami anty-NMDAR i jego mechanizm zostały opisane dopiero niedawno, ↦

↦ to naukowcy podejrzewają, że sama choroba musiała występować dużo wcześniej. Nagłe halucynacje i urojenia, zmiany zachowania, chwiejność emocjonalna i katatonia – to wszystko może przywodzić na myśl opętania.

Żałosny stan Sary Bower

Jednym z pierwszych naukowców sugerujących, że zapalenie mózgu z obecnością przeciwciał anty-NMDAR odpowiada za opętania i złe uroki, był dr Guillaume Sébire, który pisał o uderzającym podobieństwie objawów tej choroby do opisu przypadku czternastoletniego chłopca z 1949 r., dokonanego przez jednego z jezuitów uczestniczących w egzorcyzmach. Dziecko było agresywne i wykrzykiwało słowa w niezrozumiałym języku. Zachowaniom towarzyszyć miały drgania całego ciała. Ciotka chłopca pokazała mu tabliczkę Ouija, której używała w swoich seansach spirytystycznych, i to za jej pomocą chłopiec komunikował się ze światem. Ten przypadek został spopularyzowany później przez książkę „Egzorcysta" Williama Petera Blatty'ego i jej filmową adaptację z 1973 r. Sébire twierdzi, że pierwotna historia zgadza się z opisem zapalenia mózgu, a „krzyki w niezrozumiałym języku" miałyby być nieudolnie powtarzanymi przez chłopca łacińskimi formułami wypowiadanymi wcześniej przez księdza (echolalia).

Z kolei Kirsten Uszkalo z Uniwersytetu w Albercie zauważa znaczne podobieństwa między niedawno opisanym zapaleniem mózgu a historią opętań w XVII-wiecznej Anglii. Twierdzi, że to właśnie ta choroba, przy całym swoim bogactwie objawów, najlepiej pasuje do opisów opętań i złych uroków odnotowywanych wówczas na Wyspach. Na poparcie swojej tezy przywołuje historię Sary Bower.

Źródłem tej opowieści jest Richard Dirby, „badacz fizyki i astrologii", naoczny świadek tego opętania i autor pamfletu „Przerażające wieści z Wapping: kolejne relacje o przykrym i żałosnym stanie Sary Bower, młodej dziewczyny, około czternastego roku życia, pełnej smutku i złego ducha" z 1693 r., opisującego te zdarzenia. Sarah Bower, jak twierdzi Dirby, była szczęśliwą i radosną dziewczyną o żywym temperamencie do momentu, gdy w ogrodzie jej ciotki jakaś niewidzialna ręka powaliła ją na ziemię. Przeżyła wówczas pierwszy napad choroby, który nie pozostał bez wpływu na jej psychikę. Kolejne napady dziwnego zachowania pojawiały się co jakiś czas. Sarah traciła kontakt ze światem, a raczej świat tracił kontakt z Sarą. Nie mogła mówić, a jej język, jak pisał Dirby, „wisiał z jej ust, niczym u cielęcia". Pewnego dnia, gdy została sama, pewien mężczyzna w czerni wpadł do izby z torbą pełną złota i srebra. Obiecał jej ofiarować kosztowności, jeśli tylko weźmie nóż i odda mu nieco swojej krwi. Sarah krzykiem i płaczem przepędziła, jak twierdziła, samego diabła. Richard Dirby w pełnym empatii tekście podsumowuje: „kiedy to piszę, to biedne stworzenie kontynuuje spektakl ludzkiej niedoli".

Kirsten Uszkalo twierdzi, że w przypadku opętania Bower można z dużą dozą prawdopodobieństwa mówić o objawach zapalenia mózgu z przeciwciałami anty-NMDAR. Pasują wiek i płeć. Dziewczyna ma halucynacje, napady drgawek, zmiany nastroju, utrudniony oddech, który czasem w przypadku tego zapalenia mózgu wymaga nawet wentylacji mechanicznej.

COVID-19 A ZAPALENIE MÓZGU

W lipcu tego roku zespół włoskich lekarzy ze szpitala Niguarda w Mediolanie opublikował pracę opisującą przypadek pacjenta chorego na COVID-19. W przebiegu choroby u 23-letniego Ekwadorczyka pojawiły się halucynacje i urojenia, był pobudzony i niespokojny. Oprócz kłopotów związanych z samą infekcją pojawiły się nasilone objawy psychiatryczne, które nie ustępowały pomimo leczenia. W przebadanym płynie mózgowo-rdzeniowym wykryto przeciwciała anty-NMDAR, świadczące o zapaleniu mózgu.

Neuroimmunologia

Dwaj neurolodzy z Londynu, Johnny Tam i Michael Zandi, w liście opublikowanym przez „Journal of Neurology" sugerują, że krążące we krwi przeciwciała anty-NMDAR mogą również odpowiadać za skazanie na śmierć 20 osób w procesie czarownic z Salem w 1692 r. Córka pastora, Betty Parris wraz z kuzynką Abigail Williams miały paść ofiarą złego uroku rzuconego przez trzy rzekome czarownice. Relacje świadków i podawane przez nich objawy sugerować mogą zapalenie mózgu. Nagły początek, halucynacje, trudności z mową, hiperaktywność, konwulsje, a potem stupor. Takie objawy u członków rodziny purytańskiego pastora z pewnością budziły niepokój. W wyniku zbiorowej paniki i strachu przed czarami w stan oskarżenia postawiono około 80 osób. Tam i Zandi twierdzą, że za objawy Parris i Williams może odpowiadać właśnie autoimmunologiczne zapalenie mózgu.

Sarah traciła kontakt ze światem. Nie mogła mówić, a jej język „wisiał z ust, niczym u cielęcia".

Skoro przeciwciała skierowane przeciwko konkretnym receptorom w mózgu mogą w pewnych sytuacjach tak łatwo przenikać barierę krew-mózg i tak silnie oddziaływać na psychikę czy reakcje wegetatywne, to warto zadać sobie pytanie, czy dzieje się tak również w innych sytuacjach. Między innymi takimi rozważaniami zajmuje się neuroimmunologia, gałąź nauki zajmująca się wpływem układu immunologicznego na mózg.

Okazuje się, że w niektórych sytuacjach reakcja zapalna może oddziaływać na niektóre przekaźniki nerwowe. Pojawiają się prace mówiące o wpływie stanów zapalnych na rozwój i przebieg niektórych zaburzeń psychicznych, takich jak zaburzenia lękowe, depresja, stres pourazowy i fobie. Znaleźć można też doniesienia o korelacji między zwiększoną aktywnością zapalną a zachowaniami samobójczymi w niektórych chorobach umysłu. Nie oznacza to jednak, że jest to jedyny ani nawet główny mechanizm powstawania zaburzeń psychicznych. Układ nerwowy i immunologiczny wciąż jeszcze skrywają przed nauką wiele tajemnic, tym bardziej zagadkowe pozostają ich relacje, a zwłaszcza związki pomiędzy aktywnością naszego układu odpornościowego a zjawiskami psychicznymi.

© BARTOSZ KABAŁA

ANDRZEJ WIETESZKA DLA „TP"

Terapia psychodeliczna

MACIEJ LORENC, JUSTYNA HOBOT

Po latach zakazów, krępujących ręce naukowcom i lekarzom, na nowo ruszyły badania nad terapeutycznym potencjałem substancji takich jak LSD i MDMA.

Jesteśmy świadkami ogólnoświatowego wzrostu zainteresowania psychodelikami i kulturowej rewizji ich statusu. Od dawien dawna przez wiele kultur były używane w kontekście rytualnym, natomiast we współczesnym świecie zachodnim zyskały popularność głównie za sprawą hipisowskiej rewolucji obyczajowej w latach 60. Są znane z wywoływania intensywnych zmian percepcji świata zewnętrznego, takich jak synestezja, odmiennego postrzegania siebie oraz potęgowania emocji. Wzbudzone przez nie doświadczenia często przybierają formę stanów mistycznych, przypominających niektóre objawienia opisywane w świętych księgach. W świetle prawa obowiązującego w większości państw, w tym w Polsce, psychodeliki są zaklasyfikowane jako niebezpieczne substancje pozbawione zastosowań medycznych, jednak wyniki rosnącej liczby badań prowadzonych na całym świecie stopniowo podważają zasadność tej klasyfikacji.

Delegalizacja cudownego leku

Termin „psychodeliki" został zaproponowany w 1956 r. przez psychiatrę Humphry'ego Osmonda w korespondencji z pisarzem i filozofem Aldousem Huxleyem i znaczy „substancje objawiające umysł" (od gr. *psyche*: „umysł", i *delein*: „objawiać"). Wielu wykorzystujących je psychiatrów i psychologów uważa, że są one dla psychologii tym, czym mikroskop dla biologii albo teleskop dla astronomii: pozwalają ujawnić i ożywić trudno dostępne treści psychiczne. Właściwości te dostrzeżono jeszcze przed ich ogólnoświatową delegalizacją, wprowadzoną w wyniku podyktowanej przez USA w 1971 r. konwencji ONZ o środkach psychotropowych. Przez więcej niż 20 lat psychodeliki wzbudzały zainteresowanie kręgów akademickich, stanowiły przedmiot eksploracji terapeutycznych i były postrzegane jako „cudowne leki" przez licznych ekspertów w dziedzinie zdrowia psychicznego. W latach 50. i 60. opublikowano około tysiąca artykułów naukowych i kilkadziesiąt książek, opisujących wpływ psychodelików na łącznie ponad 40 tysięcy pacjentów. Większość ówczesnych badań nie spełniała aktualnych standardów metodologicznych, niemniej prezentowały one obiecujące rezultaty w leczeniu alkoholizmu, depresji i stanów lękowych towarzyszących nieuleczalnym chorobom. Ich ↦

↦ potencjał w terapii uzależnień dostrzegał m.in. Bill Wilson, twórca wspólnoty Anonimowych Alkoholików.

Międzynarodowa delegalizacja psychodelików uderzyła nie tylko w rozrastającą się kontrkulturę hipisowską, ale również w działania naukowców, którzy z powodu zakazów i obostrzeń na ponad dwie dekady zaprzestali stosowania tych substancji w pracy klinicznej. Sytuacja ta zaczęła zmieniać się dopiero w latach 90. W dużej mierze przyczyniły się do tego działania pozarządowych organizacji non-profit, takich jak brytyjska Beckley Foundation czy amerykańska Multidisciplinary Association for Psychedelic Studies (MAPS). Badania nad psychodelikami prowadzi się obecnie w wielu prestiżowych instytucjach naukowych, takich jak Uniwersytet Johnsa Hopkinsa (JHU), Uniwersytet Zuryski czy Imperial College London. Nawiązują do zagadnień, którymi naukowcy zajmowali się jeszcze przed ich delegalizacją, ale wykorzystują nowsze metody badawcze (jak neuroobrazowanie) i bardziej rygorystyczną metodologię – przede wszystkim badania z użyciem losowego doboru i podwójnie ślepej próby (ani badacz, ani pacjent nie wiedzą, czy ten drugi otrzymuje dawkę psychodeliku, czy placebo).

Na depresję, lęki, uzależnienia

Do klasycznych psychodelików zalicza się LSD, psylocybinę występującą w tzw. „grzybach halucynogennych", meskalinę znajdującą się w niektórych kaktusach i dimetylotryptaminę zawartą w pochodzącym z Amazonii wywarze ayahuasca. Ważną rolę we współczesnych badaniach nad medycznym wykorzystaniem środków psychoaktywnych odgrywa również MDMA, znana jako główny składnik tabletek ecstasy. Substancja ta powoduje łagodniejsze zmiany percepcji niż klasyczne psychodeliki, a jej działanie polega przede wszystkim na spotęgowaniu procesów emocjonalnych, co zdaniem badaczy może pogłębiać relację terapeutyczną i pomagać w dotarciu do trudno dostępnych treści psychicznych.

Psychodeliki i MDMA nie działają jak typowe lekarstwa, ponieważ ich wpływ zależy od nastawienia, przeszłości i otoczenia użytkownika, stąd niezbędne jest wcześniejsze przygotowanie pacjenta, zapewnienie mu wsparcia w trakcie sesji terapeutycznej i udzielenie pomocy w późniejszej integracji przeżyć. Psychiatrzy używający tych środków w leczeniu twierdzą, że pozwalają one szybko dotrzeć do sedna problemów psychicznych, a więc działają zupełnie inaczej niż powszechnie stosowane kuracje farmakologiczne. Można powiedzieć, że leczy nie sama substancja, ale wywoływane przez nią doświadczenie. Współcześnie naukowcy sprawdzają ich potencjalne zastosowanie w leczeniu szerokiego wachlarza dolegliwości, takich jak depresja, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, zaburzenia odżywiania, zespół stresu pourazowego (PTSD) oraz uzależnienia od substancji takich jak nikotyna, kokaina, alkohol czy opioidy. W ubiegłym roku na JHU w USA i w Imperial College w Wielkiej Brytanii powstały odrębne ośrodki dedykowane wyłącznie badaniom nad psychodelikami.

Ośrodkiem na JHU kieruje psychofarmakolog Roland Griffiths, a tamtejsi badacze już od 1999 r. przyglądają się wpływowi psylocybiny na różne grupy badanych: zdrowych ochotników, osoby medytujące, duchownych różnych tradycji religijnych, osoby uzależnione od nikotyny czy pacjentów cierpiących na stany lękowe związane z nieuleczalnymi chorobami. W ostatniej grupie zaobserwowano korzystne zmiany w stosunku do nadchodzącej śmierci, a także długotrwały spadek lęku i przygnębienia przy jednoczesnym wzroście zadowolenia z życia. Ponadto odnotowano, że w wyniku przeżyć psychodelicznych u większości badanych doszło do długofalowego wzrostu otwartości, a ponad dwie trzecie z nich stwierdziła, że było to jedno z pięciu najważniejszych doświadczeń duchowych ich życia. Autorzy przeprowadzonych tam badań podkreślają, że psychodeliki mogą posłużyć nie tylko jako wsparcie w leczeniu szerokiego wachlarza dolegliwości, ale prawdopodobnie również jako narzędzia rozwijania kreatywności i empatii u osób zdrowych.

Na czele ośrodka w Imperial College stanął natomiast psychofarmakolog Robin Carhart-Harris, który kilka lat wcześniej przedstawił przełomowe obrazy aktywności mózgu pod wpływem LSD i psylocybiny, a następnie przeprowadził pilotażowy projekt dotyczący używania psychodelików w leczeniu depresji lekoopornej (w przypadku której tradycyjne leki przeciwdepresyjne zawodzą). Zaobserwowano, że obydwie substancje zwiększają złożoność aktywności mózgu, a przez to również złożoność i płynność świadomych doświadczeń. Wielu ludziom pozwalają zmienić perspektywę widzenia własnych problemów, przyspieszając proces terapeutyczny. Powodują, że pacjenci chwilowo uwalniają się od utrwalonych negatywnych wyobrażeń na temat siebie i otaczającego świata, a ich umysł staje się bardziej podatny na zmiany, które można umocnić w późniejszym procesie terapeutycznym.

Mózg na psychodelikach

Badacze podejrzewają, że kluczowe znaczenie dla terapeutycznego wpływu klasycznych psychodelików ma tymczasowy spadek pobudzenia tzw. sieci standardowej aktywności mózgu (ang. *default mode network*), która odpowiada za nasze poczucie „ja", a wzrost jej aktywności następuje w momentach, w których nie koncentrujemy się na żadnym konkretnym zadaniu. Co interesujące, jest nadaktywna u osób z depresją. Spadkowi aktywności sieci oraz liczby połączeń funkcjonalnych między jej obszarami, występującymi po zażyciu psychodelików, towarzyszą subiektywne doświadczenia transcendencji i rozpuszczenia jednostkowego „ja". Roland Griffiths posługuje się pojęciem „odwróconej traumy" i uważa, że pozytywne przeżycia duchowe mogą wywołać długofalowe korzyści psychiczne i pomagać w rozwiązywaniu problemów psychologicznych związanych z nadmierną sztywnością umysłową (niezdolnością do zmiany punktu widzenia). Działanie substancji psychodelicznych jest krótkotrwałe, w przeciwieństwie do wpływu wywoływanych przez nie doświadczeń.

Psychodeliki należą do substancji stosunkowo bezpiecznych, ponieważ nie uzależniają fizycznie i cechuje je wyjątkowo niska toksyczność. Nie udokumentowano przypadków ich śmiertelnego przedawkowania, a osoby korzystające z nich w kontekście rekreacyjnym bardzo rzadko wymagają konsultacji medycznej. Nie są one jednak w pełni bezpieczne, ponieważ mogą wywoływać trudne i dezorientujące doświadczenia, a oprócz tego stanowić czynnik wyzwalający choroby psychiczne u osób z predyspozycjami. Ryzyko jest szczególnie duże w przypadku osób, u których dochodzi do zaburzeń zdolności oceny rzeczywistości, np. z diagnozą choroby afektywnej dwubiegunowej albo schizofrenii.

Z tego powodu przed legalnymi sesjami terapeutycznymi z wykorzystaniem tych substancji przeprowadza się wstępne badania, pozwalające wykluczyć z dalszego udziału osoby narażone na niepożądane skutki uboczne.

Sytuacja wygląda nieco inaczej w przypadku MDMA, które obecnie jest stosowane jako wsparcie w terapii PTSD, a także alkoholizmu i fobii społecznych związanych ze spektrum zaburzeń autystycznych. Z jednej strony, przeżycia wywoływane przez tę substancję często są łagodniejsze i łatwiejsze do zintegrowania niż w przypadku klasycznych psychodelików. Z drugiej strony, jest nieco mniej bezpieczna pod względem fizjologicznym – MDMA jest pochodną amfetaminy i w podobny sposób aktywuje ludzki układ współczulny, wywołując choćby wzrost tętna czy temperatury ciała – ale nawet te problemy można wyeliminować w warunkach klinicznych. Lecznicze działanie MDMA polega przede wszystkim na wzroście zaufania i otwartości na relację terapeutyczną, co jest szczególnie ważne w przypadku pacjentów cierpiących na PTSD, często mających trudności z mówieniem o swoich traumatycznych doświadczeniach. Wyniki badań neuronaukowych wskazują, że MDMA obniża aktywność obszarów ciała migdałowatego, zaangażowanych w przetwarzanie nieprzyjemnych emocji, takich jak strach czy smutek. Jednocześnie substancja ta pobudza korę przedczołową, która jest zaangażowana w racjonalne planowanie i logiczną analizę informacji.

Za sprawą wpływu MDMA pacjenci są w stanie bez lęku powrócić do bolesnych wspomnień i podczas rozmów z terapeutami zintegrować je na poziomie emocjonalnym. Michael Mithoefer, psychiatra z największym dorobkiem w zakresie badań nad MDMA, zaznacza, że na uczestników terapii działa ono zupełnie inaczej niż na osoby używające jej w celach rekreacyjnych, np. podczas festiwali z muzyką elektroniczną. Wspomina, że wielu jego pacjentów z zaskoczeniem stwierdziło: „Nie wiem, dlaczego nazywają to ekstazą".

Ecstasy w twojej przychodni

Dzięki badaniom klinicznym prowadzonym przez MAPS udało się wykazać, że MDMA ponad dwukrotnie zwiększa skuteczność psychoterapii pacjentów z zespołem stresu pourazowego. Wyniki były tak imponujące, że amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków w 2017 r. przyznała tej metodzie „status przełomowej terapii". Niedługo później przyznano go również organizacjom prowadzącym badania nad stosowaniem psylocybiny w leczeniu depresji. Właśnie ta dolegliwość aktualnie wzbudza największe zainteresowanie wśród badaczy psychodelików, ponieważ według WHO choruje na nią obecnie około 300 mln ludzi i przewiduje się, że do 2030 r. depresja stanie się najbardziej rozpowszechnioną chorobą psychiczną na świecie. Ostatni duży przełom w jej leczeniu nastąpił trzy dekady temu i wiązał się z wprowadzeniem na rynek selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny. Aktualnie stosowane leki przeciwdepresyjne wielu osobom ratują życie, lecz jednocześnie mogą prowadzić do nieprzyjemnych skutków ubocznych i często nie przynoszą spodziewanych rezultatów.

Psychodeliki i MDMA nie działają jak typowe lekarstwa. Podejrzewa się, że leczy nie sama substancja, a wywoływane przez nią doświadczenie.

Psychodeliki i MDMA w ramach terapii są stosowane tylko raz lub kilka razy, więc nie wzbudzają zainteresowania ze strony przemysłu farmaceutycznego. Badania kliniczne z użyciem psychodelików są niemal całkowicie finansowane ze źródeł prywatnych, a ich koszt jest wysoki, ponieważ prowadzenie jakichkolwiek eksperymentów z wykorzystaniem nielegalnych środków wymaga spełnienia licznych, kosztownych wymogów organizacyjnych. MAPS dotychczas zgromadził na swoje działania ponad 70 mln dolarów i obecnie realizuje ostatnią fazę testów klinicznych nad stosowaniem MDMA w leczeniu PTSD. Po ich zakończeniu będzie natomiast dążyć do stworzenia legalnych ośrodków terapeutycznych, w których każda zainteresowana osoba będzie mogła wziąć udział w sesji psychodelicznej pod okiem wykwalifikowanego personelu.

Warto zaznaczyć, że jak dotąd eksperymenty z użyciem psychodelików i MDMA były prowadzone na małych grupach badanych, a intensywność wywoływanych przez nie doświadczeń powoduje, że trudno jest zastosować skuteczne placebo. Nie dysponujemy jeszcze definitywnymi wnioskami na temat ich długofalowego wpływu, wliczając w to trwałość efektów terapeutycznych. Dotychczasowe dane sugerują, że mogą one być bezpiecznie stosowane w ramach terapii i pomagać przynajmniej niektórym grupom pacjentów, którzy nie zareagowali na inne metody kuracji. Pracujący z nimi badacze i terapeuci mają nadzieję, że w ciągu najbliższych lat zostaną włączone do systemu opieki zdrowotnej i staną się jedną z dostępnych opcji leczenia.

Niemiecki filozof umysłu Thomas Metzinger zwraca uwagę, że dotychczasowe regulacje prawne nie rozwiązały problemów związanych z rekreacyjnym użyciem problematycznych środków psychoaktywnych, a wręcz doprowadziły do rozkwitu czarnego rynku i pojawienia się nowych niebezpiecznych substancji psychoaktywnych. Uważa, że potrzebujemy świeżego kontekstu kulturowego dla psychodelików, ponieważ jak dotąd nie stworzyliśmy mądrego sposobu radzenia sobie z nimi, czyli strategii minimalizowania ryzyka, przy jednoczesnym wykorzystaniu ich potencjału. Jak na razie, jedynie odcięliśmy się od części ludzkiego doświadczenia, powstrzymując się zarówno od badań naukowych nad tymi substancjami, jak i racjonalnej oceny związanego z nimi ryzyka.

© MACIEJ LORENC, JUSTYNA HOBOT

Do czego służy świadomość

MARCIN MIŁKOWSKI

Wiemy, że można ją stopniować i że pozwala nam kontrolować myśli i ruchy. Ale wiele problemów dotyczących świadomości ciągle czeka na rozwiązanie.

W współczesnych badaniach neurokognitywnych świadomość pozostaje osobliwością. Nie chodzi nawet o to, że subiektywne stany świadomości (takie jak smakowanie jabłka, wsłuchiwanie się w ulubioną melodię czy przeżywanie grozy pandemii) uważa się za prywatne i niedostępne innym, wymykające się słowom, a być może nawet metodzie naukowej. Ze świadomością jest jeszcze jeden problem: otóż większość funkcji poznawczych wyjaśnia się zupełnie bez jej udziału.

Czy pisząc te zdania, musiałem zastanawiać się nad ich strukturą gramatyczną albo znaczeniem pojedynczych słów? Nie, przebiegało to automatycznie – słowa po prostu przychodziły mi do głowy. Czy postrzegając litery na ekranie, wiem, jak odróżniam literę „b" od „p"? Wiem, że mają różne kształty, ale jakie procesy zachodzą w moich oczach, a następnie na kolejnych etapach przetwarzania wzrokowego – nie mam pojęcia. Wydaje się więc, że gdyby pominąć świadomość, to żadnej straty nie będzie. Każdy proces poznawczy zachodzi zgodnie ze swoim normalnym tokiem.

Stany pośrednie

Rzecz nie w tym, że kognitywiści mają klapki na oczach; idzie o to, że wskazanie swoistej funkcji świadomości w naszym funkcjonowaniu poznawczym wydaje się trudne. Niektórzy wręcz twierdzą, że świadomość to naprawdę taki zbędny dodatek, wypadek Matki Natury przy pracy, którego dobór naturalny nie tłumaczy. Na pewno zaś nie adaptacja biologiczna, usprawniająca nasze funkcjonowanie w świecie.

Tyle że po utracie świadomości nie piszę już tekstów i nie potrafię czytać. Oczywiście, w języku polskim – i badaniach naukowych – odróżnia się pojęcie „świadomości" od „przytomności", lecz zjawiska te nie są zupełnie od siebie odseparowane. Zdrowy rozsądek podpowiada, że jedno idzie w parze z drugim, ale nie jest to takie proste. Przecież w trakcie snów coś przeżywamy – i niektórzy twierdzą, że jest to przeżywanie świadome, chociaż nie na jawie. Trudno jednak powiedzieć, że jesteśmy wówczas przytomni. Jeśli jednak nie cierpię na somnambulizm, to nie piszę wtedy ani nie czytam, bo na czas snu moje ośrodki motoryczne pozostają wyłączone. Drugim wyjątkiem pozostają stany pośrednie, kiedy ludzie pozostają przytomni, ale nie w pełni świadomi otoczenia. Są to wszystkie stany, które rozciągają się między śpiączką a pełną świadomością, gdy można w pełni porozumiewać się z pacjentem. Tradycyjnie za stan pośredni uznawano jedynie stan wegetatywny, w którym występuje tylko reakcja odruchowa na bodźce i otwieranie oczu, niemniej okazuje się, że istnieją też minimalne stany świadomości, w których pacjent może reagować na polecenia, lecz nie jest w stanie się porozumiewać.

To systematyczne badania nad utratą świadomości pozwalają dotrzeć do jej natury i jednocześnie ująć ją trafniej, niż robią to najbardziej poetyckie spekulacje nad jej subiektywnym i ulotnym charakterem.

W zamknięciu

W 2007 r. na ekrany kin wszedł poruszający film „Motyl i skafander", oparty na autobiograficznej książce Jeana Dominique'a Bauby (w języku polskim nosi ona ten sam tytuł, lecz w odwrotnej kolejności: „Skafander i motyl", przeł. K. Rutkowski). Napisał ją mrugnięciami oka, gdyż, pomijając ruchy powiek, był w pełni sparaliżowany.

Bauby, redaktor naczelny „Elle", doznał wylewu i mógłby podzielić ponury los bardzo wielu pacjentów, którzy nie są w stanie się porozumieć ze światem. Leżą w salach szpitalnych, uznawani często za „warzywa" – osoby co prawda żywe, ale niezdolne do świadomej myśli. W przypadku Bauby'ego można mówić o szczęściu, gdyż jego paraliż nie był zupełny. Ale nie będę tu opowiadał fabuły filmu.

@MOONWATERPL DLA „TP"

Stan pełnego paraliżu przy zachowaniu pewnej formy świadomości nazywa się „syndromem zamknięcia". Łatwo sobie wyobrazić, jaką grozą musi być dla pacjenta świadomość, że uznawany jest za niezdolnego do świadomego myślenia – tylko dlatego, że tradycyjna diagnoza stanu pełnej przytomności opiera się na komunikacji werbalnej, niemożliwej przecież przy paraliżu aparatu mowy. W dodatku część pacjentów ma też sparaliżowane oczy, w przeciwieństwie do redaktora „Elle". Jak ocenia stowarzyszenie działające na rzecz osób z syndromem zamknięcia, założone przez Bauby'ego i innych pacjentów, zwykle pierwsze oznaki świadomości spostrzega członek rodziny, a nie lekarz. Zanim to się stanie, najczęściej upływa dwa i pół miesiąca – dwa i pół miesiąca życia w więzieniu nieruchomego ciała. Niektórzy pacjenci diagnozowani są po czterech latach, a nawet 40 proc. diagnozowanych jako osoby w stanie wegetatywnym okazuje się w jakimś stopniu świadomych. O trafnym rozpoznaniu często decyduje pomyślny zbieg okoliczności.

Pacjenci nie zawsze muszą liczyć na łut szczęścia. W sukurs przychodzą tu nowsze metody diagnostyczne, w tym prosty pomysł Stanislasa Dehaene'a, jednego z najbardziej wpływowych neurobiologów europejskich. Dehaene opiera swoją metodę na następujących obserwacjach. Otóż uznaje się, że percepcja słuchowa wymaga świadomości, podobnie jak wspomniane przeze mnie wcześniej czytanie liter (od którego Dehaene jest zresztą wybitnym ekspertem). Co więcej, powtarzanie tego samego bodźca z pewnością zanudzi każdego badanego, ale gdy pojawi się nowy wzorzec dźwiękowy – zareaguje on zaskoczeniem. A wiemy, że zaskoczenie da się eksperymentalnie rejestrować kilkoma metodami, między innymi elektroencefalogramem (EEG), nie mówiąc o metodach bardziej inwazyjnych. W sygnale EEG ujawnia się bowiem bardzo ↦

↦ charakterystyczna sygnatura zaskoczenia, tak zwana fala P3.

Pozytywny wynik takiego testu nie przesądza jeszcze, że pacjent jest w pełni świadomy. Może się zdarzyć, że reaguje tylko czasem na taki test czy na jakieś polecenie, a czasem – w ogóle nie. Nazywa się to od 2005 r. stanem minimalnej świadomości. Różnica między stanem wegetatywnym a stanem minimalnej świadomości jest kluczowa dla decyzji, które mogą stanowić o życiu lub śmierci pacjenta: statystycznie rzecz biorąc, pacjenci minimalnie świadomi mają znacznie większe szanse na odzyskanie świadomości, a więc odstępowanie od uporczywej terapii będzie rzadziej zalecane.

Stan minimalnej świadomości najprawdopodobniej różni się od syndromu zamknięcia, w którym pacjent jest całkowicie przytomny i ma zachowane funkcje poznawcze. Przypuszcza się, że powracająca i odchodząca świadomość pacjenta nie daje pełnej jasności umysłu, co, wraz z innymi obserwacjami o stopniowalności zaburzeń, prowadzi do wniosku, że także świadomość jest stopniowalna.

Amnezja czy znieczulenie

Podobne wnioski nasuwają też eksperymenty, które wykonuje się od kilkunastu lat z użyciem leków anestetycznych. Narkoza znana jest od XIX w., kiedy odkrywano znieczulające własności różnych substancji. Chociażby Zygmunt Freud był wielkim entuzjastą leczniczego stosowania kokainy, w tym do znieczulania miejscowego, do czego początkowo miało ograniczać się jej użycie. Niestety, Freud nadużywał jej, zarówno sam, jak i dla wątpliwych terapii swoich pacjentów, np. do rzekomego leczenia alkoholizmu.

Niemniej dopiero od niedawna mamy do dyspozycji różne metody pomiaru czynności żywego mózgu i sprawdzania, jak anestetyki wpływają na jego działanie. Jest to tym bardziej istotne, że można sobie wyobrazić, iż lek wywołuje dwa efekty: utratę pamięci i paraliż, lecz nie znosi odczucia bólu. Wówczas operacja chirurgiczna mogłaby być bolesna, lecz pacjent miałby wyłącznie „urwany film", jak po gęsto zakrapianej imprezie.

Nie jest to niestety tylko eksperyment myślowy filozofa: niektóre leki mogą mieć dokładnie taki efekt, np. midazolam, który w małej dawce może powodować wyłącznie ogólną amnezję, a nie znieczulenie. W przeciwieństwie do niego propofol znosi odczucia bólowe. Fani Michaela Jacksona powinni kojarzyć tę nazwę, bo piosenkarz raczył się właśnie tym środkiem, zamiast stosować leki przeciwbólowe. Co noc aplikował sobie znieczulenie ogólne. Tego nie powinno się robić w domu, zwłaszcza pod opieką nieostrożnego konowała.

> Jak pokazało badanie, jedno piwo poprawia kreatywność – znosi nadmierną kontrolę poznawczą, co ułatwia znalezienie lepszych rozwiązań problemów. **Ale na jednym trzeba poprzestać.**

W warunkach szpitalnych propofol można dawkować bardzo dokładnie, aby badać jego działanie na czynności układu nerwowego. Pacjenci mogą przez pewien czas reagować na pytania, przez co można precyzyjnie sprawdzać działanie leku. W opublikowanym w 2011 r. raporcie zespół pod kierownictwem Andreasa K. Engela, neurofizjologa z Hamburga, stwierdził, że lek zmienia funkcjonowanie kory mózgowej; w istocie w EEG zaczynają dominować fale alfa, czyli z zakresu świadczącego o czuwaniu, ale tak intensywne, że blokują komunikację wewnątrz kory mózgowej. To zaś prowadzi do pełnej utraty świadomości. Engel prowadzi też dalsze badania nad świadomością i środkami anestetycznymi, m.in. izofluranem u myszy.

Celem tych badań jest nie tylko upewnienie się, że pacjenci mają zniesioną świadomość, ale też zbadanie mechanizmu jej tracenia w sposób kontrolowany i bezpieczny. Docelowo zaś idzie o wskazanie tych własności układu nerwowego, których pomiar mógłby wskazać na stopień świadomości osoby badanej.

Pająk na amfetaminie

Pod pewnymi względami te ściśle kontrolowane badania przypominają eksperymenty Witkacego z narkotykami. Odmienne stany świadomości to nie jest przecież wyłącznie przedmiot badań gabinetowych, ale też codziennego doświadczenia wielu ludzi i innych zwierząt, które upajają się substancjami zmieniającymi ich stan psychiczny. Chociaż można powątpiewać, czy Witkacy lub Huxley mieli wyłącznie poznawcze motywacje, to z tych odmiennych stanów też można wyciągać wnioski na temat natury świadomości normalnej. Jest tak przede wszystkim dlatego, że badania naukowe polegają na porównywaniu stanu wywołanego eksperymentalnie z jakimś stanem określanym jako „normalny".

Artyści jednak często sięgają po narkotyki dla sztuki. Choćby Henryk Sienkiewicz tylko dzięki kokainie skończył „Quo vadis". Ale takie wspomaganie ma sens tylko do pewnego stopnia. W 2017 r. ukazał się artykuł w czasopiśmie „Consciousness and Cognition", który szybko dotarł na łamy prasy brukowej i popularnej. Zespół badaczy pod kierownictwem Mathiasa Benedeka zbadał bowiem, jak piwo wpływa na twórcze rozwiązywanie problemów. Studenci oczywiście z chęcią wzięli udział w badaniu, a okazało się, że jedno piwo pomaga – ewidentnie znosi nadmierną kontrolę poznawczą, co ułatwia znalezienie lepszych rozwiązań problemów. Tylko że na jednym trzeba poprzestać – potem już inne procesy poznawcze zostają zaburzone. Inaczej mówiąc: za dużo kontroli poznawczej przeszkadza w kreatywności, ale bez kontroli nie da się nic sensownego zrobić.

Podobny schemat powtarza się w wielu badaniach nad narkotykami. Już w 1948 r. szwajcarski farmaceuta Peter Witt sprawdzał, jak pająki reagują na różne substancje psychoaktywne, w tym na kofeinę, LSD, amfetaminę, meskalinę, a nawet strychninę. Pod wpływem tych substancji zmienia się kształt i wielkość pajęczyn. Co ciekawe, badania powtarzano, nawet w NASA pod koniec XX w., a wyniki się potwierdziły: różne substancje mają swoiste efekty, które zależą także od wielkości dawki. Amfetamina zwiększa pajęczy entuzjazm, ale sieci są zupełnie chaotyczne.

Pająkom można jednak odmawiać świadomości, chociaż w 2016 r. biolog Andrew Barron i filozof Colin Klein na łamach prestiżowego czasopisma „PNAS" dowodzili, że subiektywne doświadczenie przysługuje blisko z nimi spokrewnionym owadom. Zostawmy jednak sprawę na boku, bo o subiektywności nie będzie tutaj mowy [więcej

o najprostszych umysłach w artykule Mateusza Hohola i Bartosza Barana na str. 72]. Być może pająki nie są świadome, ale na pewno cechują się przytomnością: cykle czuwania i snu występują praktycznie u wszystkich zwierząt, a zaburzenia snu mają dla nich zawsze negatywne skutki. Czuwanie jest fizjologicznie kosztowne i wymaga odpoczynku w postaci snu.

Pod kontrolą

Co to wszystko znaczy dla naszego rozumienia świadomości? Badania nad skutkami stosowania substancji psychoaktywnych nie dają odpowiedzi na pytanie, dlaczego mamy subiektywny punkt widzenia czy niedostępne (normalnie) innym odczuwanie rzeczywistości. Na ich podstawie można jednak powiedzieć coś o jednej z jej funkcji. W stanie czuwania czy przytomności możemy wykorzystać nasze zdolności poznawcze. Wraz z traceniem pełnej świadomości tracimy jednocześnie kontrolę poznawczą, która pozwala nam hamować niepotrzebne skojarzenia czy też nasuwające się myśli. Nadmierna kontrola może zahamować nas zupełnie, skąd zapewne wywodzi się społeczna i kulturowa rola środków wprowadzających *Homo sapiens* w odmienne stany świadomości.

Jednak gdy wprowadza się nas w stan znieczulenia, tracimy nie tylko kontrolę poznawczą – tracimy też precyzyjną kontrolę zachowania, chociażby pozostała elementarna wrażliwość układów zmysłowych. Zachowana wrażliwość na dźwięk jest podstawą metody wykrywania świadomości nawet u pacjentów w minimalnym stanie świadomości (a także działania budzików u osób zdrowych: bodziec dźwiękowy potrafi nas obudzić z najgłębszego snu). Mózg ani we śnie, ani nawet w stanie wegetatywnym wcale nie wstrzymuje działania, lecz realizuje inne funkcje niż te możliwe w stanie pełnej przytomności.

Wiadomo, że w trakcie snu u gryzoni obserwuje się pewnego rodzaju procesy uczenia: szczury, które znają lokalizację nagrody, we śnie potrafią przebiegać wyobrażone drogi do celu, aby znaleźć najkrótszą. Wykorzystują ją na jawie.

Wiemy to, ponieważ mechanizmy map poznawczych u przytomnych gryzoni są dobrze zbadane. Wiele badań wykonuje się inwazyjnie, przez wszczepienie elektrod do żywego mózgu. Wystarczy więc pozostawić elektrody w mózgach śniących zwierząt i sprawdzić, co się w nich dzieje – a elektrody u szczurów eksperymentalnych i tak nie są usuwane na czas ich snu. Przypuszcza się, że podobne procesy zachodzą u ludzi, mimo że u nas, z oczywistych względów etycznych, nie ma możliwości badania mózgu tak inwazyjnie. Szczególnie ważną rolę w utrwalaniu wspomnień – tzw. konsolidacji pamięci – przypisuje się spaniu. Być może dlatego niemowlęta, które nie mają jeszcze rozwiniętych różnych form pamięci, muszą często drzemać, żeby lepiej zapamiętywać nowe umiejętności.

Świadomy odkurzacz

Czuwanie jest energetycznie kosztowniejsze od snu, a niektóre organizmy z tego względu przesypiają większość doby. Jednak bez czuwania nie mogłyby przeżyć. Z powszechności stanu czuwania można wysnuć wniosek, że ma on funkcję adaptacyjną i że po prostu stanowi warunek wszelkiej aktywności poznawczej dotyczącej tego, co rozgrywa się mniej więcej na bieżąco. Mniej więcej, bo układy nerwowe nie mogą nadążać w pełni za rzeczywistością, więc muszą posiłkować się przewidywaniem przyszłości (w czym przydaje się m.in. konsolidacja pamięci we śnie), ale żeby w ogóle nie traciły kontaktu z rzeczywistością, muszą być przytomne. To dopiero pozwala zachować im kontrolę zachowania. Tak więc świadomość nie jest zbędnym dodatkiem do procesów poznawczych, lecz raczej ich warunkiem. Dopiero odpowiednio pobudzony układ nerwowy może sterować ruchami ciała.

Sprawa się poważnie komplikuje, jeśli przejdziemy na grunt robotyki i sztucznej inteligencji. Moglibyśmy bowiem zapytać, czy kontrola zachowania – choćby taka, jaką wykazują się roboty sprzątające – wystarcza, by uznać, że mamy do czynienia ze świadomą istotą? Czy związek między świadomością i kontrolą zachowania jest jednostronny? Może po prostu do bycia świadomym potrzebne są jeszcze jakieś inne cechy: na przykład bycie organizmem żywym? A jeśli tak – to właściwie dlaczego? A nawet gdyby współczesnym robotom brakowało świadomości, to czy nie zmieni się to w przyszłości? I jakie kryteria nas przekonają do tego, że ta zmiana się dokonała? Zwykła obserwacja przecież nie wystarczy, by rozstrzygnąć, czy sprzątający robot przeżywa subiektywne stany radości albo smutku z powodu okruszków, które usuwa z dywanu.

© MARCIN MIŁKOWSKI

Dziewięć argumentów Turinga

W 1950 r. Alan Turing opublikował artykuł „Computing Machinery and Intelligence", w którym zadał pytanie: „Czy maszyny mogą myśleć?". Wymienia 9 potencjalnych argumentów „na nie". Numer 4 to „argument ze świadomości": maszyna może zrobić wszystko, nawet napisać sonet, jednak nigdy nie będzie to z powodu przeżywanych emocji, a jedynie wskutek mechanicznego manipulowania symbolami. Turing w odpowiedzi wraca do podstaw filozofii: tak naprawdę, patrząc na ludzkiego poetę, nie możemy być pewni, że jest on świadomą istotą przeżywającą właśnie żal czy tęsknotę. Świadomości u kogoś drugiego nie widać. *Ergo*, nigdy nie rozwiążemy tego problemu i pozostaje nam podejście pragmatyczne: jeżeli maszyna będzie w rozmowie nie do odróżnienia od człowieka, trzeba uznać, że „naprawdę myśli".
Interesujący jest „argument z rozmaitych ułomności" – przypuśćmy, że maszyna nigdy nie będzie w stanie zakochać się, zajadać truskawkami albo popełnić niezamierzonego błędu. To wcale nie są trywialne ułomności, przestrzega Turing! Istota, która nigdy się nie zakochała i nigdy się nie pomyliła, nie jest w stanie nawiązać z nami tak bliskiej relacji, jak człowiek. Odpowiednia ilość tego typu braków mogłaby wręcz uniemożliwić maszynie przeprowadzanie niektórych procesów myślowych.
Na koniec ciekawostka – argument nr 9 „z percepcji pozazmysłowej". Ludzie, pisze Turing, bywają zdolni do telepatii i jasnowidztwa. Komputery – nie. Prosty test mógłby to wykazać, obnażając, że mamy do czynienia z maszyną, a nie człowiekiem. Szach mat! ©℗ ŁL

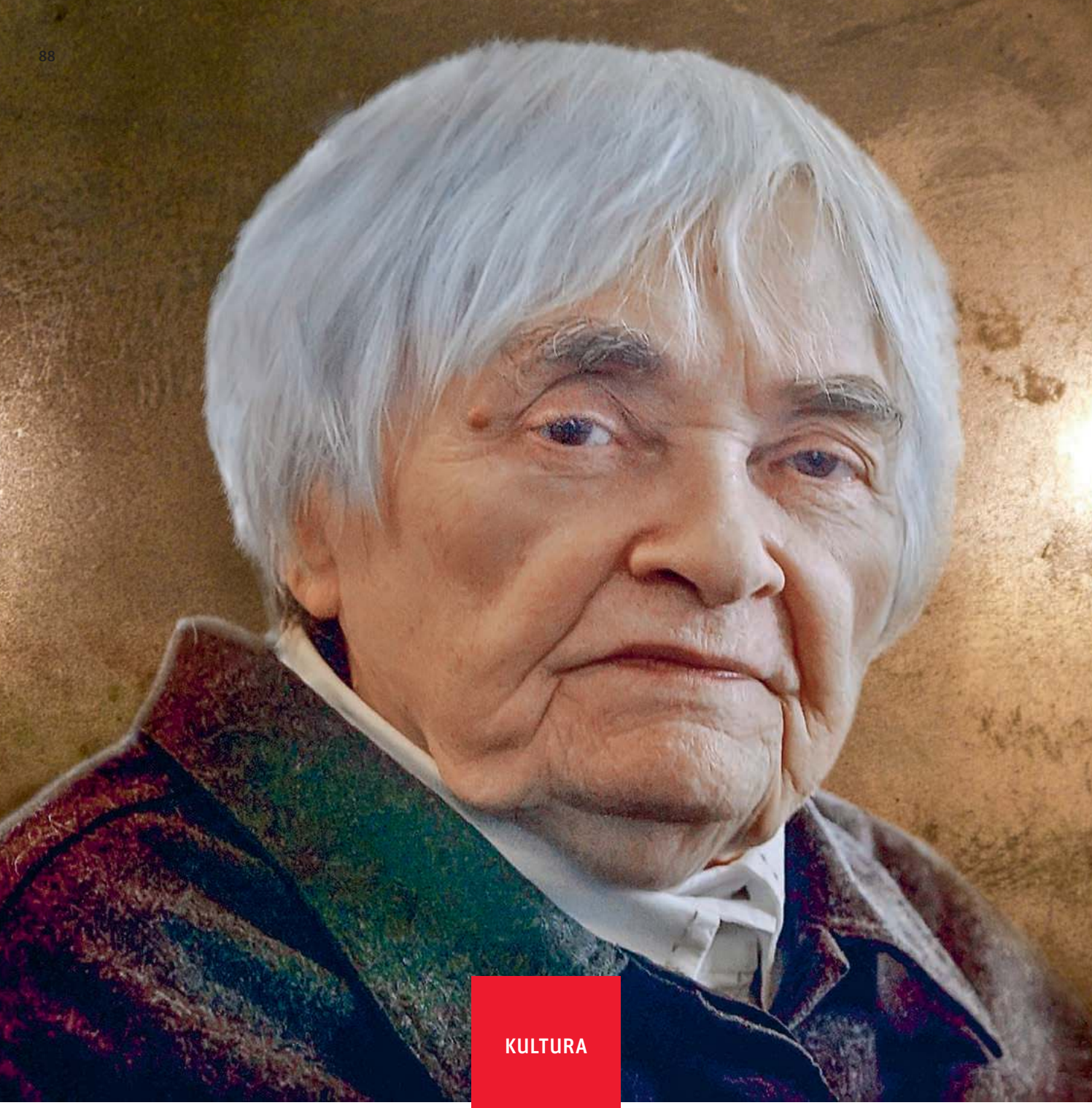

KULTURA

OSOBISTOŚĆ

Świat żywych ufundowany jest na świecie umarłych. Nie widząc tego, żyjemy jak ślepi. Maria Janion śledziła więzi duchów z żyjącymi.

ELIZA KĄCKA

WOJCIECH DRUSZCZ / EAST NEWS

Prof. Maria Janion, 2005 r.

Jej powaga miała coś z postawy Zygmunta Freuda. Nie uznawała łatwych wzruszeń. Wnikała w emocje badanych postaci z przejęciem, jak Antoni Czechow. Żadnych sentymentów. Nic dziwnego: obaj lekarze! Także ona była lekarzem dusz. Te uzdrowić może tylko prawda. A z nią nie ma żartów.

Ujawnienie

„Umarli szybko jadą". W tych słowach ballady „Lenora" tkwi w zalążku, jak wiadomo, cały przyszły romantyzm. Gottfried August Bürger napisał ją w roku 1772. Z „Lenorą" – najpierw w wersji Mickiewiczowskiej „Ucieczki" – Maria Janion musiała się zetknąć już w czasach szkolnych, przed wojną, w Wilnie. A na studiach, gdy przyszło jej zająć się badaniami nad mniejszym romantyzmem krajowym, poznała zapewne przekłady Odyńca, Lacha Szyrmy, Kicińskiego...

Nie wiadomo jednak, kiedy dokładnie treść tej znanej powszechnie legendy mogła wywołać w niej przewrót wewnętrzny. Może z okazji analiz gotyckich fantazji młodego Zygmunta Krasińskiego? Ślady wiodące wstecz naprowadzają jednocześnie na myśl, że w niemieckiej balladzie z epoki „burzy i naporu", czytanej w różnych aspektach, odnalazła siebie samą. Z „Lenory" wywodzi się także profesor Janion – taka, jaką znamy.

Muszę się wytłumaczyć. Co jest takiego w historii dziewczyny, którą porywa do piekła zmarły kochanek? Otóż wszystko, w pigułce. Wybuch „inności", opisanej serio, budzącej dreszcz. Ton dzikiej frenezji, stężonej niesamowitości, gwałtowności – wręcz (pozagrobowego) gwałtu. Namiętność dwuznaczna, sprzęgnięta ze śmiercią. Nie symboliczną, lecz realną, wionącą grobem. Rozpacz narzeczonej, która, czekając latami na powrót kochanka, rzuca oskarżenie Bogu. Pogańskie wyobrażenia zaświatów. Miłość szalona, jej wymiar graniczny. Przekroczenie praw życia i świata. Galopada do zguby. Paroksyzm mdlącego strachu. Rys ludowego sadyzmu. I pożądliwy poza śmierć, seksualny upiór.

A nade wszystko rewelacja, że świat żywych ufundowany jest na świecie umarłych. I że nie widząc tego, żyjemy jak ślepi. Nic nie rozumiemy, a już najmniej siebie. Jeśli rzeczywistość ma być wypowiedziana, dotknięta, trzeba widzieć oba jej przebiegi, lecz nie osobne, ale zadzierzgnięte w węzeł. Rozrastanie się tego węzła to właśnie proces historyczny rozwoju kultury; przesuwanie po nim palcem – to śledzenie więzi duchów z żyjącymi. Maria Janion czyniła to przez pół wieku.

Literatura to skażony obraz rzeczywistości. Nie! Literatura to wyraz historycznego światopoglądu autora! A skąd: literatura to sztuka czysta oparta na grze dopełniających się i przeciwstawnych pojęć. Istnieje dzieło literackie, niewzruszone i w swej strukturze zamknięte. Ależ nie: dzieło to tylko tekst, suma tradycyjnych i odnowionych środków stylistycznych. Bynajmniej: to wyobrażenie, przez które przebija ponadczasowy archetyp. Na tym tle widzieć trzeba znalezisko Marii Janion: taki utwór jak „Lenora", zdolny ufundować całą epokę, to nade wszystko u j a w n i e n i e. Coś dotąd utajonego, istniejącego poza świadomością zbiorową i w rozproszeniu, wyrwało się oto na wolność. Przemówiło nieznanym głosem. Co to takiego? To właśnie trzeba odkryć.

Dwa skrzydła

Takich ujawnień szukać będzie Janion na swoich seminariach, sięgając zresztą nierzadko poza literaturę. Do filmu, malarstwa, dzienników, wyznań, dokumentacji psychiatrycznej. Czasem po postacie mało komu znane. W towarzystwie sojuszników, a zwłaszcza sojuszniczek zarzucać będzie sieć na kliniki i inne miejsca odosobnień, na sypialnie i dziecinne pokoje. I w myśli współczesnej znajdować koncepcje czy teorie pozwalające wyczytać z tych świadectw głosy dusz w potrzasku, ślady nierozpoznanych czy dotąd nienazwanych tragedii.

Oto punkt wyjścia Janion: „duchologia", którą wyśmiali marksiści, „psychologizm", który zanegowali strukturaliści, „bzik tragiczności", który zwalczał Karol Irzykowski, irracjonalizm, który chciał przezwyciężyć Tadeusz Boy-Żeleński. Albowiem „są duchy", jak wierzył Juliusz Słowacki, są *Rausch und Traum*, jak głosił Fryderyk Nietzsche, jest obok normy dnia pasja nocy, jak zapewniał Karl Jaspers, i są dramatyczne biografie, z którymi tradycyjna historia literatury nie wie, co począć. Należą do domeny nauki czy nie, a jeśli nie, to gdzie? A jeśli tak, co znaczą?

Jeśli literaturoznawstwo nie daje odpowiedzi, trzeba je rozbić. I Janion to zrobiła. ↦

↦ Wyszła z badaniami poza dzieło literackie, estetykę, poetykę i historię literatury. W strefy pograniczne, których zrobiło się nagle zadziwiająco wiele, w stronę psychologii zbiorowej, historii idei, mitologii i legend. Jak tworzył się mit Konrada Wallenroda, Kościuszki, księcia Józefa, Mickiewicza? To, co było dotąd materią przypisów do dzieł romantycznych i innych, wychynęło oto jako samodzielny przedmiot badań. Bez nich zresztą zrozumienie jest niemożliwe lub błędne.

Inaczej mówiąc, jej praca miała dwa skrzydła. Pierwsze zmiatało cywilizatorów: tych, którzy sądzą, że wszystko, co niepojęte – strachy, zabobony, wytwory chorej wyobraźni, słowem: kraina ciemnoty – to regiony wstydliwe, które należy traktować humorystycznie, bo dadzą się prędzej czy później „wyjaśnić naukowo". Otóż nic z tego. Domena fantazmatyczna istnieje, tylko się przesuwa. Jest realna, a to, że racjonalistom niedostępna, mówi więcej o nich niż o niej.

Drugie skrzydło natomiast przygarnia sieroty po tekście literackim. Gdyż także biografie autorów i bohaterów są tekstem, a nawet językiem, którym przemawia do nas rzeczywistość humanistyczna. To, co się zdawało Mickiewiczowskiej Karusi, i o czym dumał Samson u kolumny, i męska autokreacja Marii Komornickiej, i przemiana Gregora Samsy w dziwnego stawonoga mówią także poza granicami przynależnych im tekstów, wyznaczając wymiary, w których obracać się może nasza zdolność rozumienia.

Zaklęcie

Przypadek zawarty w na wpół ludowym utworze drugorzędnego niemieckiego poety mógł być – załóżmy – bodźcem, pozwalającym jednej z wielu badaczek romantyzmu ujrzeć nagle współistnienie dwu światów i jego okrutne prawa. Duchy są bezcielesne, i wtedy bywają gotyckie, miewają (straszne) ciała, i wtedy są romantyczne, a także egzystują mentalnie – i wtedy odgrywają rolę dyktatorów podświadomości narodu. Rządzą bez opuszczania trumien.

W świetle badań nad romantyzmem polskim i jego konsekwencjami rzecz zdawała się pewna. Dziedzictwem tym od połowy lat 60. ubiegłego wieku zajmowało się sporo niepospolitych uczonych nowej generacji, krążących wokół podobnych myśli: obok Janion – Marta Piwińska, Maria Żmigrodzka, Stefan Treugutt,

Wyszła z badaniami poza dzieło literackie, estetykę, poetykę i historię literatury. W strefy pograniczne, których zrobiło się nagle zadziwiająco wiele, w stronę psychologii zbiorowej, historii idei, mitologii i legend.

Alina Witkowska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Zofia Stefanowska, Maria Prussak... Janion wybiła się na ich czoło i rozwinęła niezwykłą kreatywność dzięki temu, że na to, co ją fascynowało, znalazła właściwe słowo. Znalazła je u kontrowersyjnego filozofa egzystencji Georges'a Bataille'a, a brzmiało ono: t r a n s g r e s j a.

Miejscem, w którym można się tym było zajmować swobodniej niż w Instytucie Badań Literackich w Warszawie, było audytorium nowo powołanego Uniwersytetu Gdańskiego. Przed obliczem i przy współudziale studentów, późniejszych doktorantów, Janion rozwinęła tam pierwsze z wymienionych skrzydeł, podczas gdy drugie potężniało w Warszawie.

Rzecz w tym, że Bataille nie był wcale niewiniątkiem: coś jakby trockista, ewidentny pornograf, wyklęty wywrotowiec, z lubością zajmował się markizem de Sade i jego rozumienie transgresji dotyczyło głównie tego, co – przekraczając wszelkie normy, od sumienia po granice cielesnych możności – da się uczynić z ciałem i duszą podległej seksualnie kobiety. Toteż informacja na skrzydełkach kolejnych wydawanych w Gdańsku tomów z konieczności brzmiała oględnie: „Nadaliśmy naszej serii wspólny tytuł: T r a n s g r e s j e. Zajmowaliśmy się bowiem i nadal się zajmujemy rozmaitymi objawami – literackimi, filozoficznymi, biograficznymi, egzystencjalnymi – p r z e k r a c z a n i a g r a n i c. Przekraczania siebie, przekraczania norm, konwencji ról, przyjętych wyobrażeń – pokonywania tego, co dane i gotowe – przez ludzi, którzy chcieli przejść »na drugą stronę«, przeniknąć »poza horyzont«".

Niemniej wybrzmiewa w tym zapowiedź groźnej przygody. I słusznie, ponieważ u Bataille'a, co Janion odczytała z nieporównaną ostrością, antytezę transgresji stanowił z a k a z, a dobrze wiadomo, na co złamanie zakazu naraża.

Inwencją Janion było poszerzenie pojęcia transgresji dzięki nałożeniu go na reguły romantycznej wyobraźni. Koncept psychologiczny przekroczenia nadał motywację poczynaniom i wywodom dystraktów i nonkonformistów, starł z wizjonerstwa piętno dewiacji, określił dynamikę procesów doświadczenia wewnętrznego. W pomyśle tym sprzęgły się także pojęcia o s o b a i o s o b n o ś ć, a walorem szczególnym stała się o s o b i s t o ś ć – rozumiana etymologicznie, jako samotność w obliczu własnej indywidualnej prawdy. Na osobistość w zwykłym (a raczej niezwykłym) sensie wyrosła też sama Janion: dzięki jednemu celnie użytemu słowu, jej wersji zaklęcia „Sezamie, otwórz się!", zyskała niedostępną historykom literatury sławę.

Drugie zaklęcie

Za wyjątkiem (niekiedy) wydziałów fizyki i matematyki, może też archeologii, uniwersytet to ciąg dalszy szkoły. „Transgresyjne" seminaria w ponurych latach 80. nią nie były. Same były transgresją, co prawda nie tyle groźną, ile co do tematów drastyczną. Toteż sporo uczestników (jak np. Stanisław Rosiek, Małgorzata Czermińska, Ewa Graczyk, Stefan Chwin, Kwiryna Ziemba), miast iść w ślady Rimbauda, poszło (zaledwie) w profesory. Niemniej do dziś, czytając „Colloquia gdańskie", wyczuwamy niepewność właściwą wstępowaniu na tereny nieznane, obawę śmieszności.

Efekt byłby jednak słabszy lub żaden, gdyby Janion nie posłużyła się równolegle drugim zaklęciem. Na pozór banalnym, lecz nie pod jej piórem czy w ustach. Było to słowo m ł o d o ś ć. Nieodłączne od romantyzmu, jakim go pojmowała. Bo romantyk musi być młody. „Młodości! dodaj mi skrzydła", „młodość górna i durna", „Zabił się, młody..." – wiadomo. A na koniec: „Wybrańcy bogów umierają młodo". Ta właśnie sentencja to samo serce romantyzmu. Toteż Janion spisała (po części z Marią Żmigrodzką) wzorcowy biogram młodego romantyka: od inicjacji, przez udręki serdeczne, po spisek i egzekucję. I przejmująco opowiadała o tym młodym z ostatniej ćwierci

XX wieku. Przekonując, że młodość to potencjał autentycznej, godnej ofiary z życia, transgresji.

Poza narracją historyczną Janion formuły te brzmią blado. Ale rozpiszmy rzecz na biografie. Jako (z racji wieku) eksperymentalna seminarzystka zaoczna posłużę się w tym punkcie własną imaginacją. Oto, dajmy na to, w roku 1793 poeta francuski André Chénier (31 lat) pisze odę na cześć Charlotte Corday (25 lat), która zasztyletowała w wannie trybuna ludowego Marata. Wspaniały wiersz za cenę życia – autor zginął na gilotynie dwa dni przed Termidorem. W tekście mowa o „bezwstydnych płazach z błota" (które zaludnią potem „Odę do młodości") i świętej w swym upojeniu mścicielce (jak widać, nie tylko rewolucja jest kobietą, lecz i kontrrewolucja.) A potem pojawia się główny Rekwizyt: „Sztylet, jedyna na ziemi nadzieja, jest, Cnoto, twym świętym orężem".

Natchniony tymi słowy, w roku 1820 czytelnik Chéniera, student z Jeny Karl Ludwig Sand (25 lat) zasztyletował carskiego szpicla, „zdrajcę narodu", literata Augusta von Kotzebuego. Za co zostaje ścięty toporem. I zaraz pod wrażeniem jego czynu poeta rosyjski Aleksander Puszkin (22 lata), też czytelnik Chéniera, napisał wiersz „Sztylet" („Kinżał"), apologię Sanda, która kosztowała go zesłanie. Demoniczną potęgą słowa replika Puszkinowska przewyższa pierwowzór (czytajcie w oryginale); nic dziwnego, że Konrad u Mickiewicza i Kordian u Słowackiego najwyższym wysiłkiem woli odpychają Rekwizyt, który sama Poezja usilnie wciska im w dłonie.

Czy to wykład historii politycznej, przyczynek do poetyki wzniosłości, szlak wędrownego motywu? Nie: to przede wszystkim przymiarka do opisu przekazań z rąk do rąk jednej z form nieodpartej transgresji. Warto zauważyć, że wszyscy wymienieni powyżej (prócz Kotzebuego) awansowali po zgonie do rangi duchów przewodnich swych nacji, niektórzy nawet do dzisiaj. Czemu? Gdyż związek młodości z transgresją powstaje na gruncie fascynacji śmiercią. Nie tylko w boju czy konspiracji: dość przejrzeć zwierzenia sportowców ekstremalnych. I dla nich zakaz przyjmuje kształt drętwoty życia społecznego. Chodzi o wiedzę, którą zyskać można tylko przełamaniem. Analogiczny bywa przypadek kolejnych awangard. Ta wiedza zjawia się w błysku.

Nie kształtowała tzw. dobrego smaku. Omijała wielkim łukiem pracowite pozytywistyczne cnoty i synkretyczne wdzięczenia się secesji. A zwłaszcza miała na pieńku z klasycyzmem, kulturą despotów i ich fagasów.

Trzecie zaklęcie

Tu wkracza się w krąg intuicji pierwotnej, świat dreszczu. Albo, mówiąc inaczej, ku libido. Nie siląc się na definicję, rzec można, iż chodzi o przeczucie graniczności, trafienia na tamtą stronę, wyskoku poza tożsamość. Erotyzm, wyczyn, torturę, ascezę, chorobę traktować można jako eksperyment graniczny. Lecz nie jest to ćwiczenie duchowe. Niezbędne jest ciało. I Maria Janion wypowiada tu trzecie ze swoich zaklęć: c i e l e s n o ś ć. Czynnik, który tyleż wiąże istoty ludzkie, co je separuje. Mowa o niepojętych, bo pozapojęciowych intymnościach pary (czy grupy) kochanków, ofiary z katem, przeciwników w walce, psychoanalityka z analizowanym. Ów związek odbywa się poprzez ciało, podobnie jak przez ciało zachodzi nasz kontakt ze światem.

Nikt tak dotąd po polsku nie wprowadzał, jak Janion, w mowę bólu, rozkoszy, fizycznych prywacji, ulg i paroksyzmów, zagnieżdżania się w sobie i stanów zwanych chęcią wyskoczenia z siebie. A także błogości, a także wstrętu. Tak rozpoczął się cykl wypraw poprzez kondycje osób szczególnie predestynowanych do nadwrażliwości cielesnej, lub, jeśli wola, nadmiernie na nią narażonych: neurotyków, chorych na ból istnienia, udręczonych sobą, mniejszości seksualnych, a wreszcie kobiet.

Zbiór Janion „Kobiety i duch inności" (1996) otwiera studium „Bogini Wolności (Dlaczego rewolucja jest kobietą?)". Natrętna symbolika postaci wiodącej na barykady, wznoszącej sztandar bądź pochodnię, swą moc zawdzięcza – pisze badaczka – podszyciu jej obrazem „Kobiety frenetycznej, dzikiej, pełnej mocy transgresyjnej", której nigdy nie może do końca uładzić najbardziej nawet klasycystyczna stylizacja. Punktem obrazy jest więc fantazmatyczna cielesność symbolu: w dniach Wielkiej Rewolucji Francuskiej rolę żywych posągów Wolności powierzano aktorkom i prostytutkom. Ten „symbol", aby działać, musiał być żywy, czyli domyślnie nagi. Janion sięga po słowa poety rewolucji lipcowej 1830 r., Auguste'a Barbiera, o posągowej niewieście „z cerą ogorzałą i ogniem w źrenicy", która przygarnia tylko kochanków, „co ją ściskają rękami krwią zbroczonymi". Wolność, choćby w todze i wieńcu, to zawsze kobieta z pospólstwa, naznaczona piętnem seksualnej swobody.

I tutaj Janion przytacza niebywałe świadectwo z grudnia 1831 r. swego ukochanego Krasińskiego, który ujrzał w oberży, nad kotłem w kłębach pary młodą, rozchełstaną pomywaczkę: „...to kobieta przyszłości, kobieta emancypowana, o której marzą dzisiejsi szatańscy utopiści. (...) z równą łatwością będzie zabijać i rodzić. Zerwie zasłonę wstydu...".

Ów wizerunek pół czarownicy, pół drapieżnego zwierza, do znalezienia w „Nie-Boskiej komedii", prowadzi Janion do konkluzji, która uwydatnia awersję i fascynację, sprzęgnięte z wyobrażeniem Wolności: „Kobieta jest szaleństwem". Zaraża szaleństwem Wolność. Kobiecość jest w swej istocie zdolna zdruzgotać wszelki zakaz. Jest szaleństwem, bo w sposób nieredukowalny dla samej siebie okazuje się ciałem.

Wolność, seksualność, cielesność w swych historycznych przebraniach i indywidualnych obsesjach zbiegają się w punkcie, którego opis Janion zapożycza od André Bretona: jest to „punkt, w którym umysł przestaje postrzegać jako sprzeczne życie i śmierć" („Drugi manifest surrealizmu"). Dodać tu można realne i wyobrażone, możliwe i niemożliwe do przekazania, cielesne i duchowe, doczesne i wieczne, święte i przeklęte. „To jest ten p u n k t, t a c h w i l a t r a n s g r e s j i, o których już tyle mówiliśmy". To punkt styku dwu skrzydeł „prowincji pedagogicznej" Marii Janion.

Sedno rzeczy

W istocie nauczanie Janion obraca się wokół sztuki zgłębiania sensów ↦

↦ ukrytych. W jej wydaniu jest to wiedza o metamorfozach: symboli, wyobrażeń, przekonań, postaw i ideologii. Przy czym wizji ich przemian towarzyszy zawsze interpretacja wsteczna, do źródeł, które są także źródłami myślenia. Tego profesor Janion umiała skutecznie nauczyć.

A czego nie nauczała? Nie kształtowała tzw. dobrego smaku, czytania porządków elegancji i mody. Nie uczyła ani namaszczenia, ani przybierania póz i zgrywy *à la* Witkacy. Omijała wielkim łukiem pracowite pozytywistyczne cnoty i synkretyczne wdzięczenia się secesji. A zwłaszcza miała na pieńku z klasycyzmem, kulturą despotów i ich fagasów, wielbicieli obłudy tudzież pałaców z kolumnadą i konnym pomnikiem na dziedzińcu. Sztuką i literaturą, która ma zmusić do przygięcia karku, do uznania, czyli wszczepienia sobie poczucia niższości wobec władzy. Pierwszą z wartości była dla niej wolność tragiczna, antynomia praw o sankcji sakralnej, jakie zawsze uzurpuje sobie przemoc.

Stąd trzeba tu, w zakończeniu, oddać głos temu, co najbardziej jej wrogie. Mówi, głęboko wierząc w to, co mówi, Liwia, małżonka cezara Augusta, w tragedii Pierre'a Corneille'a „Cynna":

Wszystkie zbrodnie spełnione
dla wzięcia korony
Odpuszczają nam bogi, gdy koronę
dają;
Kto taki cel osiąga, nie może być
winien.
Bezkarny w tym, co zrobił, i co zrobi
jeszcze.
Winniśmy jemu dobra, w jego
rękach życie,
A prawom jego nasze ulec muszą.

(przekład Ludwika Osińskiego)

Ta trudna cnota wyrzeczenia się wolności jest także odwieczna: znana na dworze rzymskiego cezara i na dworze Króla Słońce, i później. Trwa niewzruszona przez wszystkie wieki i ustroje. Nieruchoma, łamiąca dusze, niepodległa przemianom. Przeciwieństwo wszystkiego, co zmienne, ruchliwe, żywe, sprzyjające myśli i twórczości – człowiecze, humanistyczne, jak dzieło Marii Janion.

© ELIZA KĄCKA

Muzea przyszłości

PIOTR KOSIEWSKI

Amerykańskie muzea tracą ok. 33 mln dolarów dziennie, nawet 30 proc. z nich upadnie bez znacznej pomocy. Jak jest i jak będzie w Polsce?

Z danych zebranych przez UNESCO oraz International Council of Museums (ICOM) 90 proc. muzeów na świecie – czyli około 85 tys. placówek – musiało zamknąć podwoje w wyniku pandemii. W Europie, Azji i Ameryce Północnej większość z nich zdołała przenieść się do świata wirtualnego, ale

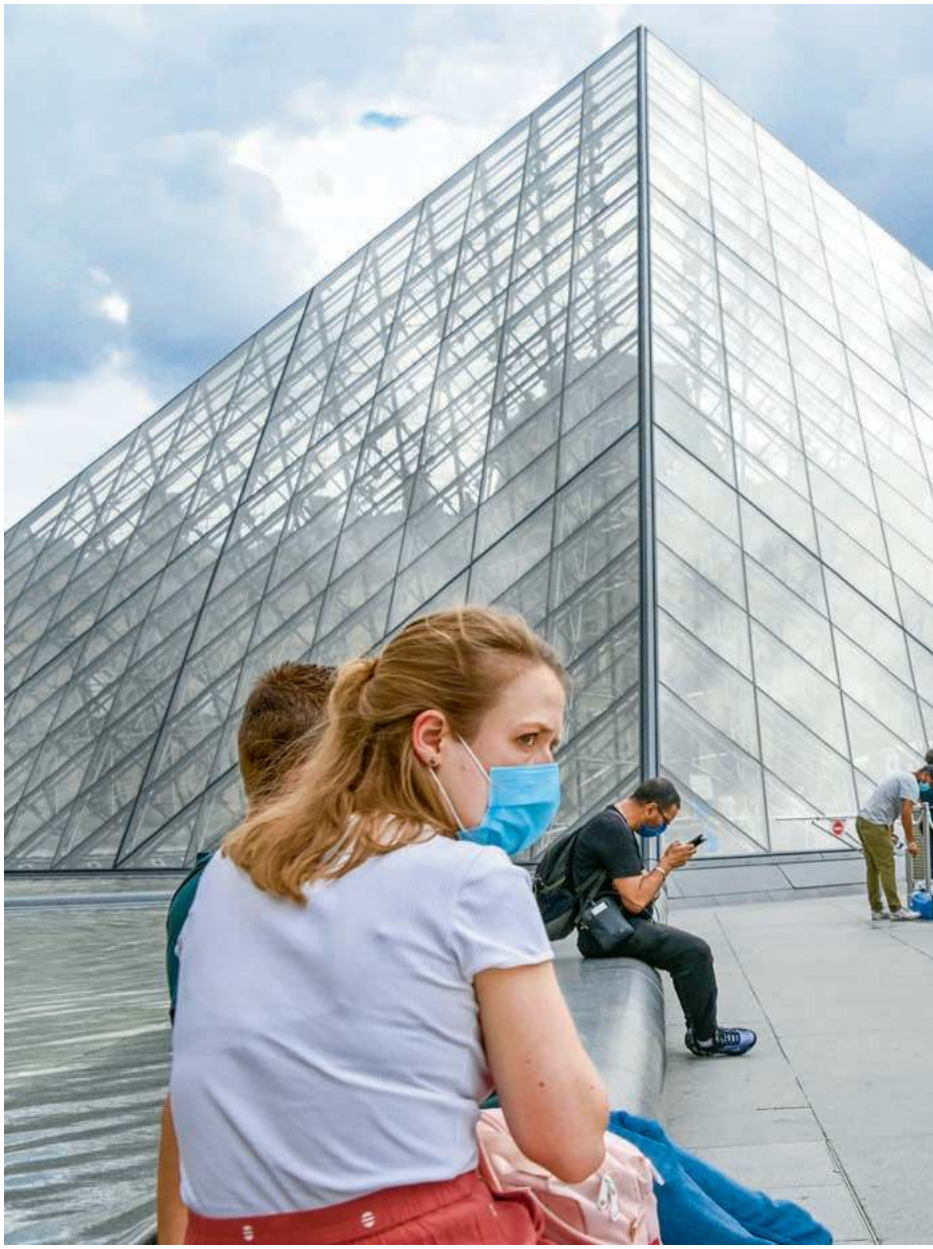

w Afryce i na wyspach na Morzu Karaibskim oraz Oceanie Atlantyckim, Indyjskim i Spokojnym tylko 5 proc. muzeów zdołało udostępnić materiały *online*. Obliczono także, że 13 proc. muzeów na całym świecie może przestać istnieć. Już te liczby pokazują skalę problemu.

Wychodzenie ze stanu zamrożenia

Florencka Galeria Uffizi otworzyła się na początku czerwca, paryski Luwr dopiero na początku lipca, przy czym zamkniętych pozostaje nadal około 30 proc. sal. W tym samym czasie otworzyła się londyńska National Gallery, ale tamtejsza Tate dopiero na początku sierpnia.

Wszystkie muzea musiały się też dostosować do zasad wymuszających społeczny dystans. W Belgii ograniczono liczbę zwiedzających do 50 na godzinę. Drezdeńska Gemäldegalerie może przyjąć więcej, bo jednorazowo do 200 osób. To niewielkie liczby. Tymczasem w ubiegłym roku Luwr zwiedziło 9,6 mln osób. Chińskie Muzeum Narodowe w Pekinie miało 7,4 mln odwiedzających, Muzea Watykańskie 6,9 mln, a nowojorskie Metropolitan Museum of Art 6,5 mln.

Liczba odwiedzających Luwr w tym roku spadnie o 80 proc. I jak podkreśla jego dyrektor Jean-Luc Martinez, powolnego ożywienia trzeba się spodziewać w 2021 r., a stopniowego powrotu do sytuacji sprzed pandemii dopiero w latach 2023-24. Z kolei szefowa Tate, Maria Balshaw, szacuje, że w tym roku można liczyć na 30 proc. liczby dotychczas odwiedzających wszystkie oddziały. Muzea muszą zatem zmierzyć się z dwoma wyzwaniami: stratami wywołanymi przymusowym lockdownem oraz funkcjonowaniem w nowych warunkach, przy znacznie mniejszej publiczności. Wynika to zarówno z zagrożenia epidemicznego, jak i ze zmian w ruchu turystycznym oraz sposobach spędzania wolnego czasu.

Straty Luwru to ok. 40 mln euro, Uffiziów – 12 mln euro. A dochody tego „inkubatora finansowego dla Florencji i dla całych Włoch" przekładają się na sytuację innych branż. Część instytucji straciła nawet połowę przychodów, na które składają się nie tylko zyski z biletów, ale też z usług oferowanych przez ich sklepy i kawiarnie. Stąd w wielu krajach zorganizowano pomoc publiczną dla muzeów – muzea brytyjskie otrzymały pakiet wartości 1,5 mld funtów.

W jeszcze trudniejszej sytuacji znalazły się muzea amerykańskie. Kiedy poinformowano, że Metropolitan Museum of Art w związku z pandemią może stracić 100 mln dolarów, Hesse McGraw, dyrektor Contemporary Arts Museum Houston zadał dramatyczne pytanie: „Jeśli taka jest sytuacja w Met, jak my sobie poradzimy?". Nowojorskie muzeum słynie przecież z hojnych sponsorów i ma znaczne własne środki. American Alliance of Museums (AAM) – jak podał magazyn „Frieze" – szacuje, że amerykańskie muzea tracą ok. 33 mln dolarów dziennie, a nawet 30 proc. z nich może upaść. Muszą zatem ograniczać programy i redukować zatrudnienie. Już w marcu Museum of Contemporary Art i Hammer Museum – najważniejsze muzea sztuki w Los Angeles – zwolniły 247 pracowników zatrudnionych w wymiarze godzinowym.

W ostatnich miesiącach kolejne muzea na świecie ogłaszają zmniejszenie środków na działalność – ograniczają zakupy oraz redukują personel. Same też stają się obiektem krytyki. Ponownemu otwarciu Tate towarzyszyły protesty, okazało się ↦

BERTRAND GUAY / AFP / EAST NEWS

Luwr, Paryż, 15 sierpnia 2020 r.

Polska frekwencja

W LIPCU TEGO ROKU Muzeum Narodowe w Warszawie odwiedziło 7 714 osób (w lipcu 2019 – 22 028 osób), MN w Krakowie 43 788 (2019 – 102 424). W przypadku tej drugiej placówki oznacza to spadek o 57 proc. (ale licząc okres od stycznia do lipca 2020 w porównaniu z analogicznym okresem roku 2019 aż o 73 proc.). W Muzeum Powstania Warszawskiego w lipcu tego roku frekwencja zmalała o ok. 35-40 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym, a w Muzeum Regionalnym w Stalowej Woli spadła o prawie 90 proc. W przypadku Muzeum Pałacu w Wilanowie sam pałac w lipcu tego roku zwiedziły 4 593 osoby (w ubiegłym 32 161). Wzrosła natomiast liczba osób odwiedzających park z 29 871 do 33 913 osób, co dobrze pokazuje zmianę zachowań.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Galeria Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach otwarta po przerwie spowodowanej pandemią, Kraków, 10 maja 2020 r.

↦ bowiem, że może dojść do zwolnienia 334 pracowników działu handlowego. Tymczasem galeria otrzymała od rządu 7 mln funtów w ramach pomocy w czasie pandemii.

Czas wielkiej zmiany?

Pandemia wymusiła przede wszystkim radykalną rewizję polityki wystawienniczej. Ekspozycję zorganizowaną w 500-lecie urodzin Rafaela w rzymskich Scuderie del Quirinale na czas lockdownu zamknięto. Otwarto ją ponownie 2 czerwca, jednak konieczność przyjmowania widzów w reżimie sanitarnym ograniczyła ich liczbę – a wystawa miała być nie tylko wielkim wydarzeniem artystycznym, ale też przyciągnąć tłumy (ubiegłoroczną rocznicową wystawę Leonarda da Vinci w Luwrze obejrzało 1,1 mln) i zrekompensować wydatki na jej organizację. Część wystaw przesunięto na kolejne miesiące, ale daty otwarcia niektórych, jak zaplanowanej pierwotnie na czerwiec dużej monograficznej wystawy Magdaleny Abakanowicz w Tate Modern, nadal są nieznane.

Kluczowe zatem stało się pytanie o przyszłość wystaw, zwłaszcza tzw. *blockbusters* w czasie pandemii. A to wystawy w ostatnich dekadach kreowały wizerunek muzeów, przyciągały do nich tłumy i stały się częścią stałej (i oczekiwanej) oferty kulturalnej. No i przynosiły znaczące zyski. W ubiegłym roku wystawę Edvarda Muncha w tokijskim Metropolitan Art Museum odwiedziło 670 tys. zwiedzających, a Gustava Klimta – blisko 580 tys. Wystawę z okazji 450. rocznicy śmierci Pietera Bruegla st. w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum obejrzało 408 tys. osób, a wspólny pokaz prac Rembrandta, Velázqueza i Vermeera w madryckim Prado oglądały dziennie 4553 osoby.

Jednak z wielkimi wystawami wiążą się też liczne problemy, od generowania ogromnych kosztów (prace na rzymskiej wystawie Rafaela ubezpieczono na 4 mld euro!), po komercjalizację i trywializację sztuki i jej odbioru. Coraz częściej mówi się też o szkodliwych ekologicznych konsekwencjach turyzmu, którego częścią stały się *blockbusters*. Coraz głośniej słychać pytanie: czy i jak muzea muszą się zmienić?

Adrian Ellis, dyrektor AEA Consulting i przewodniczący Global Cultural Districts Network skupiającej światowe ośrodki kultury i sztuki, po rozmowach z szefami ważnych muzeów sformułował na łamach „The Art Newspaper" osiem postulatów. Jeżeli muzea z kryzysu wyjdą z nietkniętymi strukturami i przyzwyczajeniami, to – podkreśla Ellis – popełnią ogromny błąd.

Wśród jego postulatów jest przyjęcie nowych wskaźników sukcesu, czyli przede wszystkim odejście od liczby zwiedzających jako podstawowej miary oceny działania. Muzea muszą bardziej strategicznie podchodzić do wystaw czasowych i wyraźniej łączyć je z zasadniczymi celami instytucji, a ich program weryfikować pod kątem zmieniającej się rzeczywistości. Powinny też zostać silniej związane z otoczeniem, w którym działają. Stać się, obok instytucji edukacyjnych i zdrowotnych, „kotwicami społeczności". Jednym z zadań muzeów – dodaje Ellis – powinno być wykorzystanie sztuki do wymyślenia na nowo społeczeństwa, któremu służą.

Polska – wyspa niezielona

W Polsce od 4 maja możliwe było ponowne otwarcie muzeów. Wśród pierwszych, które przyjęły widzów, był Zamek Królewski w Warszawie. W maju otworzyły się też Muzea Narodowe w Warszawie i Krakowie. Inne dłużej się przygotowywały do nowej sytuacji. Muzeum Powstania Warszawskiego można było zwiedzać od 3 czerwca, stałą wystawę Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN dopiero od 1 sierpnia.

Przypadek tych dwóch ostatnich placówek pokazuje trudności, przed jakimi stanęły muzea narracyjne. Uznawane za jedne z najbardziej nowoczesnych, chętnie korzystające z multimediów i umożliwiające widzom interakcje z obiektami na wystawach, mają teraz najwięcej trudności z dostosowaniem się do nowych wymogów sanitarnych.

W Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na początku czerwca otwarto przygotowywaną przed lockdownem wystawę „Wiek półcienia. Sztuka w czasach planetarnej zmiany", ale zrezygnowano z większości pozostałych planów, skupiając się przede wszystkim na pomocy artystkom i artystom dotkniętym kryzysem spowodowanym COVID-19. Powołano, m.in. ze środków prywatnych osób i instytucji, Fundusz Szybkiego Reagowania, który pozwolił już na zakup prac oraz na wsparcie autorów i autorek głośnej akcji „List".

Pandemia ma wreszcie znaczące następstwa dla budżetów muzeów. W krakowskim Muzeum Narodowym spadek planowanych przychodów w okresie styczeń – lipiec to 1,554 mln zł z biletów oraz 350 tys. zł z wynajmu. Muzeum Sztuki w Łodzi szacuje stratę przychodów własnych w tym roku na poziomie 50-60 proc. Dlatego kluczowe stało się wsparcie ze środków publicznych.

W ramach „Kultury w sieci" MKiDN przekazało łącznie dla instytucji kultury 80 mln zł. Jednak te środki były przeznaczone na organizację wydarzeń *online*, a zatem na dodatkowe działania projektowe. Nie rozwiązywało to podstawowych problemów muzeów. Na początku sierpnia ministerstwo ogłosiło powstanie Funduszu Wsparcia Kultury z budżetem 400 mln zł. Samorządowe instytucje kultury będą mogły występować o rekompensatę do 40 proc. utraconych przychodów z działalności statutowej oraz dodatkowej, zrealizowanych w analogicznym okresie 2019 r.

Jednak ten fundusz dotyczy teatru, muzyki i tańca. Podobny fundusz, który dotyczyłby muzeów (a także sztuk wizualnych), jest wręcz konieczny. Przygotowano natomiast nowelizację budżetu pozwalającą na zrekompensowanie strat instytucjom kultury prowadzonym i współprowadzonym przez MKiDN.

W pandemicznej rzeczywistości

Rozwój treści *online*, wprowadzenie nowych form aktywności i sposobów komunikowania się z publicznością, w tym przystosowanie oferty edukacyjnej do zdalnego prowadzenia zajęć – te próby odnalezienia się w rzeczywistości wirtualnej to temat mniej dyskutowany medialnie, podobnie jak przejście muzeów na prace zdalną. Jak podkreśla Lucyna Mizera, dyrektor Muzeum Regionalnego w Stalowej Woli: – Te rozwiązania będą kluczowe dla funkcjonowania muzeów i wskazania niezbędnych zmian, czyli wypracowania nowego formatu programu merytorycznego czy przeprowadzenia cyfryzacji muzeów. W konsekwencji – zbudowania nowej strategii rozwoju i określenia roli społecznej, jaką muzeum ma pełnić w przyszłości.

Adrian Ellis wśród ośmiu koniecznych zmian wymienił rozwój programów edukacyjnych. Edukacja od dawna stała się mocną stroną polskich instytucji. Więcej, to w tej sferze w polskim muzealnictwie dokonała się pierwsza, i to radykalna zmiana, którą możemy się chwalić także poza krajem. Jednak pandemia dokonała ogromnych spustoszeń. Tylko Wilanów organizował rocznie 4,5 tys. zajęć warsztatowych i lekcji muzealnych. Ich liczba w ostatnich miesiącach spadła do kilkudziesięciu. Trzeba teraz znaleźć nowy sposób na edukację.

Muzea muszą zmierzyć się z dwoma wyzwaniami: stratami wywołanymi lockdownem oraz funkcjonowaniem w nowych warunkach, przy znacznie mniejszej publiczności.

W najbliższych miesiącach, a zapewne nawet dłużej, muzea będą funkcjonować w ograniczonym zakresie. Mniej będzie wystaw i innych wydarzeń. Na pewno bardziej skoncentrują się na własnych zbiorach, także po to, by ograniczyć zwłaszcza zagraniczne wypożyczenia.

– W przyszłości ludzie chętnie powrócą do odwiedzania muzeów i uczestniczenia w ich ofercie – podkreśla Paweł Ukielski, zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego. – Bezpośredni kontakt z żywą, wciągającą i emocjonującą historią wciąż będzie atrakcyjny. Pytanie tylko, jak długo zajmie powrót do tego stanu.

Muzea na nowe czasy?

Czy więc muzea zmienią się pod wpływem pandemii? Na pewno zostaną zmuszone do poważnych ograniczeń. Skończą się blockbustery i milionowe wydatki na powiększanie kolekcji.

– Nawet jeśli się zmienią, będzie to zmiana krótkotrwała – podkreśla Jarosław Suchan, dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi. – Jak tylko kryzys finansowy spowodowany lockdownem zostanie przezwyciężony, spektakularna polityka programowa powróci.

Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, zwraca uwagę, że obecny kryzys nie oznacza destrukcji infrastruktury muzealnej: budynki istnieją, nie zniszczono dzieł sztuki. To sprzyja powrotowi do stanu sprzed pandemii. – W krajach rozwiniętych muzea dziś to elementy gospodarczego wzrostu i rozwoju. Będą zatem wspierane, a nawet traktowane jako ważne inwestycje pozwalające wyjść z kryzysu gospodarczego. Jest więc mecenas gotowy na finansowe wsparcie i pomoc.

– Obecna sytuacja może pomóc w wypracowaniu nowych strategii wsparcia – przekonuje Paweł Jaskanis, dyrektor Muzeum Pałacu w Wilanowie. – Czas kryzysu to okazja, by w miejscach o szczególnie dużej frekwencji i znaczeniu dla turyzmu kulturowego wzmocnić infrastrukturę turystyczną i edukacyjną oraz zaopatrzyć je w środki umożliwiające przeprowadzenie prac remontowo-konserwatorskich, co zapewni powiązanym obszarom gospodarki szybki powrót do normalności.

Czy jesteśmy zatem skazani na powrót do przeszłości? Na pewno dla części instytucji kryzys epidemiczny będzie okazją do zdefiniowania się na nowo. By jednak zmiana zaszła w szerszej skali, musi dojść do innej zmiany: sposobu myślenia o roli muzeów.

– Teraz są one – zwraca uwagę Jarosław Suchan – w dużej mierze częścią ekonomii wolnego czasu oraz turyzmu i decydenci kierują wobec nich oczekiwania, które mogą być zaspokojone tylko dzięki wystawom popularnym i tłumnie odwiedzanym.

© PIOTR KOSIEWSKI

Trzecia możliwość

JERZY JARNIEWICZ

Oswald obnaża absurd, jakim jest prawodawstwo traktujące kulturę jak prywatną własność czy dochodowy towar.

Alice Oswald, jedna z najciekawszych dziś poetek języka angielskiego, wydaje poemat „Memorial" i oznajmia, że to jej przekład „Iliady" – z tym że nie „zawartej w niej opowieści", ale „atmosfery". I usuwa siedem ósmych tekstu z dzieła Homera. Bądźcie gotowi na trzęsienie ziemi, wy, którzy tę zbójecką książkę do rąk bierzecie.

Właśnie ukazał się przekład poematu na polski, jako „Monument". Praca Magdy Heydel, której udało się stworzyć dynamiczny, zespojony współbrzmieniami i bujny język, zasługuje na pochwałę i oddzielne studium.

A co z „Iliadą" według Oswald? Czyja w ogóle jest „Iliada" i czym jest?

Przekład nieprawomyślny

„Atmosfera" to impresyjny, niewiele mówiący, a więc i niezobowiązujący rzeczownik. Ale właśnie ten mglisty aspekt eposu znalazł się w centrum uwagi Alice Oswald, klasycystki i profesor poezji na Uniwersytecie Oksfordzkim, przekładającej Homera. Ważniejsze jest jednak, co w swoim przekładzie poetka pominęła: jeden z najważniejszych poematów epickich ogołocony zostaje z narracji, a więc z tego, co stanowi jego istotę. Oswald nie lubi półśrodków i aby pozbyć się opowieści, odrzuca owe siedem ósmych poematu Homera, wydobywając z niego i tłumacząc jedynie dwa rodzaje tekstów: opisy śmierci kilkudziesięciu wojowników oraz rozbudowane porównania. Według Oswald te pierwsze wywodzą się z tradycyjnej poezji lamentacyjnej, te drugie – z poezji pastoralnej.

Dostajemy więc sceny śmierci, beznamiętnie sprawozdawcze obrazy krwawych jatek, przeplatane poetyckimi porównaniami czerpiącymi inspirację z natury, wzlotami językowej wyobraźni, które poetka za każdym razem powtarza dwukrotnie, by pod koniec poematu oddać im całkowicie głos. Śmierć i wyobraźnia tworzą dwa bieguny tej „Iliady", której wersy prowadzą do zdominowania żywiołu śmierci przez zanurzoną w naturze poezję.

Choć Oswald kilkakrotnie pisze o swoim poemacie jako „przekładzie", czyni ważne rozróżnienie: sceny śmierci są p a r a f r a z a m i greckiego tekstu, porównania zaś – jego t ł u m a c z e n i a m i. Z jedną drobną korektą, która to rozróżnienie w pewnym sensie unieważnia: Oswald twierdzi bowiem, że jej przekłady są „nieprawomyślne". Używa tu słowa „*irreverent*", co przełożyłbym jako „przekład bez nabożnego stosunku do oryginału".

Konia z rzędem temu, kto uchwyci różnicę między parafrazą a „nieprawomyślnym" czy „pozbawionym nabożności" przekładem. O niechlujstwo języka Oswald podejrzewać nie można; poetka jak nikt inny świadoma jest sensu użytych słów. Jeśli gra brakiem językowej precyzji, to dlatego, by pokazać tym wszystkim, którzy chcieliby przekład literacki zdefiniować, że błądzą: „nie ujarzmicie teorią tego, co twórcze" – wydaje się mówić, wychodząc poza przyjęte kategorie i klasyfikacje. Jej „Monument" jest i nie jest przekładem. Prawo wyłączonego środka nie obowiązuje twórców.

Podobnie jak nie obowiązuje twórców prawo własności w literaturze. Oswald „nieprawomyślnie" przekłada „Iliadę", pozbawia ją siedmiu ósmych tekstu, podpisuje swoim nazwiskiem i uchodzi jej to na sucho, bo szczęśliwie Homer zmarł przed wiekami, a jego dzieło jest w domenie publicznej. Czy mogłaby zrobić to samo np. z „Ziemią jałową" Eliota? Czy mogłaby wymazać siedem ósmych „Lolity" Nabokova, a to, co zostało, opublikować pod swoim nazwiskiem?

Nie sądzę, by połączone siły agentów, wydawców i właścicieli praw wyraziły na

Homer korzystał

PRZEKŁAD „ILIADY" Homera autorstwa Alice Oswald można potraktować też jako eksperyment naukowy. Autorka traktuje bowiem materię poematu w stylu typowym dla autorów antycznych, a jednocześnie zgodnym z najnowszym stanem wiedzy o historii Grecji epoki mykeńskiej. Historycy dość zgodnie datują dziś „Iliadę" na VIII wiek p.n.e. Tradycja starogrecka nigdy nie widziała w Homerze świadka wojny trojańskiej. Badania archeologiczne prowadzone na wzgórzu Hisarlik od końca XIX wieku pozwoliły jednak na datowanie oblężenia Troi (wśród naukowców dominuje dziś konsensus co jego autentyczności) na przełom XIII i XII wieku p.n.e. „Iliada" traktuje zatem o wydarzeniach, które miały miejsce około 400 lat przed narodzinami jej autora.

W JAKI SPOSÓB do czasów Homera przetrwała pamięć o tamtej wojnie? Historycy są przekonani, że wiele fragmentów poematu Homera nie jest poetyckim zmyśleniem, lecz cytatem z ustnej tradycji, która przez stulecia przechowywała wiedzę o wyprawie trojańskiej w formie melorecytacji, przekazywanych przez wędrownych poetów-śpiewaków (aojdów). Dowodem na taką genezę „Iliady" mogą być m.in. związki frazeologiczne powtarzające się w całym tekście, które w jego wcześniejszych wersjach stanowiły zapewne mnemotechniczne ułatwienia dla recytujących i dla słuchaczy. Oswald oddaje więc Homerowi specyficzny hołd, usuwając ze swojej „Iliady" to, co stanowiło jedynie osnowę, a może wręcz balast dla jego poetyckiej wyobraźni. Dla ociemniałego poety najważniejsze było zachowanie pamięci o bohaterach przeszłości – stąd wyeksponowanie ich imion. Ingerencja w tekst, która jest dla nas protestem przeciwko dyktaturze praw autorskich, z perspektywy starożytnych, nieznających pojęcia copyrightu, nie byłaby niczym dziwnym.

©℗ MAREK RABIJ

to zgodę, a jeśli już, to zgoda taka musiałaby być sowicie opłacona, wykluczając tym samym twórców niedysponujących tysiącami dolarów. Tak to znakomity poemat Oswald obnaża absurd, jakim jest prawodawstwo traktujące kulturę jak prywatną własność czy dochodowy towar, praktycznie uniemożliwiając podobny jak w „Monumencie", „nieprawomyślny" dialog z tekstami literackimi. Tekst, z którego nie powstają inne teksty, jest tekstem martwym. Nie wiem, czy Oswald by się pod tym podpisała, jej poemat jednak mówi to za nią wyraźnie: teksty kultury nie mają właścicieli, a przekład, jak każda twórczość, jest domeną wolności.

Pan Homer i pani Oswald

Jak radykalny jest jej gest, świadczą losy tej książki. W podtytule poematu Oswald nazywa go „wykopaliskami z »Iliady«", jeszcze dobitniej odchodząc od literaturoznawczej terminologii i proponując celną metaforę. Gdy jednak książkę wydał amerykański wydawca, postanowił zmienić podtytuł na „Wersja »Iliady« Homera". „Wykopaliska" uruchamiają wyobraźnię, prościej więc nie kłopotać czytelników i dać im książkę z bezproblemową etykietką: „wersja".

Trudno o lepszy dowód na to, jak głęboko zakorzeniona jest potrzeba rzeczywistości raz na zawsze uporządkowanej. Wydawca amerykański chciałby żyć i prowadzić swoje interesy w świecie, gdzie nikt nie ma wątpliwości, czym jest „wersja", a czym „przekład".

Jakby tego było mało, do tytułu dorzucił imię autora „Iliady", nie tyle, by czytelnikom przypomnieć, kto ją skomponował, ile by wprowadzić na stronę tytułową właściwy ład: Alice Oswald nie może być przecież jedynym nazwiskiem przy „Iliadzie". Oswald trzeba ujarzmić, dodając do tytułu imię greckiego poety, bez którego, wiadomo, Oswald by nie było. Że pewną rolę w tym przywoływaniu poetki do porządku odgrywa jej płeć, jest równie przewidywalne, co żałosne.

Pytaniem pozostaje, czy to, co zrobiła z „Iliady" Oswald, to rzeczywiście „wykopaliska"? Podsunęła nam metaforę, która każe spojrzeć na poemat jako na fragmenty ocalone, a pracę poetki przyrównać do pracy archeolożki, przywracającej do życia pogrzebaną przeszłość. Można tak interpretować gest Oswald – wydobyła z poematu to, na co najmniej zwracamy uwagę, śledząc historię gniewu Achillesa i losy półboskich bohaterów, których imiona znamy na pamięć. Oswald tymczasem zaczyna poemat nie od inwokacji, ale od listy poległych wojowników.

GERAINT LEWIS / BEW

Alice Oswald, sierpień 2012 r.

To ponad dwieście imion, zapisanych wersalikami w jednej długiej kolumnie – i są to w większości zapomniane imiona ofiar trojańskiej rzezi, dla których w „Iliadzie" znalazło się miejsce na marginesach podstawowej narracji. Lista ta, rozpoczynająca się od Protesilaosa, a kończąca imieniem jego słynniejszego zabójcy, ciągnie się przez kilka stron jak apel lub przemarsz poległych, przypominając, że ofiary wojen najczęściej pozostają anonimowe, nawet jeśli ich nazwiska trafiają na jakieś listy.

Lista budzi skojarzenia z kilkoma znanymi pomnikami naszych czasów, np. z waszyngtońskim pomnikiem wojny wietnamskiej, na którego płycie wypisanych jest prawie 60 tysięcy nazwisk poległych żołnierzy, albo z pomnikiem pamięci ofiar masakry w Srebrenicy, w którym zastosowano ten sam artystyczny zabieg.

Oswald stawia zapomnianym ofiarom podobny pomnik, nie w kamieniu, ale w słowie. Pomnik, czyli ↦

↦ upamiętnienie: angielski tytuł „Memorial" odsyła wprost do pamięci (*memory*). Wybrany przez tłumaczkę polski „monument" to słowo, którego pierwotny związek z pamięcią i upamiętnianiem uległ już prawie zatarciu i które dziś, zwłaszcza w sensie przymiotnikowym, kojarzy się z obeliskiem czy budowlą dużych rozmiarów. Niemniej jednak do pamięci także się odwołuje – nie od rzeczy będzie przypomnieć, że podczas spotkań autorskich Oswald swojego poematu nie czyta, tylko recytuje z pamięci.

Ale może nie musimy iść tropem podsuniętym przez poetkę. Może jej „Monument" to nie wykopaliska, odzyskiwanie utraconego tekstu, lecz przeciwnie – jego wymazywanie? Może w tych kategoriach – sprzeciwu, kulturowej dywersji, wrogiego przejęcia, aktu obywatelskiego nieposłuszeństwa – na niego spojrzeć? I powiązać z tym, co zrobił Georges Perec w powieści „La Disparition", w ćwierć wieku po Zagładzie, wymazując ze swojego alfabetu literę „e"? A może skojarzyć go z wymazaniem przez Rauschenberga rysunku de Kooninga? Albo, by przywołać polskiego poetę, z Darkiem Foksem i jego „Café Spitfire", w którym z tekstu wyjściowego przy każdym powtórzeniu usuwane są kolejne słowa, aż zostaje jedno: „pamiętam"? „Monument" to poemat ocalony czy zniszczony?

Odpowiedziałbym tak, jak w przypadku pytania o to, czy mamy tu do czynienia z przekładem czy z utworem oryginalnym. Czy przekład ze swojej natury nie jest, nieuchronnie, jednoczesnym ocalaniem i niszczeniem, wydobywaniem i wymazywaniem, elegią i idyllą? Daruję więc sobie niewolnicze trzymanie się prawa wyłączonego środka: jest trzecia, na szczęście, możliwość. ©

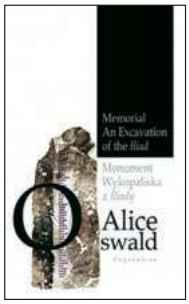

Alice Oswald
MONUMENT. WYKOPALISKA Z „ILIADY"
przełożyła Magda Heydel, Pogranicze, Sejny 2020

STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY

Mariana Di Girolamo (w środku) w filmie „Ema", 2019 r.

Ona tańczy dla siebie

ANITA PIOTROWSKA

Tytułowa bohaterka „Emy" uosabia czysty żywioł kina, tę zaciemnioną przestrzeń, gdzie na czas seansu dokonują się najśmielsze transgresje.

Ponoć pierwsze zdanie powieści jest niczym gwóźdź, na którym zawiesza się cała historia. W niektórych filmach takim gwoździem staje się pierwsze ujęcie. „Ema", najnowsze dzieło chilijskiego reżysera Pabla Larraína („Post Mortem", „El Club", „Jackie"), otwiera obraz płonącej sygnalizacji świetlnej w nocnym Vaparaíso: zielone, czerwone i żółte światła zlewają się w płomieniach. Co to oznacza dla przechodnia? Z pewnością jedno – nikt go tu nie przeprowadzi bezpiecznie na drugą stronę.

Sądząc po tytule, chciałoby się znaleźć w filmie „wszystko o Emie", ale przecież z taką bohaterką daleko się nie zajdzie. Widz nie dałby za nią przysłowiowego funta kłaków – nawet jeśli nie wie o niej zbyt dużo, to z pewnością wie rzeczy najgorsze. Młoda kobieta, grana przez fenomenalną debiutantkę Marianę Di Girolamo, zdecydowała się oddać do sierocińca kolumbijskie dziecko, które wcześniej wraz z dużo starszym mężem (Gael García Bernal) adoptowała.

W małżeńskich scysjach wyłażą najboleśniejsze dla obu stron zarzuty: to Ema była jako matka niedojrzała i perwersyjna. To Gastón był bezpłodny, co zmusiło parę do zbyt pochopnej adopcji Pola. To ona nauczyła chłopca niebezpiecznych zabaw z ogniem, które doprowadziły do tragedii – podpalenia przez niego siostry Emy i spalenia jej fragmentu twarzy. A może to ojciec, charyzmatyczny choreograf tańca współczesnego, coś tu zawalił? Pytania wbrew pozorom nie są retoryczne, albowiem Larraín na każdym kroku dokonuje zawieszeń, przewrotek lub przekroczeń. Proponuje zbójecki model kina, w którym próżno szukać prostej logiki przyczynowo-skutkowej, a tym samym moralnego komfortu.

Już sam fakt, że para zwraca adoptowanego chłopca, zostaje w „Emie" fabularnie zmarginalizowany. To nie ów problem, lecz ona, bezczelna dwudziestoparoletnia „dresiara" o tlenionych włosach, seksoholiczka i piromanka, rządzi ekranem, a na dodatek rozsadza go swoim dzikim ulicznym tańcem. Bo latynoamerykański reggaeton jest w filmie Larraína czymś więcej niż muzycznym ornamentem.

Ema po oddaniu dziecka i rozstaniu z Gastónem przeżywa głęboki kryzys. Porzuca nie tylko męża, ale także tworzone przez niego wysmakowane choreografie na tle ognistych kul i wraz z grupą in-

nych młodych kobiet znajduje własną ekspresję w bardziej plebejskich sceneriach i rytmach. Tych tanecznych oraz tych seksualnych. A film wyraźnie się nimi upaja, zamieniając się chwilami w rozwibrowany musical czy rozerotyzowany teledysk. Dlatego kluczowe dla tego typu sytuacji pytanie: „no dobrze, ale co z dzieckiem?!", długo pozostaje bez odpowiedzi.

Kamera podąża za postacią, która – zdawać by się mogło – najmniej na to zasługuje. I na pierwszy rzut oka twórców nie obchodzą ważkie diagnozy: co postawa Emy mówi nam o modelu współczesnej rodziny czy modelu kobiecości. Odrzucamy ją albo jej kibicujemy, na dobre i na złe. Jeśli widz zdecyduje się na to drugie, film wciągnie go w swój śliski, hipnotyczny rytm. W stroboskopowe orgietki, musicalowe układy taneczne i dziwne międzyludzkie gry, których sens przyjdzie mu poznać dopiero w ścisłym finale. Albo wręcz przeciwnie.

Larraín nie dba bowiem w swoim ekstatycznym filmowym tańcu o jakąkolwiek asekurację, szczególnie psychologiczną. Interesuje go sam przepływ energii, jaki dokonuje się między postaciami. I to Ema, pozornie najsłabsze ogniwo w tej grze, ostatecznie rozdaje wszystkie karty. Eksperymentując na sobie i na innych, lecz tańcząc tylko dla siebie, buduje nową rodzinę na własnych warunkach. Larraín kpi zaś w żywe oczy z naszych oczekiwań w tym względzie, w myśl wypowiedzianej na ekranie zasady: „coś trzeba spalić, by coś zasiać".

Największe ryzyko w przypadku „Emy" – i samej Emy – polega na tym, że konstruuje ona swoją tożsamość na anarchistycznym geście i nieustannym uwodzeniu. Co można sensownego na tym zbudować? Chilijski reżyser pokazuje, że w sensie filmowym sporo. Ema uosabia czysty żywioł kina, tę zaciemnioną przestrzeń, gdzie na czas seansu w bezpieczny sposób dokonują się najśmielsze i najbardziej nieprawdopodobne transgresje. Mimo ostentacyjnie „młodzieżowej" aury to film dla widzów dorosłych, wyzuty z wszelkiej pedagogiki. Jego programowa amoralność polega na unieważnieniu kwestii typu „jaką matką, żoną, kochanką jest tytułowa bohaterka". Larraína bardziej interesuje kreacyjny i destrukcyjny potencjał tej postaci wobec świata przedstawionego.

Poszarpana, dryfująca swobodnie fabuła rozgrywa się niejako w jej głowie. Wizualne fajerwerki, którymi film raczy nas w nieprzyzwoitym nadmiarze, są jej projekcją. Czy w ten sposób twórca „Jackie" dokonuje maksymalnego upodmiotowienia swojej bohaterki, czy też ją po prostu fetyszyzuje? Czy jego nowy film stanowi celebrację kobiecości, czy – jak chcą niektórzy – ostatecznie poświęca ją na ołtarzu macierzyństwa? To również pozostaje dyskusyjne, jakkolwiek siła spojrzenia Di Girolamo wystarczy tu za wszelkie egzegezy.

Jest w filmie scena, w której Ema odbywa rozmowę kwalifikacyjną przed podjęciem kolejnej pracy w szkole. Nawet sztywna dyrektorka wydaje się być pod urokiem młodej rebeliantki, pragnącej nauczać dzieci tańca jako nieskrępowanej cielesnej ekspresji. Znając wcześniejsze wyczyny tancerki, można spodziewać się po niej najgorszego, jakkolwiek wiemy skądinąd, że ma świetny kontakt z dziećmi i potrafi wykrzesać z nich wiele pozytywnych wibracji.

I choć ta sama osoba biega po mieście z miotaczem ognia, bałamuci zarówno mężczyzn, jak i kobiety, a wedle opinii z opieki społecznej bawiła się swoim adoptowanym dzieckiem niczym lalką, okazuje się, że w swoich uczuciach pozostaje krystalicznie wręcz uczciwa. To jeden z wielu paradoksów, jakie składają się na ten film: irytująco naskórkowy i równocześnie podskórnie pulsujący czymś, co można by nazwać kontrolowanym chaosem. Nieprzewidywalny i wciągający aż do ostatnich chwil. ©

EMA – *reż. Pablo Larraín. Prod. Chile 2019. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 11 września.*

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ

1. X i Y

Dramat, reż. Anna Odell, Dania/Szwecja 2018, Cinemax 2, 11 IX, 20.30, 12 IX, 10.40
Szwedzka artystka wizualna przeprowadza kolejny filmowy eksperyment. Zaprasza sławnych skandynawskich aktorów i aktorki do zamieszkania w specjalnym studiu, gdzie mają przetestować społeczne role płciowe. Efekt, na granicy życia i kreacji, jest jednak mniej intrygujący niż w poprzednim projekcie, „Zjazd absolwentów" (2013).

2. Tacy właśnie jesteśmy

Miniserial, reż. Luca Guadagnino, Włochy/ /USA 2020, HBO GO, 15 IX, HBO, 15 IX, 21.10
Twórca „Tamtych dni, tamtych nocy" i „Suspirii" próbuje sił w telewizji. Ośmioodcinkowa produkcja skupia się na dwójce współczesnych nastolatków żyjących wraz z rodzinami w amerykańskiej bazie wojskowej koło Wenecji. Można się spodziewać, że będzie to coś więcej niż jeszcze jeden serial o dorastaniu.

3. Koko-di, Koko-da

Horror, reż. Johannes Nyholm, Dania/Szwecja 2019, Canal+ Film, 15 IX, 23.35
Punkt wyjścia jak w klasyce gatunku: małżeństwo w żałobie po stracie dziecka wyjeżdża do lasu pod namiot, gdzie pada ofiarą dziwacznie ubranych zwyrodnialców. Dalej historia zapętla się niczym w upiornej pozytywce, wymagając od widza bardzo surrealistycznego poczucia humoru.

4. Bądź sobą, czyli nieopowiedziana historia Alice Guy-Blaché

Dokumentalny, reż. Pamela B. Green, USA 2018, Player+
Uważa się ją za pierwszą reżyserkę w historii kina, choć jeszcze niedawno prawie nikt o niej nie słyszał. Film odpomina nazwisko Guy-Blaché i jej zasługi w rozwoju kinowego języka. Prowadzi także śledztwo: jak to możliwe, że francusko-amerykańska pionierka została tak łatwo wygumkowana przez branżę i filmowych dziejopisów?

JAN

Klata:
Furgocą furgonetki

Dawno, dawno temu było sobie społeczeństwo. Społeczeństwo heterogeniczne. Ale pewni sprytni macherzy od losu postanowili, że oni zrobią społeczeństwo – proszę wybaczyć niemodne słowo – homogeniczne, i staną na jego czele na wieki wieków amen. Jak wymyślili, przystąpili do realizacji chytrego planu, gracko namierzając możliwie bezbronne grupy, szczując na siebie bliźnich. Jednych bliźnich było więcej, drugich dużo mniej, więc wynik był jasny jak słońce w zenicie, zwłaszcza że kolejne grupy ofiar nie były się w stanie ze sobą porozumieć, tocząc nieszczęsne a kuriozalnie zażarte agony wewnętrzne o to, kto jest zdrajcą, a kto po prostu pożytecznym idiotą.

Jedni drugich namierzyli, napiętnowali, odczłowieczyli i wykluczyli ze „wspólnoty". Co to za wspólnota, jeśli cudzysłów, nieprawdaż? Szafarze homogeniczności zwyciężyli w nierównej walce, ofiary wypędzono, zresocjalizowano bądź też po prostu zakopano pod płotkiem. Życie stało się łatwiejsze, po prostu normalne, naród odetchnął, rodzinna rodzina na swojskim swoim jak u Szydłów za piecem, dzieci bezpieczne niczym w leśniczówce pod Malborkiem, owieczki w kolorze jednolitym łatwiej się wypasa i strzyże.

Czy czegoś żal? Absolutnie nie, to była wojna o Polskę, czy ona polska, czy niepolska. Wojna kulturowa, co prawda, ale za to na bagnety, niebiorąca jeńców. Wojna pozycyjna, dożywotnia. Pamiętajmy: niuanse są dla naiwnych, odcienie dla cieniasów, niech furgocą furgonetki, wątpliwości trapią tylko frajerów, to się leczy, dwa klapsy i po krzyku.

Ech, było, minęło, nie ma co wracać na cmentarzysko słusznego pogromu. Drwa rąbali, wióry leciały, niezbędne wióry przemian. Strach najlepszym przyjacielem człowieka, co ja mówię, więcej niż człowieka: Polaka. Lękajcie się, a będzie wam dane. Kinga Duda może spać spokojnie, ona była wporzo, cała na biało w Odrzywole.

Kilka mgnień wiosny później zapanowała niepodzielnie nowa normalność. Zwyczajny ziobryzm. To była bajeczka homogeniczna. Dobranoc, polskie dzieci. Cyt, iskierka zgasła. ©

Lektor:
Po dwóch dekadach

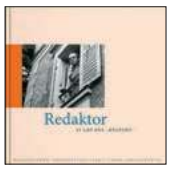

REDAKTOR. 20 LAT BEZ „KULTURY"
Redakcja: Iwona Hofman.
Współpraca: Ewelina Górka, Justyna Maguś.
Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020, ss. 316.

Jerzy Giedroyc umarł w ostatnim roku minionego stulecia i był jedną z najważniejszych postaci XX-wiecznej Polski, choć po roku 1939 nigdy nie przekroczył jej granic. W latach 30. redagował „Bunt Młodych" i „Politykę", głównym jego dziełem stały się jednak „Kultura" i Instytut Literacki. „Uprawnione są – pisze Iwona Hofman – porównania do Hotelu Lambert księcia Adama Czartoryskiego". Nieważne, ilu polityków odwoływało się i odwołuje do jego dziedzictwa – istotne jest, jak wiele zdziałał on sam z nielicznym gronem współpracowników i jak wiele jego przewidywań się ziściło. Rozpad ZSRR, niepodległa Ukraina, kraje bałtyckie w NATO, zjednoczone Niemcy w sojuszu z Polską – czterdzieści lat temu były to rojenia fantasty. Dzięki Maisons-Laffitte drogę do czytelników mogli znaleźć Gombrowicz i Miłosz, Herling, Wierzyński i Haupt. To Giedroyc był redaktorem-akuszerem wydobywającym eseje od Vincenza i Stempowskiego i wymuszającym na Czesławie Straszewiczu napisanie ostatniej powieści. Dzięki niemu Polacy mogli poznać dzieło Sołżenicyna. To on otworzył łamy „Kultury" dla rosyjskich dysydentów i pisarzy ukraińskich. A krajowi intelektualiści mogli liczyć na wsparcie i na druk tekstów, choćby pod pseudonimem. Giedroyc nigdy bowiem nie odwrócił się od kraju, obserwując zarówno procesy społeczne, jak i konflikty wewnątrz obozu władzy. „Dla nas jednak PRL była Polską" – powiedział sześć lat przed śmiercią Andrzejowi Mencwelowi. Rozmowa z prof. Mencwelem to element rocznicowej układanki wydanej w serii, w której uczczono wcześniej Leopolda Ungera, Bohdana Osadczuka i Jerzego Pomianowskiego. Piszą Krzysztof Pomian, Adam Michnik, Mirosław Chojecki, Piotr Mitzner, Piotr Kłoczowski, Rafał Habielski, Jan Pomorski, Sławomir M. Nowinowski, Andrzej Peciak, Paweł Rodak, Rafał Stobiecki, Klaudia Cymanow-Sosin, Gabor Lagzi, Leszek Szaruga i Tomasz Jastrun. Jest Józef Gawłowicz, który „Kulturę" przemycał na dowodzonych przez siebie statkach, Basil Kerski, kierujący dziś Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku, i Wojciech Sikora, kiedyś działacz krakowskiego SKS-u, dziś w zarządzie Instytutu Literackiego. Mnóstwo tematów, faktów i anegdot często nieznanych. A całość zamyka „Przesłanie" Giedroycia wyjęte z jego „Autobiografii na cztery ręce". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pejzaż z Biedronką

624 MILIONY ZŁOTYCH PODATKU WPŁACIŁ w zeszłym roku do budżetu właściciel sieci Biedronka. Żeby się zorientować, co znaczy ta liczba, dość zauważyć, że sieć figuruje na siódmym miejscu tabeli największych płatników – a co jeszcze smaczniejsze, jest w pierwszej dziesiątce jedyną firmą, która nie jest bankiem, koncernem energetycznym czy miedziowym.

Biedronka przez swoją, by tak rzec, niewyględność i prostotę nie pasuje na pierwszy rzut do tego eleganckiego towarzystwa. Ale *follow the money* (śledźcie pieniądz) – radził informator dziennikarzom tropiącym udział ludzi Nixona w podsłuchiwaniu politycznych konkurentów – z czego wyszła afera Watergate (i od tej pory poczciwa angielska brama, *gate*, została już na amen sufiksem każdego kolejnego przekrętu). Ta zasada sprawdza się także w poznawaniu realnych sprężyn naszej codzienności. Miejsce w elitarnym Top 10 podatników potwierdza tylko to, co już tu nieraz pisałem: nikt nie ma tak intymnej wiedzy o obyczajach, skłonnościach i nastrojach Polaków, jak Portugalczycy kierujący tą siecią dyskontów. Najwyższa pora pisać o niej doktoraty z antropologii, a także otoczyć czułą opieką kontrwywiadowczą – podobnie jak się chroni przed sabotażem krytyczną infrastrukturę łączności czy przesyłu energii.

Fascynuje mnie przy tym, jak bardzo się różnią poszczególne sklepy, choć zasadniczo sprzedają dokładnie to samo za tę samą cenę i w tej samej, mniej więcej, oprawie. Jak wiele można zrozumieć i wyczuć z danej okolicy, stosując wobec lokalnej „biedry" metodę niespiesznego przechodnia. Tak jak Stempowski łaził w okolicach Berna, gapiąc się na domy, drzewa i ścieżki nad rzeką, tak ja obserwuję z równą czułością regały, ciasne przejścia, lodówki, klasyfikuję bałagan, wdycham zapachy, rejestruję odgłosy i mowę ciała kolejki przed kasą.

W swoim krakowskim koczowaniu już czwarty raz rozbijam obóz w innej dzielnicy i pierwszy wymarsz do tutejszej placówki sieci dopiero mnie czeka. Czuję lekką ekscytację – choć oczywiście więcej serca i pieniędzy zostawiam na placu targowym, ale ten spenetrowałem starannie jeszcze zanim zdecydowałem się przenieść. Tymczasem zaś żegnam się powoli ze straganami pod halą na Grzegórzkach i ulicami Kazimierza.

Żal szybko minie, bo chociaż dzięki zacnym ludziom mieszkałem tam we wspaniałym wnętrzu, to nigdy jeszcze dotąd żadne ulice, place i chodniki tak mnie duchowo nie zgnębiły. Zrozumiałem, skąd u mieszkańców np. Barcelony odruch gniewu, a czasem i przemocy wobec krótkoterminowych turystów i imprezowej ciżby. Kosmopolityzm otwiera umysły i daje kreatywną różnorodność tylko dopóty, dopóki jest kontrapunktem dla jakoś jednak wyczuwalnej tożsamości miejsca. Kiedy, łażąc kwadrans po ulicach, nie mijam ani jednej osoby mówiącej po polsku, to nie jest już żaden kosmopolityzm tylko martwica miasta, zachwianie poczucia bycia u siebie. Odkąd trzy czwarte kubatury kamienic to mieszkania na krótki wynajem, Kazimierz wyrwał się wprawdzie z upadlającej roli dzielnicy biedy i degradacji, ale tylko po to, by stać się zadeptanym przez chwilowych przybyszów pustkowiem. Dobrze wiem, po kim ta pustka, jestem na nią wyczulony jako dawny obywatel warszawskiego Muranowa. Paradoksalnie, wielka czarna dziura po Żydach szybciej zarasta właśnie tam, gdzie dzielnica przestała fizycznie istnieć, i gdzie życie musi włożyć więcej wysiłku, żeby zakwitnąć wśród stawianych od zera blokowisk. Im nie grozi, że staną się zagłębiem pasożytniczej zabawy.

Nie żebym miał coś zasadniczo przeciw zabawie. Kazimierz to również miejsca, które z wdzięcznością będę dalej nawiedzał, choć nie mogę już wyjść na róg Józefa i Kupa w kapciach. Niedościgłe placki ziemniaczane i mielone u Sąsiadów na Miodowej, traktowane jak należy – z szacunkiem, a nie jako podrzędne żarcie, które topi się w starym tłuszczu i podaje na chamskim plastiku. Kilka wschodnich alternatyw, w tym Wschód na tejże Miodowej i Curry Up na Krakowskiej, z paletą przypraw całkiem odmienną niż w większości indyjskich restauracji w Polsce. Karakter i Zazie – które jak mijam, to żałuję, że mnie na nie nie stać za często. Zatęsknię za tymi miejscami na pewno, ale chyba nie za dzielnicą. Nawet w miejscowej Biedronce czułem się tam, po dwóch latach chodzenia po owsiankę i kefir, wciąż nieswojo – jakby w tę dzielnicę nie dało się zapuścić korzeni. ©℗

Epidemiczne restrykcje zwalniają mnie z parapetówki. Ale gdybym wydawał małe przyjęcie, to do rytualnych słonych paluszków podałbym gęstą potrawę z papryki, którą można tymiż paluszkami wyjadać na stojąco z miseczek. Kroimy na cieniutkie piórka po jednej czerwonej cebuli na każdą paprykę, której użyjemy, dusimy pomalutku na wolnym ogniu, aż zupełnie rozmięknie. Na osobnej patelni smażymy w dużej ilości oliwy i na dużym ogniu papryki żółte i czerwone, pocięte na cieniutkie paski. Musi to potrwać dobrych kilka minut, aż papryka naprawdę zmięknie, ale nie chodzi o to, by ją spalić – w razie czego można „ugasić" paroma łyżkami wody. Zmniejszamy ogień, dodajemy uduszoną cebulę i po jednym bardzo dojrzałym pomidorze na każdą użytą paprykę (pokrojonym w kosteczkę). Solimy i dusimy wszystko razem ok. 10 minut, aż pomidory się rozpadną, a całość będzie dość płynna. Wtedy dosypujemy dla zagęszczenia parę garści tartej bułki zrumienionej na orzechowy kolor na suchej patelni, wyłączamy ogień i dodajemy sporą garść startego pecorino romano. Warto odstawić dla przegryzienia. Jeśli podajemy na zimno, to dobrze zrobi parę kropel octu.

ANELKA / PIXABAY

UFAM TYLKO KORMORANOM

W kajaku mam wodę stale na wyciągnięcie ręki.
To, co na zewnątrz, jest wtedy tym, co wewnątrz mnie.
I biologicznie, i symbolicznie.

PIOTR SIKORA

Gdybym miał jednym słowem opisać krajobraz Wisły dwadzieścia kilka kilometrów w górę od Kazimierza Dolnego, powiedziałbym: wierzbowo-jasno-szeroki. Rzeka rozlana prawie jak jezioro, a niebo przestronne, że aż oddech sam się w płuca nabiera. I wszędzie światło, dobrze, że mam nowe przeciwsłoneczne okulary. Linię zaś brzegu, pomiędzy powietrzem a wodą, tworzą wierzby. Rosną tutaj od dawna, poskręcane, grube pnie i konary nie kłamią.

Wierzby. Gdzież im – można ulec złudzeniu – do dębów, buków czy nawet świerków. A jednak... Czy jest drugie takie drzewo: święte dla celtyckich druidów, niezbędne w mitach dawnej Grecji, Egiptu i Mezopotamii, nauczające największego mędrca Dalekiego Wschodu – Laozi? Drzewo, którego kora leczy stany zapalne, gorączkę i uśmierza ból głowy? Płynęliśmy kilka dni pomiędzy wierzbami, w ich cieniu stawialiśmy namioty. Na początku ich obecność przywoływała

Wisła w Kazimierzu Dolnym, lipiec 2019 r.

WOJTEK JARGIŁO / PAP

skojarzenia: ta jest jak oliwka, tamte – niczym bambusy. W końcu jednak przyszło oświecenie: wierzby to wierzby, święte i piękne w swojej wierzbowatości do rdzenia – od srebrnych, drżących liści, przez giętkie gałązki, chropowatą korę, po niewidoczne wnętrze pni i korzenie.

Sprzymierzeńcy

Wiatr uderzył mnie w twarz. Rytmicznie wiosłując, napędzani szybszym nurtem rzeki nieco zwężonej przez ostatnie kilkaset metrów, wyszliśmy gwałtownie zza niewielkiej wyspy. Podmuch pomiędzy rozwartymi nagle brzegami zerwał mi z głowy kapelusz. Gdyby nie przyszyta doń gumka, przełożona pod brodą, wylądowałby pewnie kilkanaście metrów za burtą kajaka, na falach zakończonych drobnymi grzebykami piany. Pierwszy raz płynę po rzece, której powierzchnia daje się do tego stopnia rozkołysać powietrzu. Fala jest tak wysoka, że przy nieodpowiednim ustawieniu łódki przelewa się przez burtę, zalewa podkoszulek i spodenki. Nic to, świeci słońce, upał, wysychamy niemal od razu.

Wisła jest inna niż wszystkie rzeki, po których dotąd pływałem. Nie tylko dlatego, że na jej brzegach (przynajmniej między Sandomierzem a Kazimierzem Dolnym) próżno szukać szuwarów z trzcin czy pałki wodnej – bo tam tylko piach, trawy, kamienie i wierzby. Także dlatego, że z nieuważnych wioślarzy stroi sobie żarty. Jak z nas parę dni temu.

Zaszurało, zgrzytnęło i dno kajaka zaryło w dno rzeki. Do brzegu po lewej ze sto metrów. Po prawej – z pięćdziesiąt. Trzymajcie się nurtu – mówili w wypożyczalni, z której mamy kajaki. Trzymaliśmy się – woda wartko toczy się wzdłuż obu burt unieruchomionego kajaka kilkucentymetrową warstwą po zmarszczonym piasku. Zwiedzeni spokojem powierzchni, brakiem jakichkolwiek oznak progów czy innych przeszkód, zagadaliśmy się z K. na środku największej polskiej rzeki i, rozważając filozoficzne tematy, nie zauważyliśmy pasma żółtawoburej wody. Teraz więc trzeba wysiąść i przepchać łódkę kilkanaście metrów, gdzie woda sięgnie kolan i kajak znów ruszy z prądem, szybciej niż dzięki samym wiosłom.

Ale trzeba bardzo uważać. Prawdopodobnie siedliśmy na przykosie – ruchomej płyciźnie usypanej z niesionego nurtem piasku, która urywa się nagle – jeszcze krok i dno gwałtownie opadnie, może i dwa metry w dół. A nawet tam, gdzie ↦

↦ jest płytko, może być niebezpiecznie. Dno wygląda niewinnie – ale jeśli to tzw. miałka, bardzo drobny piasek przesiąknięty wodą, wciągnie w głąb jak bagno. Zanim wyjdę z kajaka, badam grunt wiosłem. Wydaje się twardy. Stawiam stopę, potem drugą. Opieram się cały czas o burtę, K. wysiada. Brodząc w chłodnej, miękkiej wodzie, pchamy łódkę. Traci kontakt z dnem. Trzymam, K. wsiada. Ja za nią. Kajak chybocze się trochę, uspokaja, zabiera nas z nurtem.

Po paru godzinach wiosłowania zrozumieliśmy, że przed takimi przygodami ostrzegają ptaki. Najczęściej kormorany. Siedzą na płyciznach, dając znać swoimi czarnymi sylwetkami, którędy kajak nie przepłynie, żółtawymi dziobami pokazując, gdzie głębiej. Co jakiś czas któryś się zrywa, krótki rozbieg, macha skrzydłami i daje nura w wodę – ryba. Owszem, także ludzie ustawili znaki mające wskazywać, którędy droga przepływa po rzece. Parometrowe tyczki. W czerwone paski albo z wiechą – na prawym brzegu. W zielone albo proste, bez wiechy – na lewym. Ale szybko nauczyłem się bardziej ufać kormoranom. One znają rzeczywisty kształt dna i poziom wody. Teraz raczej stan niski niż średni. Człowiek postawił tyczki i poszedł. A woda opadła.

Obserwując uważnie brzegi można dostrzec, dokąd sięgała woda, gdy była wysoka: teraz uschnięte, zmierzwione kępy traw, ale także plastikowy woreczek, zaplątane w gałęzie. Wtedy rosły równo z powierzchnią wody, niosącej porwane z brzegu rośliny i porzuconą własność człowieka, dzisiaj wznoszą się kilka metrów nad nami.

Przy niskiej wodzie co jakiś czas dopływamy do końca rzeki. Jak teraz: po lewej – srebrno-zielone wierzby, po prawej szarożółta skarpa, a ze sto metrów przed nami rozciągnięta między wierzbami a skarpą łacha. Na niej, równo między brzegami, tyczka – wbita w piasek z metr nad powierzchnią wody. Pod światło nie widać, jakiego koloru – wygląda na czarną. Może ten kolor mówi, jak GPS: „zawróć"?

Na szczęście są kormorany. Rozstawiły się w miarę regularnie i te ostatnie z prawej strony, tuż-tuż przy skarpie, pokazują: „tędy!". Mocniejsze pociągnięcia lewą ręką, podpływamy pod prawy brzeg – jest! Przesmyk wąski na kilka metrów i pewnie na kilka głęboki, przejście na drugą stronę łachy, gdzie szeroka Wisła rodzi się jakby na nowo; jeśli spojrzeć wstecz – wydaje się wypływać spod ziemi.

O ile kormorany okupują łachy i płycizny bliżej środka rzeki, to przy brzegach swoje strażnicze stanowiska zajmują czaple. Mijamy głównie czaple siwe, ale co jakiś czas dostrzegamy oficera – czaplę białą. Niektóre dopuszczają kajak całkiem blisko siebie, patrzą czujnie, ale jakby nieco pogardliwie – gdy zanadto się zbliżymy, odlatują na odległość kilku machnięć skrzydłami.

Słuchaj skóry

Wisła jest inna niż mniejsze rzeki także przez to, że można nią płynąć kilka dni nigdy jej nie opuszczając. Szeroko rozlana, otacza swoim leniwym nurtem liczne łachy i wyspy. Niektóre tylko piaszczyste, inne porośnięte krzakami czy nawet drzewami (a jakże: wierzby). Do tych miejsc często nie sposób dotrzeć od strony lądu – żadna droga ani nawet ścieżka nie prowadzi nad brzeg przez gęstą plątaninę traw i gałęzi. Nawet zaś gdyby prowadziła – pozostaje jeszcze do przebycia zapora mętnawej wody, płynącej nad nierównym dnem. Czasami niemal stoi, czasami tworzą się w niej większe i mniejsze wiry.

Do takiej wyspy albo łachy najłatwiej dotrzeć od strony głównego nurtu. Można rozpędzić kajak, niemal wyskoczy na piaszczysty, płaski brzeg. Wysiadamy, brniemy chwilę po kostki w wodzie, w śliskim, mulistym piachu, podciągamy łódkę, by siadła na twardym gruncie. Prostujemy się, przeciągamy. Dobrze jest poczuć ruch tych mięśni, które w kajaku były nieruchome. Dobrze rozluźnić te, które pracowały przy wiosłach. Otwieramy szczelne żeglarskie worki, wyciągamy chleb i ser, ogórki i paprykę. Patrzymy na rzekę, jest dziwnie, jakoś inaczej. No tak. Gdy siedzisz na piachu, wyraźnie widać ruch wody, brzeg za to zatrzymał się i nie ucieka do tyłu.

Słońce jeszcze wysoko. Biały piasek namawia: połóż się i opalaj, skóra ramion i nóg, nagrzana w kajaku, krzyczy: „uciekaj do cienia!". Słucham skóry. Nie zrzucę jej jak jaszczurka, to przez nią mój umysł będzie dotykał świata w każdej następnej chwili. Skupiam na niej uwagę i wiem: chce wody, nie piasku. Stojąc po kostki w mule, chłonąc ciszę i widok przeciwległego brzegu, odbitego w rzece jak w lustrze, można ulec złudzeniu pełnej jedności z przyrodą. Dopiero podstawowy biologiczny mechanizm ciała – trawienie – przypomina, jak daleko już stąd uciekliśmy i jak nie całkiem wracamy. Wszystko, co jemy, przywieźliśmy z sobą, nic nie pochodzi ze świata rzeki. A kulturowe reguły wydalenia z siebie resztek procesów trawiennych też nie za bardzo tutaj pasują – co uświadamiają nam kolczaste gałęzie, pokrzywy i chmara komarów w krzakach.

Nasza wyspa byłaby doskonałym miejscem na nocleg. Albo inna, parę kilometrów dalej. Oczywiście gdybyśmy mieli ze sobą namioty. Niestety w kajakach, które pożyczyliśmy – innych nie było – nie da się zabrać większego bagażu. Burty mają niskie i bez dodatkowego obciążenia niewiele wystają nad wodę, w dziobie i rufie tylko trochę miejsca. Brak im też olinowania, którym można by przymocować na wierzchu wodoszczelne worki lub torby. Płynąc w trzy kajaki mamy, na szczęście, wsparcie A., która zwiedza okolicę samochodem i dojeżdża do nas na każdy nocleg – z całym obozowym ekwipunkiem w bagażniku. Taki sposób spływania ma jednak wielki minus – musimy rozbijać obóz tam, gdzie dojedzie auto. Ma napęd na cztery koła, to prawda, ale przecież nie jest amfibią.

Wrócimy tu jeszcze, przyrzekamy sobie z K. Weźmiemy nasz własny kajak, on nadaje się do wożenia bagażu na wielodniowe wyprawy. Spłyniemy nie z Sandomierza, ale z samego Krakowa, choćby w Połańcu czekała na nas przenoska. Nie będziemy się spieszyć. Wyciągać łódkę na brzeg będziemy tam, gdzie zastanie nas zachód słońca albo zmęczenie woli i mięśni. Jak nam się zachce, cały dzień spędzimy na jednej z wysp, brodząc w wodzie, pływając – jeśli głębokość pozwoli – i wylegując się w gorącym piachu.

Bieluń dziędzierzawa nastraja

To będzie jednak zupełnie inna wyprawa. W tej najważniejsi są ludzie. Płyniemy z kilkorgiem przyjaciół. Dużo gadamy. Na wodzie można nie tylko wiosłować powoli, sunąc kajakami obok siebie w odległości głosu, ale nawet, przytrzymując nawzajem wiosła i burty, utworzyć trzydziobową

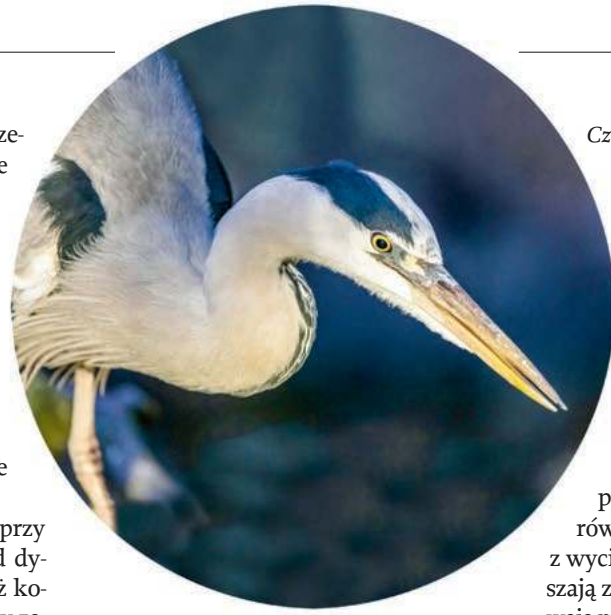

Czapla siwa

EDWIN BUTTER / ADOBE STOCK

tratwę, pozwalając, by nurt ją przesuwał w dół rzeki. Na takiej tratwie można nawet grać w karty.

Jeszcze dłuższe rozmowy toczymy wieczorem, na brzegu. Przedwczoraj A. znalazła dobre miejsce. Brzeg niby wysoki i trudno przybić. Ale od głównego nurtu oddzielony łachą w kształcie wielkiego banana. Pomiędzy brzegiem a piachem małe zakole, nietypowo głębokie – pozwala swobodnie pływać.

Gdy wieczorem siedzieliśmy przy ognisku, nikt nie uciekał przed dymem: gryzł w oczy łagodniej niż komary po całym ciele. Miał dziwny zapach, niby korzenny, niby słodkawy. Współgrał z naszym nastrojem, ni to spokojnym, ni to wesołym. Mam podejrzenie, że główną przyczyną stanu ducha, który nas opanował, wcale nie było wino (choć dobrze schłodziło się w przybrzeżnym mule). W gałęzie dorzucane w ciemności do ognia zaplątał się bieluń dziędzierzawa – czarowne, czarcie ziele, trąba anioła.

Niektórzy mówią, że jego opary otwierały przyszłość przed Pytią. Te, Które Wiedziały, robiły z niego maść na latanie. Myśmy nie polecieli, przyszłość też nie otworzyła przed nami swojego okna. Ale czyż spokojne zadowolenie, które nas ogarnęło, i gadanie o sprawach ważnych jak niebo, chmury i drzewa, które odbite w wodzie wpadły nam pod powieki, to dary mniej cenne?

Zostałem sam przy gasnących węglach. Konstelacje gęstniały. Resztki żaru nie dawały już dymu – nie szkodzi, komary też poszły spać. Podobnie jak usypia nasza uwaga. Patrzymy na wierzbę i nie widzimy, czym jest. Nie patrzymy w ogóle na to, co rośnie pod naszymi nogami. Mieliśmy szczęście. Bieluń to roślina lecznicza, ale także trucizna. Kto wie – może wyleczyć nią wrzody, zapalenie oskrzeli, złagodzić bóle porodu. Temu, kto nie wie – grozi psychotyczny atak, hipotermia, a nawet śmierć. Granica jest jak nić pajęcza. Któż zdoła nie zerwać ledwie widocznej, rozciągniętej przez ścieżkę? Z nieuwagi rodzi się lęk. Jak przed wierzbą – ileż baśni głosi, że mieszka w niej diabeł, i że w świecie, do którego jej dziupla jest przejściem, czeka nas zguba.

Co jednak czeka nas tutaj, po tej stronie wierzbowej kory? O tym dyskutowaliśmy na następnym noclegu. Co w życiu jest dane, a co osiągnięte przez nas samych? I czy dar ma swoją cenę? Osiągnięcia – koszt? Lecz skąd te pytania przyszły? Może wraz z cięższym, czerwonym winem? Może przyniosła je bliskość cywilizacji? Im bliżej Kazimierza, tym częściej bowiem na miejscach wcześniej opanowanych przez czaple spotykamy wędkarzy (trzeba uważać na żyłki!). Tym więcej motorowych pontonów, zwożonych na brzeg przyczepami, ciągniętymi przez stare furgony albo nieco podrasowane golfy, wodowanych o czwartej czy piątej nad ranem, niedaleko naszych namiotów, wyciąganych z powrotem tuż przed zachodem słońca.

Mniej więcej dziesięć kilometrów przed Kazimierzem pojawiają się wypasione motorówki. Ich właściciele tokują rykiem silników, popisują się, kto większą falę potrafi wzbudzić. Żadna motorówka nie może jednak równać się z wycieczkowymi statkami. Te wyruszają z kazimierskiego portu, podpływają pod wiatrak w Mięćmierzu, gdzie ludzie, stłoczeni na pokładzie, robią zdjęcia. Statki zawracają. I dobrze. Kormoranom i czaplom nie spodobałby się pomysł, by organizować takie wycieczki na przykład do białych klifów nad Annopolem.

Im dłużej wiosłuję,
tym bardziej mi się wydaje,
że wielka rzeka
jest swoim własnym,
kompletnym światem.
Toczy wodę, przesypuje dno.
Poi wierzby i karmi ptaki.

Z biegiem

Im dłużej wiosłuję, tym bardziej mi się wydaje, że wielka rzeka jest swoim własnym, kompletnym światem. Meandruje nieregularnym zygzakiem od brzegu do brzegu, wypuszczając na zwiady boczne odnogi i po paru kilometrach przywołując je znowu do głównego nurtu. Toczy wodę, przesypuje dno. Poi wierzby i karmi ptaki. Uwodzi wędkarzy, którzy porzucają domy, by długie godziny siedzieć albo stać nad jej brzegiem, choć słońce przyświeca i ryby prawie wcale nie biorą.

Uwiodła i nas. Białe renesansowe spichlerze i kamienny zamek, przytwierdzone ciemnozielonymi koronami drzew do stromych wzgórz, przywitałem rozczarowanym spojrzeniem. To już? Już za mną łachy, wyspy i zmęczenie ramion, już nie będzie bólu kości ogonowej i mierzenia się wzrokiem z czaplami? Jeszcze tylko kilkadziesiąt pociągnięć wiosłem i przesiądę się z chybotliwego kajaka do wygodnego auta?

Rozsypane w porcie drobne sylwetki zwrócone są w stronę rzeki. Niektóre wyciągają rękę w jej stronę, coś pokazują. Coraz to ktoś się odwraca, wspina na deptak, znika za nim, pomiędzy samochodami. Z rzeki widać tylko ich dachy. Jeden za drugim kornie stoją w korku długim na kilkaset metrów.

Czy to rzeka coś ze mną zrobiła? Czy to słońce, czy wierzby, czy bieluń dziędzierzawa namieszały mi w głowie, że już nazajutrz zapomnę, w jakim to – ponoć kultowym – lokalu siedzieliśmy po zdaniu kajaków. Że nie będę pamiętał świetnych potraw, które wtedy jadłem. Że jeszcze przez wiele tygodni będę nosił pod czaszką oko czapli, konar wierzby, opór wody, zupkę pho kupioną w Biedronce i zalaną wrzątkiem na wale z widokiem na ciemniejącą powierzchnię, w którą nikt dwa razy nie wstąpił.

©℗ PIOTR SIKORA

STANISŁAW

Mancewicz:
Za granicą

Podczas kilku lat urzędowania ministra spraw zagranicznych pana Jacka Czaputowicza udało się nam napisać o nim parę razy, że oto człowiek ten i jego funkcja są zupełnie zbędne, że jest to figura w tym sensie tajemnicza, że nie wiadomo, po co został ministrem, po co nim był i dlaczego ustąpi. To przydługie zdanie wystarczyłoby w zasadzie na dziś, ale pogłówkujmy przez chwilę, ku uciesze umiłowanych rzesz i pożytkowi badaczy naszej zagiętej rzeczywistości.

Oto wciąż na żadne z tych pytań nie mamy odpowiedzi ani nawet domysłu. Przenigdy nie zbliżyliśmy się na odległość strzału z łuku, by cokolwiek zobaczyć, przeczytać, dotknąć, nie mówiąc już o nabyciu jakiejś ciupinki pewności. Po prostu bycie ministrem przez tego człowieka było dla nas jakby szumem z kosmosu czy też niezbornym pikaniem gwiazdy białej, czerwonej bądź to zielonej, gdzieś przez pomyłkę usłyszanym w radiu, na falach średnich czy jakichś tam krótkich. Jego ministrowanie, zważmy, było gruntownie różne od innych ministrowań, innych ludzi, w innych rządach kraju tego, niewątpliwie jakoś zdeterminowane przez jedno zdanie Jarosława Kaczyńskiego, że oto pan Czaputowicz jest eksperymentem. No więc, bycie eksperymentem – wczujmy się w takie bycie – musi być kosmicznym szumem właśnie i jakby sekwencją piknięć z zakłóceniami. Dziwne, ktoś powie. W polityce zwłaszcza, a w dyplomacji szczególnie. Ano dziwne. Niecodzienne są też – każdy to przyzna – publiczne wyznania byłego już ministra. Zostawmy detal, wczujmy się w ich klimat i sens, w prostą słów tych interpretację, że oto nie miał – on, minister – na swym stanowisku ani nic specjalnego, ani samodzielnego do powiedzenia, ani do zrobienia. Gały nam, za przeproszeniem, wylazły, gdyśmy te wyznania przeczytali. Nie ma człowiek złudzeń na swój temat – wypada powiedzieć, że skromność zdobi człowieka, itede. Trzeba rzec, że sformułowanie o tym, że nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, jest jednak bardzo polskie i pasuje tu bez żadnych nadużyć.

No więc żartom i krotochwilom nie ma końca, gdy weźmy, późno w nocy, w krakowskiej knajpie, idzie rozmowa o ministrze Glińskim, ministrze tutejszej kulturystyki. Ludzie dławią się własnymi maseczkami, gdy rozmowa schodzi na posła Gowina i jego fryzury (czy ktoś jeszcze pamięta tekst Tyrmanda o fryzurach Mieczysława Rakowskiego?), czy gdy zwyrodnialcy już oczywiście nietrzeźwi próbują na chama wciągnąć nosem pięćdziesiątkę żytniej, zwanej teraz „Respiratorem". Głosy milkną jednak, zapada surowa cisza, gdy ktoś zechce pogadać o polskiej polityce zagranicznej. O, weźmy, stosunkach naszych z kimkolwiek, od Alaski po Syberię. Śmiechy zamierają, robi się duszno. Cisza ta wynika nie ze strachu, a z dezorientacji, z zagubienia, z oślepnięcia, z czegokolwiek, co byśmy mogli uznać za barierę w orientowaniu się i w czasie, i w przestrzeni. Jak temat ten ugryźć? Wielu próbuje i ząb sobie natychmiast ukrusza. Gdy człowiek zderza się z zadaniem zdefiniowania, czym jest polska polityka zagraniczna, próbuje iść prosto i zaczyna o panu Czaputowiczu myśleć bądź w ostateczności mówić. Popatrzmy, dla przykładu, jak to się niekorzystnie dlań odbywa.

Oto często i jakże wulgarnie ktoś mówi, że niepotrzebnie się egzaltujemy, fruwamy pod sufitem mniemań i żałośnie się napinamy, że pan Czaputowicz – to jasne – był ministrem po prostu dla pensji i przywilejów władzy. I kropka. I takie podejście nas oburza. Musimy gwałtownie zaoponować. Choć przecież opieramy się tylko na czuciu. Otóż z żelazną konsekwencją, choćbyśmy musieli w tej sprawie stawać przed dowolnym trybunałem, będziemy się upierać i tego dowodzić, że Jacek Czaputowicz nie wiedział, że został ministrem, nie wiedział, że nim jest ani po co chodzi codziennie do pracy, nie wiedział, po co lata czasem samolotem za granicę, ale też – naszym skromnym zdaniem – takoż i dziś nie wie, że już ministrem nie jest. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

#wrzesień kobiet

We wrześniu do 3-miesięcznego dostępu do strony TygodnikPowszechny.pl – wydanie specjalne „Moc kobiet” w prezencie!

100 lat temu państwa zaczęły przyznawać kobietom prawa wyborcze. W następnych dekadach przekonywaliśmy się, że to nie był koniec, tylko początek walki o równouprawnienie. Sytuacja kobiet w niemal każdej dziedzinie życia społecznego była, a często nadal jest, trudniejsza niż sytuacja mężczyzn.
Z drugiej strony w tych warunkach poznawaliśmy moc kobiet, siłaczek, które wbrew przeciwnościom odnosiły spektakularne sukcesy i dokonywały heroicznych czynów, zarówno w walce o równe traktowanie, jak i w rozwoju całego społeczeństwa. W wydaniu specjalnym „Moc kobiet” pokazujemy źródła tej siły, a także jej wpływ na świat.

Jak skorzystać z promocji:

- wejdź na **powszech.net/wrzesienkobiet**
- wybierz w sklepie ofertę **#wrzesienkobiet** – 3-miesięczny e-dostęp do bieżących wydań i bogatego archiwum ORAZ drukowane na kredowym papierze wydanie specjalne „Moc kobiet”
- przy zamówieniu lub w UWAGACH wpisz adres wysyłki, a pismo dostaniesz do skrzynki pocztowej na **nasz koszt** – niezależnie od kraju dostawy!

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY